

malwina

kowszewicz



WARSZAWA 2007

NIGDY DOŚĆ

Copyright © Malwina Kowszewicz 2007

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Albatros

A. Kuryłowicz 2007

Redakcja: Barbara Nowak/Joanna Morawska

Zdjęcia autorki na okładce: Patrycja Woy-Wojciechowska

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7359-445-6

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009
www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl
www.empik.com
www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS
ANDRZEJ KURYŁOWICZ
Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

Wydanie I
Skład: Laguna
Druk: OpolGraf S.A., Opole

Mężowi

wtorek

10.05

Tak.

To znaczy nie!

Nic powinnam mu tego mówić, choć paraliżował mnie brak miłości, gdy powtarzał, jak bardzo mnie kocha. Nie powinnam tak długo milczeć, nie powinnam krzyczeć, że wsiądę do auta, by rozbić się na pierwszym słupie. Nie powinnam go pokochać, nie powinnam nawet wypić z nim kawy, a co dopiero — być. A jednak...

Nie powinnam być z mężczyzną, którym można się cieszyć tylko w samotności... Przy którym traci się klasę, wdzięk, a zyskuje wyłącznie doświadczenie.

Nie powinnam być z kimś, o kim nie wiedziałam, jaki był piętnaście lat temu, gdzie jest teraz i co zrobi za pięć minut. Nie powinnam...

— A ty?

To do mnie. Często byłam pytana, choć moje zdanie wcale się nie liczyło. Nie znaczy to, że go nie miałam. Brakowało mi tylko mocnego postanowienia, że powinnam je mówić głośno. A jednak Ola, redaktor naczelna miesięcznika o dumnej nazwie „Ouuups”, najmłodszego magazynu w promieniu pięciuset kilometrów, czekała na moją odpowiedź.

— Ja, Olu? — zdziwiłam się.

Olu, Aleksandro, Oleńko... Olka przynosiła zaszczyt swojemu imieniu, w którym było coś dostojnego, a nawet królewskiego, choć nosiło je niewiele królowych. Była jak kolia z dwudziestoczerokaratowego złota wysadzana brylantami i inkrustowana kawałkami różowego plastiku. To jedna z tych kobiet czarodziejek, przy których mężczyźni mieli trudności z przypomnieniem sobie drogi do domu i łatwość natychmiastowego zapominania o wszystkim, co do tej pory przytrafiło im się w życiu. Żona? Dzieci? Wywiadówka najmłodszego synka? Jakie to miało znaczenie przy kimś takim jak ona? Na pytanie: „co o niej myślisz?”, znali tylko jedną odpowiedź: „chcę się z nią ożenić”. Oczywiście natychmiast. Nie muszę więc chyba dodawać, że to właśnie przez nich Ola nie wyszła za mąż, ale nie róbmy z tego dramatu, bo miała jeszcze dużo czasu na wybranie sukni ślubnej, urodzenie dzieci, naukę pieczenia mazurków wielkanocnych i ozdabiania ich karmelową polewą i migdałami.

Ola była pożądana jak pokój z widokiem (oczywiście na szczęście), jak radość ze spełnienia marzeń o głównej wygranej (nie znałam tego rodzaju uciechy, bo nigdy niczego nie wygrałam, ale od czego miałam wyobraźnię). Świetnie by wyglądała na banknocie o nominale miliona euro — każdy chciałby jej dotknąć, a co dopiero posiadać.

Nienaganna od wysokich obcasów po błyszczące loki na głowie.

Seksowna przez duże S.

Kobieca przez gigantyczne K.

Nie chciałam wypaść na lizusa, który prawi same komplementy, ale Olka nie tylko dla mnie była niezwykła. Została po prostu stworzona do kierowania magazynem „Ouuups”, który od pierwszej do ostatniej strony opowiadał o tym, czego pragnęła każda z nas. Olę wyróżniał subtelny i wyrafinowany smak, a jednak wydawała się uniwersalna w wielu sytuacjach, można było nawet powiedzieć, że do każdej pasowała. Dobrze prezentowała się w roli romantycznej, dramatycznej i odłotowo śmiesznej, choć twierdzenie, że była miłośniczką zwariowanych komedii i dołujących tragedii bez wyjścia z sobą jako ich bohaterką, należałoby uznać za przesadzone.

Właśnie trwało kolegium w gabinecie, na którego drzwiach wisiała mała błyszcząca tabliczka z napisem wyrytym delikatną kursywą: „Redaktor naczelna magazynu »Ouuups«,”. Wymyślałyśmy tematy do kolejnego numeru. Ola siedziała prosto, jakby była przywiązana w pasie do oparcia czerwonego fotela, i wpatrywała się we mnie nienagannie pomalowanym okiem. Wzbudzała mój zachwyty, nie tylko dlatego, że los obdarzył ją twarzą Aniston i umysłem pierwszych zdobywców Dzikiego Zachodu. Była też modna. Po jej ubraniu każdy mógł się w mig zorientować, że na ostatnim pokazie Versace „beż okazał się absolutnie wszechobecny”. A dobrze dobrane kolory — wiadomo! — są w stanie odmienić twoje życie. „Bo beż, kochanie, elegancko cię zakrywa, ale robi to na tyle delikatnie, że czujesz, jakbyś była lekko obnażona” — ta dobra stara prawda mojej babci pozostawała wciąż aktualna, jakbym ją wycięła z ostatniego numeru magazynu „Ouuups”.

Hitem sezonu dla kobiet wciąż był beż.

Ola odgarnęła beżowy kosmyk włosów, tak gruby jak mój cały kucyk, z beżowego kardiganu i sięgnęła po papierosa cieńszego niż najchudszy penis opisany w historii. Po czym wypuściła seksownie dymek i spokojnym, głębokim głosem dodała:

— Tak, ty, Julio. I nie siedź tak, jakbyś pokazywała mi środkowy palec.

— Środkowy? To zbyt daleko idące przypuszczenie... raczej serdeczny? — zdziwiłam się szczerze, bo przecież tylko siedziałam sobie cichutko w kącie i chłonełam atmosferę redakcji jak śródziemnomorska gąbka, a więc chyba miałam prawo lekko się osunąć, czy też, ot tak, łagodnie spłynąć sobie z krzesła.

O czym to one rozmawiały, podczas gdy ja w myślach przejeżdżałam czołgiem przez swoje życie, próbowałam uporządkować wspomnienia i tak bardzo pragnęłam zostawić tylko te słowa, w które umiałam wierzyć.

Nie wiedziałam, o czym mówiły. To znaczy mogłam przypuszczać, że znowu wymyślały tematy i szukały dla naszych czytelniczek silnych emocji i wzruszeń, drogi do szczerzej przyjaźni, szczęśliwej miłości, czyli tego, czego każdej z nas w tej redakcji coraz bardziej brakowało w życiu.

10.28

— Julio, mówiłam o planach strategicznych „Ouuups” — wprowadziła mnie w temat spotkania Ola.

Z uwielbieniem patrzyła na swoje pracowniczki, nawet te, które minęły się z powołaniem, ale na siłę próbowały udowodnić sobie i światu, że tu jest ich miejsce.

W tym magazynie, w tym pokoju.

— Może na to konto wymyślimy Międzynarodowy Dzień Gry Wstępnej? Tak pięknie pasowałby do tekstu, który będę teraz pisała — zaproponowała Marta, redaktorka działu seksu. — Julka, wymyśl coś — dodała.

Znowu ona? Gdybym tak naprawdę mogła coś wymyślić i jeszcze znaleźć chociaż jedną osobę, której chciałabym to powiedzieć — to by było coś. Ale w sprawie Międzynarodowego Dnia Gry Wstępnej miałam w głowie pustkę. A jednak czułam presję, żeby coś powiedzieć, bo dziewczyny wpatrywały się we mnie z takim wyczekiwaniem i przejęciem, jakby były statystkami w filmie *Polowanie na Czerwony Październik*.

— No, Julka! — ponagliła mnie Martusia.

Kochane stworzenie ta Marta, choć uparte. Kiedy była zła, nuciła pod nosem „Bejbe, bejbe, zamknij oczy”, co brzmiało jak refren piosenki, której zdecydowanie nigdy nie słyszałam, poza jej wykonaniem. Marta to najniższa z nas, zaledwie sto pięćdziesiąt dziewięć centymetrów wzrostu. Ale wielka duchem. Skakała na bungee i jeździła na obozy kajakarskie. W jej towarzystwie żadna mysz nie była straszna.

Miłośniczka literatury fantasy. Nad jej biurkiem wisiało zdjęcie jakiegoś włochatego potwora zamiast gołego popiersia Brada Pitta.

Znawczyni kuchni bałkańskiej.

Specjalistka od seksu.

Autorka maksym: „Każdy jest panem swoich genitaliów”.

Właścicielka kolekcji płaskich pantofli z lakierowanej skóry z okuciami. Nieskomplikowane maniery i pogarda dla klasyki.

Umiłowanie seksu pod kontrolą.

Ale dlaczego bez orgazmu?!

— Doskonały pomysł, jestem za! — ucieszyła się Ola.

— Świetnie, to może pierwszego listopada? — zamamrotała pod nosem Marta.

Ale wyskoczyła z tą żalną datą. A jeszcze niedawno była taka radosna. No cóż, ludzie się zmieniają po trzydziestce...

— Może lepszy byłby pierwszy czerwca? — zasugerowałam.

Dzień Gry Wstępnej?! Wiedziałam, że teraz lepiej się nie odzywać, bo to tak, jakbym zaplanowała sama na siebie zamach. To niby też teraz modne, ale sorry, bez mojego udziału. Zaczęłam szybko kombinować, jaki dzień byłby dobry na tę uwerturę. Już wiem! Każdy! A dlaczego nie ustanowić dnia blondynki? Bruneta albo bikini... albo, za przeproszeniem, stringów, myślałam sobie cichutko. I zachwycałam się głośno tak rewolucyjną inicjatywą w kalendarzu. W końcu wymyśliła ją redaktorka, która jest ekspertem od seksu w naszym magazynie. Wyobraziłam sobie nagle, jak spotykam się w tym dniu z moim ukochanym (tylko gdzie on jest? Jaki diabeł go nakrył ogonem?), i wiem już, że muszę zdążyć przed północą, bo to polecenie służbowe, z którego będę musiała stworzyć raport.

— Julia, jak ustalicie z Martą datę, to wpiszemy do kalendarza, dobrze? — zrobiła dzióbek Ola, naczelna „Ou-uups”.

— Może coś z sześćdziesiąt dziewięć? — zaproponowałam, myśląc o dziewiątym listopada.

— E, to takie banalne — przerwała mi Marta. — A poza tym nie wiesz, że nie ma tylu dni w miesiącu? Jest tylko trzy-dzieś-ci, Julka.

Święta Marta patrzyła na mnie z takim oburzeniem, jakby za moimi plecami ujrzała sfore nagich dzieciaków, każde z procą w ręce, wykrzykujących brzydkie słowa. Górowała nade mną uporem, dystynkcją i przymiotami charakteru, nie dało się ukryć. No i umiejętnością liczenia do trzydziestu.

— Martuś? — jęknęłam. — To kiedy ma być to DGW?

— A może trzynastego? To taki dzień, w którym nic się nie chce, pechowy i w ogóle — zasugerowała.

— Świetny pomysł! — przytaknęła Aśka.

Łatwo dawało się ją zadowolić.

Była taka uprzejma.

I wtedy mnie olśniło — Marta i Aśka były, a jeśli nie, to musiały zostać, lesbijkami! Aśka samotna, niby kręci i poznaje facetów przez Internet, ale co to za randki? A Marta — cicha woda brzegi rwie. Postanowiłam się przeciwstawić tej banalnej dacie, której obie się uczepiły, jakby następnego dnia po niej miał nastąpić koniec świata.

— A może...

Tu się zawiesiłam. Przez chwilę próbowałam sobie przypomnieć, kiedy mam dni płodne, dziewiątego czy szóstego, a zresztą, co za różnica.

— Wiem! Dziewiątego listopada gra wstępna na szóstkę!

Ależ byłam mądra.

Całe życie marzyłam, żeby zostać zatrudniona jako znawczyni gry wstępnej.

I udało się. Yes! Yes, yes, yes!

— Świetny pomysł — usłyszałam.

I tak w kalendarzu powstała nowa wyjątkowa data, której przyczyną byłam ja.

11.28

Kiedy w normalnym świecie czarni kelnerzy podawali chłodne trunki na słonecznej plaży, ja miałam krótką przerwę w kolegium. Stałam przy windzie z papierosem i myślałam: „Dzień Gry Wstępnej, też mi coś”.

Zadzwoiłam do Jana, żeby to z nim przegadać. W końcu ceniłam go nie tylko za to, kim był przedtem w moim życiu, ale i za to, kim stał się od chwili, gdy się rozstaliśmy.

— Julka! Wolę już dzień świra, dzień totalnego orgazmu, dzień powszechnego miłowania, dzień zwykłego p..., ale nie to...

I wtedy wszystko zrozumiałam.

Lody były modne w tym sezonie, ale tylko zimne...

11.41

— Wiecie, że w tym roku co trzecia z nas będzie miała romans?

Tymi słowami przywitała nas Janka, specjalistka od mody.

Wpadła na kolegium redakcyjne jak zeszłoroczny, a więc mocno spóźniony huragan. Wyglądała jak „ta trzecia”, ubrana z drugiej ręki. Ale każdą rzecz miała w pierwszym gatunku. Tylko ta grzywka... Gdy wszystkie magazyny dudniły, że w tym sezonie najmodniejsze jest tak zwane siano, a mówiąc dokładniej — włosy rozwichrzone wiatrem i gorączkową miłością, ona miała przylizaną grzywkę i nie zamierzała jej nastroszyć ani jedną kroplą żelu. Pokochała swój wizerunek lizuski i koniec. Zdaje się, że zabrakło jej rozsądku, kiedy decydowała o swoim image'u. Chyba że chciała być podrywana wyłącznie przez chłopców z gimnazjum.

— Nastąpi jakaś miłosna rewolucja czy egzekucja? To może najpierw ewakuacja i ejakulacja... — uśmiechnęła się Ola, redaktor naczelna „Ouuups”, magazynu, który został stworzony po to, by spełniać marzenia kobiety. Oczywiście wszystkie. Wiedzę na temat Ola miała w małym palcu. Mąż w miękkim fotelu, dwoje dzieci, uśmiechnięta teściowa, kot na parapecie okna przysłoniętego firanką, mielone z mizerią na stole, no i... orgazm — tak, tak, pewnie gdzieś był taki świat z marzeń, wszystkie to wiedziałyśmy, ale żadna z nas do niego nie trafiła. Ola też nie. Ani on do niej nie należał, ani się o nią nie otarł. Ale jakie to miało znaczenie przy tworzeniu pisma? Przecież nie trzeba chcieć tego samego szczęścia, które komuś dajemy. Bo czy jest gdzieś taka złota rybka, która spełniłaby czyjeś marzenie o domku z ogródkiem i sama chciałaby w nim zamieszkać?

Ola była piękną i najbardziej długonogą złotą rybką, jaką można sobie wyobrazić. Odwiedzała tylko egzotyczne morza.

— Dlaczego? — spytałam. — A co? Za dużo jest małżeństw, wolnych facetów czy nas?

— Julka, nie czytasz gazet? — wrzasnęła Marta.

Niewątpliwie robiła najwięcej hałasu w redakcji, wyrabiała normę również za nas. Zuchwałość była jej specjalnością. No i wszechwiedza. A więc i tym razem wiedziała więcej... I to pewnie od dawna, bo przecież była redaktorką działu seksu. Zdawało mi się, że siłą próbowała wciągnąć mnie w jakieś medialne szaleństwo. Tylko kto za tym stał?

— Dzisiejszej? Nie, dopiero wzięłam ją z recepcji — powiedziałam.

— Jakiej dzisiejszej! Na jakim ty świecie żyjesz, Julka! Gazety o tym trąbią od dawna — dodała Marta.

— To dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz? Przecież mogłam już zostać podstępnie uwiedziona, wciągnięta w kłopotliwy romans, namiętnie rozkochana, haniebnie zgwałcona i porzucona... Raz, dwa, trzy — co prawda nie wypadło na mnie, ale zawsze! — powiedziałam.

— A ja już od dawna zastanawiam się, jak będzie wyglądał dzień, w którym kogoś zdradzę. Nie chciałabym tylko kochać się w jakimś mieszkaniu na poddaszu, bo potem mogłabym paść na grypę, i to jeszcze ptasią. Nie znoszę gołębi — powiedziała poważnie Janka.

Jedyna mężatka w naszym gronie, a więc ta, która miała najbliżej do zdrady.

— Gdybym mogła, to bym je wszystkie pozabijała. Ale tylko jednego udało mi się przejechać.

Rozumiecie? Przez całe moje życie!

— Janka, co tam stracone gołębie Powiedz lepiej, gdzie zgubiłaś swoje sto siedemdziesiąt cztery centymetry wzrostu... — zmieniałam temat.

Nie poznawałam jej, bo zmalala o kilka centymetrów i gwałtownie przytyła. Przyczyna wiadoma i zawsze tak samo katastroficzna: Janka zmieniała szpilki na balerinki. Zaczepiała nosem o podłogę! Skąd ona wraca? I dokąd się wybiera? Zresztą to nie miało większego znaczenia, bo w takich niewinnych butkach mogła dojść tylko na poprawkowy egzamin z biologii.

— Ona ma rację! — krzyknęła Marta. — Moja mama była kiedyś chora na grypę i myślałam, że to już koniec...

— Dziewczyny... — przerwała trzeźwo Ola — nim spadnie na nas ten kataklizm, dokończmy wreszcie planowanie. Pamiętajcie, że mnie od jutra nie ma, bo wyjeżdżam do Stanów?

Trudno było o tym nie pamiętać. Każda z nas chciałyby zdzierać obcasy na nowojorskim bruku z naczelnymi z innych krajów.

— Skupcie się, proszę. Mamy naradę, szukamy nowych pomysłów na jeszcze większy sukces naszego magazynu uśmiechnęła się zalotnie Ola. Jutro przyjdzie na zastępstwo Ela.

Elka? Tyle razy próbowała zostać naczelną „Ouuups”. No i wreszcie jej się udało, przynajmniej na chwilę. Będzie tutaj. Ouuups.

— Ale ty do nas wrócisz? — zaniepokoiłam się.

— Pewnie. Pamiętaj, Julka, żeby pojechać w piątek na sesję, wcześniej zrób wywiad i namów Johna, by pokazał na zdjęciach kawałek swojego mięska, to znaczy, no wiesz, troszeczkę torsu.

— Ale co ten ekspert od żelu do włosów może mi ciekawego wyznać? — zdziwiłam się.

— No, jakich pragnie kobiet — uśmiechnęła się — a resztę to ty mi powiesz. Polubisz go, przecież uwielbiasz tych, z którymi robisz wywiady.

— Ale ten John to doskonały rozmówca dla Baśki, redaktorki urody, a nie dla mnie! Bo z Baską to co innego — pogadają sobie o zależności tempa wzrostu włosów na klatce piersiowej od gry w kolejnych odcinkach serialu, o najnowszych podcinarkach do brody tudzież innych włosów, o karierze, która wisiała na włosku. Może powstałby krótki artykuł o tym, co w sierści piszczy albo poemat *Mój włos błyszczący najpiękniej...*

— Już wystarczy, Julka, przestań zartować — sprowadziła mnie na ziemię Olka.

Robiła to kilka razy w ciągu dnia, a ja szybciotko z samej góry — bęc! — spadałam na zimną posadzkę. W końcu to ona była tu szefową, nie ja. Ja tylko pisałam. Dużo, mało, trochę.

Dodałam jednak:

— I jeszcze Baśka i John pogadali by sobie o lokówkach, wiesz, takich, które potrafią odmienić ludzki los...

Bęc!

— No już dobrze, spotkaj się z nim jak najszybciej.

— Kocham cię, Olka.

To jednak prawda, że tak łatwo okłamywać kobiety.

— Julka...

— OK, chciałam tylko jeszcze zasugerować, że ten John z Baską to mógłby przynajmniej sobie zawisnąć na włosie nad przepaścią, tak sobie podyndać przez chwilę, a ze mną? Nic atrakcyjnego go nie czeka. Nawet nie będę mogła przelecieć ogniem po jego owłosionej kłacie, bo nie mam zapalniczki — dodałam.

— Pożyczysz od kelnera — dorzuciła Basia.

— Rozpalisz go starzeniem — uzupełniła Tanka

— Ostatecznie rozniecisz płomyk nadziei na lepszą przyszłość — odezwała się Aśka.
— Albo wzniecisz walkę o ogień — zaproponowała Dorota.
— No właśnie... A potem lecisz do Paryża, pamiętasz o tym? — zaniepokoiła się Ola. — Tylko nie polub na tyle Escrivo, by przywieźć go tutaj ze sobą. Ciekawy facet. Co prawda bez włosów, ale za to z rozumem — uśmiechnęła się niewinnie.
— Pewnie Escrivo już się boi na samą myśl, że mnie zobaczy — zażartowałam i jednym tchem wykrztusiłam: — A ja tak marzę, by wreszcie przeprowadzić wywiad z jakąś mądrą kobietą.
— To masz pecha. Maria Curie-Skłodowska już cię nie wysłucha — wtrąciła Aśka.
— A co? Myślisz, że wraz z nią umysł kobiety zaginał? — spytałam i spojrzałam na Olkę.
Zaczęła się nerwowo kręcić na fotelu.
Jakby szukała swojego miejsca, choć przecież już je znalazła.
Szczęściara.
Nagle rozmarzona szepnęła, tak zupełnie od czapy:
— ...ja to mam takie szczęście w życiu.
Też mi odkrycie. Jasne, ona może być tylko tą drugą lub pierwszą. Nigdy trzecią. Znów niechlujnie, a zarazem perfekcyjnie okręciła sobie wokół palca lok, a ja patrzyłam na nią jak urzeczona i myślałam: no tak, ona ma sąsiada, który naprawił jej odkurzacz — super! Nie oblepiają jej żadne męskie Cukierki, na pewno nie zdobywał niechcianych narzeczonych — zazdroszczę! Świetnie kieruje gazetą — gratuluje! Ma piękne włosy, loki, większy biust, wdzięk, talent, biegłość myśli i słów... No tak. ale nie ma tego co ja — lekkości bytu. Za to niezaprzeczalnie ma mnie.

12.33

Baśka, która przypominała dziś bliźniaczą siostrę starego adwokata, a nie redaktorkę urody.
Dorota, która każdego dnia wyglądała tak samo, czyli jak kobieta, która zamiast „dzień dobry” mówi „powiedz, kochany, co mam dla ciebie zrobić, to zrobię” — redaktorka psyche.
Marta, dla której życie bez modnych ciuchów to głupota — specjalistka od seksu.
Aśka, dla której moda mogłaby się skończyć w latach sześćdziesiątych — redaktorka fitness.
Janka, specjalistka od mody, która uśmiechała się do mnie spod swojej grzywki i była tak słodka, że miałam ochotę ją wziąć na rękę.
No i ja, czyli redaktorka odpowiedzialna za dział celebrity łamany przez psyche.
Znów siedziałyśmy z widokiem na Olę, naczelną miesięcznika „Ouuups”, słuchałyśmy jej i wypinałyśmy swoje bardziej lub mniej bujne piersi. Te drugie należały do mnie, ale cóż, z defektami urody nie ma co toczyć boju.
Miałam wrażenie, że zebranie ciągnie się jak rejs długodystansowy ze mną przywiązaną do masztu z rozwianym dramatycznie włosom, wszystko zgodnie z ostatnimi trendami. Na stole wylegiwały się przed nami ciasteczka, a ja walczyłam ze sobą, by pierwsza po nie nie sięgnąć. W tym towarzystwie nie wypadało być pierwszym, chyba że w gonitwie w szpilkach za modą. Nie muszę dodawać, że wszystkie byłyśmy na diecie, bo to takie trendy. Ja studiowałam ją zaocznie, tak by przypadkiem nikt w redakcji o tym nie usłyszał, bo jeszcze doprowadziłabym kogoś do arytmii serca czy nagłego migotania przedsionków... Wydawałam się szczupłą, ale tylko na pierwszy rzut oka, i to wtedy, gdy spoglądało się oczami lekko skacowanymi. O fałdach na brzuchu wiedziałam tylko ja. No i może mój kochanek. Chociaż nie, gdy z nim byłam, jeszcze nie

miałam tych fałd. Kiedyż były te noce burzące spokój moim sąsiadom? Lata świetlne temu!

Dokuczało mi wrażenie, że co rano budziłam się o dziesięć lat starsza i o pięć kilo grubsza! A dziś dodatkowo czułam się jak podtuczona bagienna czapla na długich wyblakłych nogach. Co też mnie podkuśiło, by włożyć te kremowe pończochy!

Kiedy to się zdarzyło... Aha, chyba w poprzednim wcieleniu byłam tą rozkoszną dziewczyną w męskich ramionach. Ale nie mogłam się nikomu przyznać, że orgazm mnie opuścił, i to tak skutecznie, że nawet nie wiedziałam, gdzie go szukać. Nie w tym miejscu i nie w tym czasie, bo pismo, w którym pracowałam, specjalizowało się w sprawie na „o”! Ou! Ooouooo! Przewodnie hasło magazynu z zeszłego sezonu — „Powiedz mi, jaki masz orgazm, a powiem ci, kim jesteś” — co prawda już wyszło z mody, ale dzięki brawurowej akcji pewnej firmy badającej prawa rynku zastąpione zostało nowym: „Nie mów mi, jaki masz orgazm, bo i tak wiem lepiej”. Wolałabym więc wyjść wszystkie ciasteczka i jeszcze kwiaty z wazonu naczelnej, choć dziś było to anturium, niż zdradzić tajemnicę mojej sypialni.

Straciłam orgazm, zyskałam fałdy. No cóż, nie można mieć wszystkiego. Jedyne, co było we mnie chude, to kostki nóg i portfel, choć — również na pierwszy rzut oka — mogłoby się wydawać, że jestem daleką krewną Paris Hilton. Ale w tym markowym świecie nie wolno było odstawać nawet na chwilę, nie mogłam wypaść z pierwszej ligi. Wymykałam się więc na wyprzedaje, szybkoitko wbijałam się w szpilki i udawałam, że mam je już tak długo, że zdążyłam zapomnieć. Biegałam w nich jak w trampkach, choć jeden palec zachodził mi na drugi, jakby chciały się zamienić miejscami. I marzyłam, by usiąść przy biurku i po cichutku zsunąć szpileczki z nóg... Ale tego nie robiłam!

W końcu Helmut Newton nie bez powodu zostawił obcasy swoim modelkom. Zrzucił z nich kapelusze, rękawiczki, kolczyki, pończochy, tylko nie szpilki — symbol kobiecej przewagi nad męskim światem. „Bez obcasów nie ma kobiety” — mawiał (choć poprawnie ideologicznie powinno być: bez obcasów i bez orgazmu...).

Byłam więc obłędnie modna i systematycznie spłacałam kredyty, by któregoś dnia nie zdarzyło mi się podjechać pod firmę z gromadą windykmenów i ochroną banku przyczepionymi do mojego auta jak puszeki po piwie do limuzyny amerykańskich nowożeńców. Bo grunt to sprawiać dobre wrażenie.

12.55

— Mam jeszcze jedną bardzo dobrą nowinę — oznajmiła naczelna, Olka — i chciałabym wam o niej powiedzieć przed moim wyjazdem.

Jest w ciąży! — pomyślałam.

Bank.

A przecież to do mnie miał podlecieć bocian z przesyłką. Tylko wciąż nie wiedziałam, kto miałby być jej nadawcą... Tkwiłam w świecie, w którym urodzenie pięciorga dzieci wydawało się prostsze niż poczęcie jednego. No cóż, ciąża była teraz na topie, nawet gdyby dotyczyła tylko jednej z osób, bo na przykład facet w ostatniej chwili by się wycofał, zmienił zdanie lub po prostu się znudził. Trzeba to zrozumieć, bo przecież dziewięć miesięcy w życiu mężczyzny to jakby schyłek epoki, tyle opuszczonych meczów, imprez, spotkań z kumplami, i te nie wypite kufle piwa... W naszej firmie istniał więc niepisany kodeks — wszystkie dzieci, psy i koty są nasze. Jeśli nie masz co zrobić z pociechą, podrzuć nam! My się zaopiekujemy, któraś z nas zostanie

matką chrzestną, zabierzemy do McDonalda na obiad.

— Mam dobrą nowinę... — powtórzyła Ola.

Spojrzała na mnie oczami jak dwa oceany, ale na pewno nie te spokojne, a po chwili, ups, sięgnęła po ciasteczko. Droga była przetarta. Ale cóż, ciężarna mogła złamać zasady diety. Jadła słodczyce na naszych oczach, a my przełykałyśmy ślinkę. Bo w tym pokoju czas na przyzwoite śniadanie jeszcze nie nadszedł. Nie wypadało się delektować nowymi smakami, ale nowymi technikami, jak zgrabnie i dosadnie ujęła to Marta. Hm..., to może potem. Aż dziwne, że przed zatrudnieniem nie robiono nam egzaminów...

— Powiedziałabym wam tę nowinę, ale, ale...

Tu Olka zawiesiła wzrok na drzwiach, a potem na biuście Doroty, na którym nietrudno było zawisnąć. Ponętna kobieta była z tej Doroty, ozdoba naszej redakcji. Z przyczyn natury organicznej siała wibrujący niepokój, gdy dryfowała przez korytarz. Nawet o dziesiątej rano wyglądała jak osoba gotowa złożyć komuś nierozważną wizytę, wbrew groźbom, prośbom i przekleństwom żony i łkaniom dzieci tego kogoś. Choć w moich oczach była samą miłością. Nieokielznaną, to prawda, trochę rozbuchaną w formie i nieobliczalną, ale przecież taka jest prawdziwa miłość, czyż nie?

— ...ale gdzie jest ta Ulka z ptasim mleczkiem? Przecież poszła pół godziny temu — zaniepokoiła się Olka.

No dawaj, Ola — chciałam krzyknąć — bądź dzielna, powiedz to, przecież każdy pewnik to spokój. Zaopiekujemy się maleństwem, damy mu na imię „OUUUPS” i będzie jak nasze, ale się powstrzymałam. Bo w modzie w tym sezonie było też milczenie, jako że „Milczenie jest bardziej wymowne niż słowa i wtedy bardziej nas widać” — tak powiadają, choć nikt tego nie słyszał. Staralam się przestrzegać tej zasady.

I prawie zawsze ją łamałam...

— Wcześniej musiała upolować ptaka — zaśmiałam się.

Tylko ja.

— Pewnie szuka go na cmentarzu — dorzuciła ponuro Aśka.

Bo choć lato nie dawało za wygraną, my już miałyśmy planowanie listopadowego numeru. Nic więc innego niż Zaduszki nie przychodziło nam do głowy. Oczywiście mogłyśmy jeszcze skupić się na Halloween, ale to takie mało sexy biegać w bieliźnie i z dynią na głowie. W związku z Zaduszkami miałyśmy mnóstwo pomysłów, takich jak moda w kolorach ziemi, wirtualne podróże po cmentarzach, podgrzanie erotycznej temperatury płomieniem od znicza i najgorętsze odmiany seksu na zimnej płycie.

Olka wciąż milczała, a nasze jakże oryginalne pomysły odbijały się od ściany.

Byłyśmy nie do zdarcia. Potrafiłyśmy cierpliwie wymyślać jakiś tytuł i pięć godzin analizować jedno zdjęcie, na które potem nasza czytelniczka ledwo rzuciła okiem.

Czułam satysfakcję, że każdego dnia tworzyłam coś kreatywnego i pożytecznego.

Miałam rację.

— No więc chciałam jeszcze raz powtórzyć, że ostatni numer sprzedał się w nie-wy-o-bra-zał-nie dużym nakładzie — uśmiechnęła się do mnie Ola.

Sięgnęłam po komórkę. Jedna wiadomość. Uf, jedna. Ale za to jaka!!! Czyli jednak Piotr zwany Cukiereczkiem nie zapomniał o mnie. Zostawił mi wymowne nagranie zakończone przestroga: „Musimy porozmawiać, Julio”.

Nic nie musiałam!

Czułam się, jakbym przemierzała Saharę.

— Julka, chodźmy na lunch — poprosiła Janka.

W tle usłyszałam Elkę wołającą do sekretarki — „Aniu, essssprreeessso proooszę!”.

Nieźle! Jeszcze Ola nie zdążyła wyjechać, a Elka już się panoszy.

— Zaraz, tylko napiszę dwa zdania — powiedziałam do Janki. — Jasne, że pójdziemy, jesteś przecież taka ładna, że warto pokazać się z tobą i zadać szyku. Wyobraziłam sobie, jak wspaniale byś wyglądała w sukni opinającej ciało, w jakiej chodziła Marlena Dietrich. Jeśli będzie gdzieś na aukcji, to daj mi cynk, zrobię zrzutkę narodową, żeby ci ją kupić. Ech, Janka...

Janka naprawdę była piękna i ładnie patrzyła na świat. Chwilami miałam wrażenie, że nie powinna gapić się tylko w ekran komputera, ale żyć bardziej twórczo. Robiła świetne zdjęcia. Potrafiła do każdej rzeczy dodać tyle światła, ile trzeba. Umiała ubarwiać nawet szarość. Wyglądała na kogoś, kto już w dzieciństwie zawsze miał pod ręką odpowiednie kredki. I wciąż nie umiała się z nimi rozstać.

13.45

— Znasz historyjkę o Robespierre?

Mówiąc to, Janka rozgrzebała krewetki na talerzu. Chyba nie była głodna. Albo coś odebrało jej apetyt. Mój widok?

— Danton mówi do Robespierre'a: „Wolę być zgilotynowany niż gilotynować”. Po czym odgarnia włosy z karku i kładzie jego rękę na swojej szyi. „Czujesz tę głowę? Będiesz ją musiał ściąć”. Tak się właśnie czuję, Julka, jak Danton. Jak beczka prochu.

Nie miałam pojęcia, o czym mówiła, i aż bałam się pytać. Jeśli ona była Dantonem, to jej mąż Maks chyba stał się Robespierre'em, a życie w ich domu zmieniło się w rewolucję. Na pewno przesadzała.

— Nie przejmuj się, ja pewnie już kilka razy straciłam głowę i nawet tego nie zauważyłam. Życie nie boli bardziej, niż byśmy pozwolili dać mu to odczuć — powtórzyłam złotą maksymę mojej mamy.

— Zależy czyje — skwitowała. — Pieprzone życie.

— A co na to twój Robespierre? — spytałam.

Janka opatulila się czerwonym szalem, choć przecież było ciepło.

— Robespierre? Chyba się od niego odcinam. Na tym polega mój problem. Główna myśl, która zaprzęta od jakiegoś czasu moją uwagę, to ta, że czas mnie nagli. A druga — że tylko tyle.

Powiedziała to bardzo spokojnie, choć wyglądała na kobietę, która miała ochotę rozbić krzesło

na czyjejs głowie.

Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że powinnam powiedzieć jej coś pocieszającego, ale nie potrafiłam. Miałam z tym kłopot — głos mi się łamał, gdy przeczuwałam coś, czego nie umiałam nazwać. Niby wiedziałam, że najlepiej wychodziło mi mówienie wprost, ale ze strachu tego nie robiłam.

Patrzyłam, jak Janka wolno odrywała od papierowej serwetki drobne kawałki, jeden spadł na jej talerz, przykrył krewetkę, a inny zsunął się lekko ze stołu. Pomyślałam, że jednak ładnie jej w krzywej, dziwnej grzywce, na którą namówiła ją oczywiście Aśka. Ta fryzura wydobywała tajemnicę jej oczu, tę niedzisiejszą melancholię.

— Powiem ci tak: zrobiłam coś, do czego się nie nadaję — wyszłam za mąż za mężczyznę i za jego byłą żonę — Janka powiedziała to z godnością, na jaką jeszcze było stać kobietę mówiącą o sobie w taki sposób. — Wiedziałam, że Maks ma za sobą nieudany związek, syna, którego uwielbia. Ale znasz mnie przecież, zawsze patrzę na wszystko przez różowe okulary. Wydawało mi się, że się wszyscy pokochamy. Zamówiła piwo.

— Tak nie jest — mówiła dalej. — Ta kobieta mnie obraża, wykrzykuje na przykład, że nie mogę do Maksa zadzwonić, gdy on jest u syna. No więc nie dzwonię. Ale ona nie docenia mojego taktu. Tego, że grzecznie mówiłam do Maksa: „Tak? Ona chce, żebyś przywiernił jej coś tam do ściany? To zrób to, kochanie”. Prawdę mówiąc, nawet nie wiedziałam, że Maks ma wiertarkę... „Ona życzy sobie, żebyście wybrali razem buciki dla dziecka? Oczywiście, kochanie, pędź na zbiórkę”. Ona wymyśliła, żeby on kupił kombinezon dla synka, to idę z nim i doradzam, a czasem nawet płacę, w końcu to dla jego dziecka, a więc jakby trochę naszego.

Janka odstawiła talerz z jedzeniem.

Miała kłopot.

Bałam się, że za chwilę i ja miałam go poznać.

— Wiesz, wszystko wydawało mi się do pogodzenia, nawet kiedy czegoś nie rozumiałam. Ale ostatnia sytuacja mnie przerosła. Wyobraź sobie miły poranek, sobota, pijemy kawę — i nagle SMS od jego byłej żony. Ośmieliła się wysłać mojego męża do sklepu po zakupy dla niej pod pretekstem, że dziecko ma wirusa i ona nie może z nim wyjść. Słyszałam o tym wirusie już od tygodnia. Jakoś nie przeszkadzał jej zaprowadzać małego do przedszkola. Przeszkodził jej za to w sobotę. No więc przygotowała mojemu mężowi listę zakupów, a on je zrobił. A przecież wystarczyło tylko, żeby jej powiedział: „Chyba przesadziłaś. Moja żona sobie tego nie życzy. Ja również”. Ale on po prostu poszedł do sklepu.

— A ty?

— Przeryczałam całą sobotę. „Poślubiłam frajera!” — mówiłam do lustra i płakałam jak bóbr. Nie mogłam pozbyć się pewności, że nawet była żona Maksa tak pomyślała, gdy zobaczyła go z siatami pełnymi bagietek, ziemniaków i innych rupieci, których mały wcale nie je. Julka, przecież nie chciałam być z frajerem. Rozumiesz?

— Czy jesteś w stanie sobie wyobrazić, że coś takiego właśnie ciebie spotyka? — spytała Janka.

Mnie?

A dlaczego?

Za co?

Dla mnie świat, o jakim mówiła, był nierealny.

A jednak spróbowałam sobie to wyobrazić: jest późne lato, słońce prześwieca przez perkalowe firanki, które na krawędziach mają wyhaftowane po trzy maleńkie kwiatki, jak narysowane ręką dziecka, bez dbałości o szczegóły, bez łodyżek. Stawiam dwie filiżanki z kawą na stoliku, sięgam po cukierniczkę, wsypuję po jednej łyżeczkę cukru do każdej z filiżanek — najpierw do jego, później do mojej. Nie mieszam. Czekam, żeby trochę wystygła, nie lubię gorących napoi. Rozlega się sygnał SMS-a, on sięga po komórkę, która leży obok cukierniczki. Czyta. Ale nie mnie. Wykręca czyjś numer, niczego mi nie tłumaczy. „Tak? Dobrze, zaraz jadę”. Odkłada telefon. Oznajmia, że była żona chce, żeby jej zrobił zakupy, bo dziecko ma katar. A ja myślę, że właśnie usłyszałam coś, czego nigdy nie chciałabym usłyszeć. Nie mówię, że ona może sama iść do sklepu. Przecież

nie o to w tej historyjce chodzi... Milczę. Nie oburzam się, że ona zakłóciła nam dzień. Nie protestuję, że jeśli podjęła tak ryzykowną decyzję, by zmarnować mu sobotę, powinna też o to samo poprosić i mnie. Przecież to nam obojgu zepsuła dzień. Powinna więc mieć na to nasze pozwolenie. Nic nie mówię. Nie będę tłumaczyć czegoś tak oczywistego. Zastanawiam się, jak on mógł na to pozwolić. Jak mogli oboje mi to zrobić. „Ona chce, żebyś poszedł po jej zakupy?” — upewniam się zdziwiona. — „A ja? Też mam z tobą iść? Czekać pod sklepem? Zostać sama w domu? A może zasnąć na dwie godziny i udać, że w ogóle nie istnieje?” — pytam. Mam ochotę natychmiast wyjść.

Z tego domu, z jego życia, z ich życia.

Bo nagle widzę, że to ich byle jakie trwanie na pół gwizdka ciągle się tli.

Że on prowadzi podwójną grę.

Że jest miłośnikiem letnich sekretnych związków.

Zaczynam rozumieć, że chciał posadzić mnie na ławce rezerwowych.

Czy on mi się nawet dobrze nie przyjrzał?

Na pewno wnikliwie mnie nie poznał, nie zrozumiał i nie pokochał tak mocno, żeby zauważył to każdy, także jego była kobieta.

Tak mocno, jak ja go kochałam.

Jak mógł nie dostrzec, że nadaję się tylko do związku na wyłączność?

Że jestem stworzona do rozpracowywania najbardziej brawurowych rozgrywek, a nie do czekania na swoją szansę.

Jak ośmielił się postawić mnie ponad kobietą, która nie szanowała jego życia?

A potem...

Wstaję wolno, sięgam po nasze ślubne zdjęcie, to najładniejsze, na którym się w niego wtulam tak mocno, że nie widać mojej twarzy, tylko włosy spływające po jego ramieniu... i roztrzaskuję je na podłodze. „Wynoś się z mojego życia! — krzyczę. — I to już! Idź tam, gdzie wciąż chcesz mieć swoje miejsce. Miej je!”.

Uderzam go w plecy.

Trzaskam drzwiami. Płaczę.

Nie mogę się powstrzymać.
Kiedy ja tak bezradnie płakałam?
Kiedy poczułam się równie boleśnie oszukana?
Chyba tylko w dzieciństwie.
Wylewam zimną kawę do zlewu.

14.19

— A może on ją kocha? — wyrwało mi się.
— Może.
— Przepraszam za to głupie pytanie.
Janka tylko się uśmiechnęła.

— Przecież to proste, po co wy tak bardzo sobie komplikujecie życie? — powiedziałam radośnie. — Maks ustali spotkania z dzieckiem i doda, że w pakiecie nie ma zakupów. Inaczej będzie jej kupował choinkę na święta, skrobał karpia, mył okna i w nocy podrzucał piwo, bo dziecko nie chce mieć mamy w depresji. Dla synka, rzecz jasna.

— On właśnie nie umie tego zrobić. I jak ja mam zdecydować się na własne dziecko i stworzenie z nim rodziny? — spytała. — Przecież on już ją ma. A zresztą... Chodź, wracamy do pracy.

14.52

Janka powinna szczerze z nim porozmawiać — wpatrywałam się w komputer i nabierałam przekonania, że muszę jej jakoś pomóc.

W rozwinięciu tej rewolucyjnej myśli przeszkodził mi telefon.

— Jesteś w pracy? Co robisz? — usłyszałam w słuchawce pytania warte błyskotliwych odpowiedzi.

To znów był Piotr.

Mężczyzna skłonny wykręcać numer mojego telefonu kilka razy dziennie i czekać na mnie ze świeżo zaparzoną kawą nawet za trzydzieści lat.

Jedynie, co nas łączyło, to sylwester i kilka tygodni przed nim, ale dla Piotra to był wystarczający kapitał na jego dalsze życie. Warto podkreślić, że od ponad pół roku toczyło się ono już beze mnie, ale Piotrowi to nie przeszkadzało w traktowaniu mnie jak najważniejszej kobiety. Kochał mnie hojnie, bezinteresownie i pomysłowo. Zostawiał miłe prezenty i listy z moim imieniem napisanym flamastrem na kopercie, zawieszzone na choince pod lasem, wciskał karteczki za wycieraczkę mojego auta, budził mnie telefonami, przysyłał piosenki i pragnął mnie widzieć każdego dnia. Podrzucał mi cukierki, czekolady, czekoladki, góry kalorii. I jeszcze mówił do mnie „Cukiereczku”. Przyzwyczaiałam się do jego słodkiej adoracji. Miałam wrażenie, że ona mi się po prostu należy, jak latem drzewu liście, a żabie bajoro. Za nic.

Myślałam, że wiedzieliśmy to oboje. Że on rozumiał, iż nie chciałam z nim być. Że musiałam nauczyć się być sama ze sobą, by w samotności stworzyć siebie, dowiedzieć się, czego chcę, a nie ot tak, zaistnieć sobie obok niego.

Tak mi się wydawało jeszcze dziesięć dni temu.

Bo właśnie wtedy Piotr zaproponował mi wspólne życie w Monterey. Zrobił to tego samego dnia, gdy dostał tam muzyczny kontrakt. Powiało grozą. Nie spodziewałam się, że traktował moją wielomiesięczną obojętność jako dojrzewanie do poważnego związku z nim. I nagle

miałam dylemat: albo wybrać Kalifornię i Piotra, albo odmówić i go stracić. Ani jedna, ani druga perspektywa nie była mi miła. Nie mogłam tego pojąć, że podczas gdy ja przez wiele miesięcy wierzyłam, że kochał mnie abstrakcyjnie, na własne życzenie, i wybaczał nawet to, że go nie chciałam — on cierpliwie czekał, aż go docenię, i spokojnie zabiegał o wzajemność uczuć. Nawet to, co powiedziałam mu dwa dni temu — „Wszystko należy do ciebie z wyjątkiem tego co mnie prosisz. Nie prosz mnie już nigdy więcej” — go nie zraziło. W ten właśnie obcesowy sposób skomentowałam jego prośbę o wspólną przeprowadzkę za ocean.

Powinłam być bardziej dalekowzroczna i przewidzieć, że nie zranię tym zdaniem jego uczuć.

A może wcale tego nie chciałam?

Był uparty jak mały chłopiec, który czepiał się moich nóg i nie pozwalał odejść.

Pozwalałam mu na to.

Wzruszał mnie.

Chyba pochlebiali mi, że Piotr trwał przy mnie pełen oddania, choć zerwałam z nim zaraz na początku stycznia. Prawdę mówiąc, zrobiłam to, by nie wchodzić w nowy rok z niepotrzebną miłością. Nie potrafiłam powiedzieć, dlaczego jej nie chciałam. Nie umiałam też wytłumaczyć tego Piotrowi, bo niewiele mogłam mu zarzucić. Po prostu to nie był on. Jednak Piotr nie tracił przekonania, że ja równam się

jego przeznaczeniu. I udawał, że wciąż tworzymy parę, tylko mamy drobny kryzys. Kryzysik.

— Co robisz, Cukiereczku? — powtórzyłam jego pytanie. — Właśnie gram na klarncie wesołe kuplety, flirtuję z młodym wiolonczelistą świeżo przybyłym z Japonii, odbieram porody i zażywam kąpiele słonecznych. No i nie spuszczam oka ze swojego szczęścia, które brodzi w coraz większym błocie, i boję się, że na amen się utopi. Moczę jeszcze stopy w soli leczniczej Złoty Zdrój — dodałam całkiem przytomnie, bo poczułam, jak szpilki zrastają się z moimi stopami.

— Zjesz ze mną lunch? Jestem na dole.

Był na dole. NA DOLE! Stał pewnie na chodniku przed budką z chińskim jedzeniem. Gdyby chociaż czekał pod jaworem albo w cieniu migdałowca, jak ten niestrudzony samotny łowca cudzej ukochanej, Florentino Ariza.

— Tak sobie po prostu przyjechałeś? Bez uprzedzenia? Skorzystałeś z zaproszenia straży miejskiej? Prosiłam przecież, żebyś do mnie nie przyjeżdżał.

— Nie chcesz? — spytał mnie po raz setny w tym miesiącu.

Pewnie, że nie, a domniemanie, że było inaczej, nie miało podstaw! Lepiej, żeby już nic nie mówił. Byłabym niesprawiedliwa, gdybym nie przyznała, że Piotr miał ten szczególny rodzaj wdzięku, którym obdarzeni byli mężczyźni łagodni, ale stanowczy i uparci. Nie był bez zalet. No zgoda, miał prawie same zalety. Umiał wprowadzać w moje życie ład i nigdy się nie unosił, bo uważał, że byłoby to poniżej jego godności. To, co go wyróżniało, to spokój i refleksja. Pewnie daleko w życiu zajdzie, tak, na pewno, ale przecież nie ze mną! Już dawno temu od niego odeszłam i powędrowałam sobie w inną stronę. Czy on naprawdę tego nie zauważył?

— Tylko proszę, nie mów, że jesteś już pod drzwiami redakcji — broniłam się.

Zbędny protest, bo Cukiereczek miał w zwyczaju zjawiać się nie wtedy, gdy trzeba. A jednak poczułam się zła, że mnie nachodził! Zachowywał się jak rycerz gotowy nieść ratunek, ale nie był biegły w zasadach pierwszej pomocy, do tego brakowało mu orientacji w prognozach atmosferycznych i poczucia zdrowego rozsądku. Pędził, by pędzić. Gdy zimą się rozchorowałam, nie pamiętał o mnie cały dzień, choć utrzymywał, że tak szalenie mnie kocha. Pewnie był zajęty, choć przecież nie grał w tym czasie na organach w katedrze podczas niecierpiących zwłoki

ważnych uroczystości ani nie wysyłał wołania o pomoc alfabetem Morse'a ze środka Oceanu Indyjskiego. Powinnam mu to wybaczyć? Tylko w imię czego? Cukiereczek przypomniał sobie o swoim największym pragnieniu w życiu (tak o mnie wtedy mówił) dopiero późnym wieczorem: „Gdybym wiedział, że masz gripę, byłbym przy tobie, nie odchodziłbym na krok” — tłumaczył się później.

Kłamał albo nie znał ulotności chwili.

— Julka, chcę z tobą porozmawiać. Kiedy będziesz mogła?

— Ostatnio rozmawiam sama ze sobą. Oszczędzam w ten sposób czas i unikam kłótni.

— Znowu zaczynasz?

Co za pytanie. Przecież mnie się wydawało, że już dawno z nim skończyłam! Choć przyznaję — w sylwestra był taki moment, że go lubiłam, że zjadałam się jego cukierkami, dławiałam się nimi i wmawiałam sobie, że mam dolce vita z Cukiereczkiem, takie mdłe, lepkie, sugusowate, ale przyklejałam się, choć tak naprawdę mnie od niego odpychało. Jednak tuż po sylwestrze odepchnęło mnie na dobre. Przy-

rzałam się sobie uważnie i wszystko zrozumiałam. „Chciałabym chwilę zostać sama” — powiedziałam. I ta chwila trwała do dziś. Tamtego dnia dostrzegłam na swoim ciele rany spowodowane jego dotykiem. Nie był szczery. Piotr miał takie ciepłe dłonie, na koncertach potrafił wyczarowywać subtelne dźwięki, a jednak nie umiał obchodzić się ze mną delikatnie.

Jeszcze wyraźniej to poczułam, gdy po kilku dniach przyszedł przeprowadzić ze mną tak zwaną poważną rozmowę. Zapamiętałam tylko jedno zdanie, które wtedy powiedział — „Wiesz, to ja już pojedę umyć twój samochód. Jeśli teraz wyjdę, dłużej nim pojeżdżę”. Byłam z miłośnikiem mojego auta! Kluczyki wypadły mi z ręki. Pierwszy po nie sięgnął. Miał powód. Uśmiechnął się, obrócił na pięcie i pobiegł. Każdy miał jakąś słabość, pomyślałam, nawet tak pięknie opakowany Cukierek.

Gdyby wiedział, że to auto na kredyt.

A gdyby jeszcze usłyszał, że miałby je spłacać...

15.35

— Marteczko, wczoraj oglądałam film o facetach, którzy udawali orkiestrę. Widziałas takich kiedyś?

Powiedziałam to i wpatrzyłam się w komputer, pisząc kolejne zdanie do artykułu Najgorętszy dotyk tego sezonu. Chodziło oczywiście o szalik.

— Rozumiesz, koleś siedział przy okrągłym stoliku — kontynuowałam — palił papierosa, strącał popiół na podłogę, wiesz, tak po męsku, i nagle leniwie zaczął wydawać z siebie odgłosy jak dzika kocica. Taka jak w naszym magazynie, na stronie trzydziestej szóstej. Pamiętasz ją? — dodałam i przy-

stąpiłam do przeglądania konkurencyjnego miesięcznika o tak modnym tytule, że nie śmiałabym go wymówić, z którego dowiedziałam się, że dodatkami w tym sezonie miały być wielkie torby, gigantyczne jak worki na kartofle dla mieszkańców średniej wielkości pensjonatu, oraz za duże sukienki ściągnięte paskiem. Może jednak nikomu nie oddawać tej pomarańczowej lnianej kiecki, choć przerastała mnie o dobre dwa numery. Pomarańczowa? Czy to w ogóle trendy?

— No i co, Julka? — po dziesięciu minutach Marta upomniała się o ciąg dalszy filmu.

— A nic, tylko na końcu tego przydługiego utworu wysoki i, jak się wkrótce okazało,

obrzezany brunet zaśpiewał niczym cały kwartet smyczkowy z puzonem w tle. Talent to jednak coś, Marta.

Do artykułu dopisałam kolejne zdanie: „Dotyk, jakiego jeszcze nie czułaś. A przecież cały czas był w zasięgu twojej ręki”.

16.15

Pisałam sobie spokojnie, gdy nagle na moje biurko wpadła Aśka i rzuciła na klawiaturę torebkę. Zdecydowanie za małą, niezgodną z obowiązującymi trendami, niedobrze. Wysypały się z niej puderniczka, notes, komórka i dwie kredki do oczu w tym samym kolorze, tak jakby jedna była do lewego, a druga do prawego oka.

— Cemu jesteś taka zła? Coś się stało? — spytałam.

Aśka pokręciła się w kółko, spojrzała na nas i warknęła:

— Co wy tak po ciemku siedzicie?! Im bardziej ponure czasy, tym jaśniej powinno być w pokoju. Zapamiętaj to sobie, Julka — i pstryknęła jarzeniówki.

Najbardziej nieseksowne światło na świecie. Nagroda specjalna dla pana, który je wymyślił. Chyba nie lubił kobiet. Podobnie jak tego dnia Aśka.

— Na tym spotkaniu w sprawie reklamy były same baby. A przecież wiadomo, że łatwiej do wszystkiego przekonać mężczyznę — dziwiła się.

No, może nie do wszystkiego, bez przesady.

16.35

Czas biegł nieubłaganie, a my byłyśmy coraz bardziej zmęczone, znudzone i wciąż niezakochane.

— Co byś powiedziała na babeczkę z truskawką? — spytałam Martę.

— Chętnie bym zjadła, a masz?

— Nie, ale też bym zjadła.

— A może filiżankę herbaty? — spytałam po chwili.

— Chcesz, żebym ci zrobiła?

— Tak? Zrobisz mi? Ale jesteś kochana, Marta.

17.11

Wciąż tonęłam w stercie papierów, artykułów i teczek pełnych zmian, które miałam niezwłocznie nanieść, gdy przypominałam sobie, że cztery godziny i dwa dni temu obiecałam oddzwonić do Kaśki. Była to moja jedyna prawdziwa przyjaciółka, choć zupełnie inna niż ja. Gdy z nią rozmawiałam, miałam wrażenie, jakbym grała w zwariowanym filmie o dziewczynie, w której życiu wszystko oprócz seksu wychodziło na opak. Kaśce uwodzenie udawało się najlepiej z czynności, do których się zabierała. Wystarczyło, że włożyła spódniczkę, i sukces gwarantowany. „Nieważne, jaką dziewczyna ma głowę, myśli, stopy czy nos, bo dla facetów

liczy się tylko spódniczka” — narzekała potem. Nic dziwnego, że ją to znudziło. Tydzień temu stwierdziła, że ma dosyć świata, w którym szampan był za młody, a mężczyźni za starzy. „Ciagle spotykam takich ponuraków, że chyba nawet w dzieciństwie nie przypominali dzieci. Samolubnych, egoistycznych ssaków, brzuchaczy, zapadnięte klaty, łysych, brodatych”. Jednym słowem — wszystkich. Wzięła kilka dni urlopu i uciekła na wieś, do swojej wąsatej ciotki. Nie było to w jej stylu, by zamiast włóczyć się nocą w najnowszych szpilekach od Gucciego po Mediolanie czy Paryżu, spacerować w trampkach wokół obory. Wybrała jednak naturę. I to naturę wśród krów!

— Każdy tu myśli, że na podryw przyjechałam. Nawet ten łysy rzeźnik w sklepiku na rogu! — krzyczała mi w słuchawkę. — Julka, nie przejmuję się tym. Mam dość facetów. Kobiety powinny się żenić wyłącznie z kobietami, bo tylko one się rozumieją, przynajmniej nie byłoby rozwodów. No i odpoczywam. Dbam o linię. Na obiad czytam japońską literaturę, zdania w stylu „Pada. Wciąż pada”, i sama sobie nalewam wino do kieliszka, tyle, ile chcę, i tak często, jak mi się podoba. A mam co oblewać, bo od wczoraj jestem sama. Ten... Mówiłam ci o nim? No ten, od samolotów...

— Ten, który proponował ci sobotni wieczorek przy świecach? — zaśmiałam się.

— Nie, Julka, wolę krowy od tych krętaczy. A co u ciebie? Może wpadniesz?

— Chciałabym, ale wciąż nie mam z kim — odpowiedziałam.

— A ja czuję, że mogę wszystko. Bo, poczekaj, jak to było... „pogodnej dziewczynie do szczęścia wystarczy odrobina słońca, trochę koronki, satynowe trzewiki i szyfon”. Kto pisze w gazetach takie bzdury? To u ciebie był ten beznadziejny fragment, w twoim modnym magazynie?

— Trzewiki i szyfon w „Ouuups”? U mnie byłyby obcasy, stringi, no i ten na o... orgazm.

— A co ty wiesz o orgazmach? Chyba że takich podniebienia — zaśmiała się. — Ale posłuchaj dalej... Gdzie mam tę gazetę... Tak, tak, to jednak nie twój magazyn, ale ci przeczytam, co oni wypisują: „Pamiętaj, jeśli malujesz usta jasną szminką, absolutnie nie używaj konturowki”. Co to za rozkazy! No i co mi zrobią, jak użyję? Albo to: „pamiętaj o kulcie perfum”. Jaki kult? Perfekcyjne usta, perfekcyjny orgazm i to perfekcyjnie plastikowe życie, chyba powariowali. Julka, zaczynam nie przystawać do współczesności. Staję się siostrą mojej babki, choć wyglądam na wnuczkę Sophii Loren.

17.25

Straciłam zapal.

Pomógł mi w tym SMS — „Julio, a więc odeszłaś. Zostawiłaś mnie. Wierzyłem, że jestem w twoim życiu kimś ważnym, ale byłem naiwny. To wszystko zrobiłem z myślą o tobie. Ale OK, bądźcie szczęśliwi. Mam nadzieję, że ON okaże się ciebie wart” — napisał mi MK, moja przeszłość, która próbowała stać się teraźniejszością. Piękne wyznanie miłości, widać w tym było rozważę i duże doświadczenie. Mogłam piąty raz powtórzyć, że jestem sama, że nie dlatego go zostawiłam, nie dlatego odjechałam, ale po co? Po to, żeby wrócić do czegoś, co nawet przez chwilę nie było moje, co nie dawało mi nadziei? Gdy go poznałam, bez trudu mogłam sobie wyobrazić męki kobiet, które pochopnie go pokochały. Wynajdywałam wszelkie preteksty, żeby tego nie zrobić. Starłam się być podstępna. Ale kobiety wcześniej czy później same wpadają w zastawione przez siebie pułapki, a ja przecież byłam tylko jedną z nich. Jak mogłam to zrobić! Patrzyłam na niego ze wzrastającym uwielbieniem i ogarniał mnie coraz większy lęk. Jak długo to trwało? Nie będę podawać cyfr, bo one nie oddają prawdy.

Zatapiałam się, zanurzałam się w nim, a po każdym spotkaniu pytałam samą siebie: „I co dalej?”. Myślałam: „Mogłabym z nim wyjechać, byłabym szczęśliwa”. I po chwili temu zaprzeczałam: „Przyznaj, że wcale by cięto nie cieszyło”. Niepewność, która poczułam przy nim to był innego rodzaju kłopot niż brak pewności.

„Ze względu na to, co nas łączyło, powinnaś przynajmniej zdobyć się na szczerość” — napisał jeszcze. Mylił się. Ze względu na to, że go pokochałam, już na nic nie powinnam się zdobywać. „Zawsze będziesz w moim życiu kimś bardzo ważnym. Dbaj o siebie” — doradziłam mu.

No i się doczekałam. „Za mocno cię kochałem” — odpisał.

Może kochał mnie za mało, za lekko, zbyt zwiewnie, zbyt zwinnie, zbyt niedostrzegalnie, zbyt ulotnie, zbyt skrycie, może też w ogóle.

Ale za mocno?

Próbowałam znaleźć sposób, by to zrozumieć. Układałam swoje życie, jakby było z puzzli, i wciąż brakowało w nim jednego — tego z sercem.

Nie było w nim miłości, choć przecież słyszałam o niej.

Nie umiałam o MK zapomnieć, wciąż pozostawał w moich myślach.

Nie mogłam się pozbyć tej odpowiedzialności, jaką czułam za jego samotność, choć pozornie miał przy sobie tyle osób.

Nie mogłam zabić tej miłości.

Bo nie potrafiłam pokochać nikogo innego.

17.45

Zdenerwował mnie ten SMS.

Miałam wrażenie, że świat obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, że wszystko się wokół mnie zmieniło, że ja też już nie jestem sobą, ale nikt w redakcji tego nie zauważył. Gdybym przyszła w nowych butach, może coś komuś rzuciłoby się w oczy. A tak to tylko Marta dostrzegła, jaki mam kolor swetra. I Janka dodała, że trochę zbladłam.

18.02

— Dziewczyny, nie wychodźcie! Musimy jeszcze zmienić zdjęcie, nie może być znów kochająca się para, to nudne! — głos Oli wyrwał mnie z rozmyślań.

— A może zilustrujmy to seksem z zoo? Jakie zwierzęta spotykają się tylko po to, by kopulować? Które przyciąga chemia?

— Myślisz, że są takie, które idą na randkę, by pogadać o kinie brazylijskim albo zagrać w sportowego brydża? Sądzisz, że są zwierzęta, które dyskutują o molekułach i dobierają się genetycznie? — wciąż pytałam, bo chciałam wiedzieć.

— Julka, znajdź jakiegoś specjalistę.

Miałam więc misję — zadzwonić i zapytać o kopulujące zwierzęta. Tylko kogo? Jasne, ciotkę Krysię, eksperta w tej dziedzinie. Punkt dla mnie. I nagle po latach głuchej ciszy wyobraziłam sobie, jak chwytam za słuchawkę i seksownym, lekko przytłumionym głosem mówię: „Ciociu, proszę o pomoc, bo wiesz, chodzi o seks, nie, u mnie w porządku, dziękuję, chodzi o seks ssaków, rzecz jasna. O chemię, związki organiczne, rozumiesz, ciociu”.

Zadzwoniłam do mamy po numer telefonu do ciotki.

— Chcesz dzwonić do Krysi, która uśpiła dwa swoje psy, a kota oddała na wieś, i pytać ją o miłosne związki zwierząt? Kochanie... — zaśmiała się mama i po chwili z powagą w głosie dodała: — Julio, czy już wiesz, że Monika znów zmieniła termin ślubu?

Monika — to moja siostra. Ślub miał być najpierw w Krakowie, potem w Warszawie, raz piętnastego o szesnastej, potem trzydziestego pierwszego o piętnastej trzydzięci, a teraz? Co prawda nie zmienił się facet, którego chciała poślubić, ale chyba zmienił się jej sposób patrzenia na niego i na przyszłość, którą mieli stworzyć. Jedno tylko pozostawało stałe — Monika była w ciąży.

— Bierze ślub? — spytałam bez przekonania.

— Myślisz, że nie powinna? Źle wybrała?

Nie dało się ukryć — źle. Ale po co miałam rozwijać ten temat?

— No cóż, w pewnym sensie to rodzinna tradycja — powiedziałam tylko.

— Pa, córeczko. Przynajmniej ty nie bądź jej wierna.

Ja?!

18.15

— Proponuję ten artykuł zilustrować sceną rodem z haremu: jeden facet i wpatrzone w niego kobiety — powiedziałam serio, choć wątpiłam w każde swoje słowo.

— Świetny pomysł — usłyszałam.

Może i był dobry, ale co ja mogłam o tym wiedzieć... Nikt mnie nie kochał. A już na pewno nie ci, co powinni, i nie tak, jak chciałam.

Po głowie ostatnio gładziła mnie tylko fryzjerka.

Nikt mnie nie przytulał.

Nikt mnie nawet nie molestował...

Zaczynałam swój ulubiony rozdział martyrologii własnej.

No więc tak — Kaśka zdobywała każdego faceta, który wpadł jej w oko. Co prawda czwartego dnia okazywało się że nie były to wielkie trofea, tylko postrzelone jelonki, ale za to na starość będzie miała chociaż co wspominać. A ja?!

Baśka miała narzeczonego, z którym chciała kupić mieszkanie, w myśl zasady, że od czegoś trzeba zacząć, a potem może się pokochamy. Nie należało to do moich ulubionych scenariuszy życiowych, ten facet też nie był z mojej bajki, to mieszkanko — również, ale jednak coś! A ja?

Marta miała swoje marzenia o idealnym seksie, choć ułomnym... nie to, co ja.

Janka od pół roku miała męża, który wciąż chyba miał być żoną, ale przed nimi na pewno rysowała się piękna przyszłość. A przede mną?

Ołę uwielbiały tłumy mężczyzn. Co prawda teraz nie była kochana przez tego jednego, ale przecież już za chwilę pojawi się przed nią ktoś z bukietem płomiennych róż i z zaróżowionymi od emocji policzkami. A że przy okazji będzie chciał porzucić żonę z trójką dzieci? Trudno o ideał.

Moja siostra miała wziąć drugi ślub i urodzić drugie dziecko.

A ja wciąż dryfowałam przez życie jak radosny parostatek z przyczepionymi do burty rozbitkami, ale żadnego nie zamierzałam brać na pokład. Nie chciałam nikogo ratować. Nikogo uszczęśliwiać. Pragnęłam innych emocji. Chciałam, żeby to mnie wspierano z narażeniem honoru i godności, nawet jeśli wpadłabym do jakiejś kałuży i chciała pokonać rekord kraulem. I

jeszcze chciałam, żeby mnie przytulano, tak do końca świata i jeden dzień dłużej. Ale nie moles-
towano... A zresztą, co tam.

18.50

Rezerwa benzyny już się świeciła.

Karta kredytowa: dwa tysiące trzysta zł na minusie, karta płatnicza trzysta zł, wolnej gotówki — brak... Jechałam i myślałam... Ile ja bym dała (a nie miałam nic), by mieć tego jednego, jedyne go mężczyznę, w którego wtulę się, gdy wejdem do domu, który mnie schowa w swych ramionach i szepnie: „Jesteś?”. Marzyłam o życiu tam, gdzie nic nie było trendy, poza moim mężczyzną, który zdjąłby ze mnie część zmęczenia, obowiązków i tego ciągłego udowadniania, że jestem najlepsza. Który wziąłby mnie ze wszystkimi niedoskonałościami, a nie taką, na jaką wyglądałam. Któremu urodzę dzieci, podam herbatę i przytulę się w skarpetkach w zimne, jesienne wieczory... Nie dało się ukryć: marzyłam o roli jak w brazylijskim serialu, ale grałam w komedii pomyłek. A niech to!

— Olu, pozdrów ode mnie Nowy Jork — zadzwoniłam do naczelniej.

— A ty ode mnie Paryż. Nie daj się Escribo, to stary cwaniak. I me daj się Eli, ona lubi rządzić. Ale ty też to potrafisz.

19.30

Podjechałam pod dom mamy.

— Kochanie, jak miło cię widzieć.

Wreszcie ktoś się ucieszył na mój widok. Mama uwielbiała tak mówić i gładzić mnie po policzku. Ja tego nie lubiłam. Wstyd mi było, że ona to robi, a nie jakiś brunet wieczorową lub inną porą.

— Mam dla ciebie zapiekankę, prosto od Włocha. Z bakłażanami, pomidorkami, taką jak lubisz, Julio — powiedziała.

Podawała mi plastikowy pojemnik. Poczułam się, jakbym cofnęła się o całe lata świetlne i znów brała śniadanie do szkoły. Mama była wspaniała, choć narzucała mi nawet to, co miałam zjeść w ten wieczór! Ale nie miałam wyboru. Co z tego, że pracowałam w jednym z najbardziej poczytnych pism w kraju. Co z tego, że co piątek prowadziłam audycję w jednej z najbardziej słuchanych stacji radiowych. Co z tego, jeśli nie miałam grosza na koncie i faceta, któremu bym o tym powiedziała.

I który by mnie skarcił — ależ ty jesteś rozrzutna...

19.58

Nieubłaganie zbliżała się moja wizyta u stomatologa... Miałam wrażenie, że zaczynam osuwać się z krzesła. I wtedy usłyszałam:

— Czy dobrze się pani czuje?

Co za błyskotliwe pytanie!

— Na pewno dobrze? — powtórzył.

Już kiedyś widziałam tę uprzejmą minę, już kiedyś słyszałam takie słowa, nawet podobny tembr głosu... Idealny jak moje wspomnienie.

Mężczyzna, który się do mnie zwrócił, wydawał się miły. Ale był podstępny jak ktoś, kto lubi pochylać się nad człowiekiem z niemiłosierną troską, kto nie marnuje żadnej szansy na wtrącanie się w czyjeś życie, a potem ocenia i karci. Był jak wyrzut sumienia. Pytał, ile się da, łagodnie i przewrotnie.

Chyba miałam déjà vu.

Już siedziałam obok takiego mężczyzny w sali jako żywo zapożyczony z zamku Chambord. Bujna martwa natura w stylu francuskich akademików z drugiej ligi, samotne jabłko na innym obrazie. Ciekawe, czy ktoś je zjadł po tym, jak namalował. A może nie liczył się smak, tylko wygląd. Etażerka, nad nią lustro, w którym odbijało się światło lampy z kamiennymi inkrustacjami. Fotele, którym nawet szczury nie zagrażały w czasach największego głodu.

Brakowało tylko alabastrowych popiersi.

I kwartetu skrzypcowego w kącie.

Ten mężczyzna obok mnie...

20.03

Pytanie, które słyszałam już z ust mężczyzn ułożonych i logicznych jak on. Znałam to spojrzenie selekcjonera. Niezłe nogi — pewnie pomyślał, choć inni być może dostrzegliby moje zranione serce. Jednak nie on. Był z tych, którzy patrzą na samochód i pytają o cenę, o lakier, ale nie zastanawiają się, dokąd zdołałby ich zawieźć. Lubił auta, które szybciej traciły na wartości, niż mogły jeździć.

I podobne kobiety.

A jednak był bystry.

Nie marnował czasu na role drugoplanowe.

Bez trudu porozumiał się z losem, to było widać i czuć. W końcu nie wychowywał się na elementarzu, ale na przewodnikach po tym, co musisz mieć. Wiadomo co — elegancki minimalizm, wszystko w jednym i żadnych kompromisów. Szybko wybił się na niepodległość — od biedy, potoczności i nudy. I przede wszystkim od innych. Nieważne jak, ważne, że umiał.

Wyciskał z życia, co się dało.

A przecież miał tak delikatne dłonie, że mógłby przewracać nuty...

Pogładził brodę gładką jak on. Cały błyszczał jak szwajcarski scyzoryk mojego dziadka. Miałam tylko nadzieję, że był zawodny, bo ci idealni, nieskazitelni ludzie wzbudzali we mnie lęk.

— Nic się pani nie stało? Wszystko w porządku? — zadał mi kolejne pytania wzięte chyba od zaprzyjaźnionego psychoterapeuty.

Co „w porządku”?

Jak mógł mnie tak obcesowo i byle jak spytać, skoro nie wiedział, czym miałby być porządek w moim życiu.

Nie wiedział nawet, czy w ogóle sobie go życzyłam.

Może wolałam klasyczną zgodność — harmonię smaków, dźwięków i myśli — a nie po prostu

jakiś „porządek”.

Przesadził.

Był żywym ucieleśnieniem nietaktu, choć pod wieloma względami wydawał się łagodny i grzeczny, a nawet delikatny.

A może tylko marzycielski.

Porządek!

Nic nie było w moim życiu w porządku. Coraz bardziej oddalałam się od moich pragnień. Coraz szybciej jeździłam samochodem. Coraz mniej ostrożnie obchodziłam się z tymi, którzy mnie kochali. Coraz mniej taktownie traktowałam Piotra. A przecież tak ceniłam, że był kimś, przy kim można się było i pośmiać, i wzruszyć. Coraz mniej miałam rozumu, jeśli pozwoliłam sobie na wdanie się w romans.

To, że chciałam uciec od Piotra, to jeszcze nie był powód, by spotkać się z MK.

Bo ciekawe, jak teraz o kimś takim jak on zdołam zapomnieć.

Jak ten nieznajomy mężczyzna mógł mi zadać takie pytanie?

Było ono tak nieoczekiwane, a nawet gwałtowne, że zakrawało na napad na jubilera.

Brawurowe i upokarzające.

Patrzyłam na niego nieufnie.

Król rozgrywek va banque.

Chyba nie wydawało mu się, że takim pytaniem zmusi mnie do jakiegokolwiek odpowiedzi. Niewykluczone, że nieświadomie wkroczył na mój teren, na którym nie powinien się pod żadnym pretekstem znaleźć — ani jednym nieostrożnym słowem, a zwłaszcza takim pytaniem. Zadanie go takiej kobiecie jak ja to był lekkomyślny zamysł, a nawet naiwność z jego strony.

Jaka szkoda, że nie mogłam na to odpowiedzieć złowiesz-

czym basem: „Jasne, że mam problemy. Ale moje problemy są też twoimi problemami, cwaniaczku”, a potem pogłodzić sztuczne wąsy, postawić na sztorc sztywny kołnierzyk czarnej marynarki i spokojnie wyciągnąć pistolet z kieszeni spodni w prążki.

— Nic, z czym nie mogłabym sobie poradzić — od powiedziałam.

Niestety, zgodnie z prawdą.

I zagrałam w ten sam sposób, co on:

— A u pana? Wszystko w porządku? Sznurówka się panu rozwiązała.

Też wymyśliłam, ależ byłam żaloszna.

Nie muszę dodawać, że miał pantofle bez sznurówek.

Ale skąd mogłam wiedzieć, że tego dnia włoży wsuwane buty, i to nie buty, ale superbuty, jeśli nie wiedziałam, jakie miał wczoraj i jakie będzie miał jutro. Znałam tylko dobrą zasadę, że do garnituru powinno się mieć sznurowane pantofle, z pięcioma dziurkami na sznurowadła w dwóch rzędach, czyż nie?

Czułam, że łączy nas pokraczne podobieństwo.

Gdyby nie tego typu mężczyzna, i ja nie mogłabym istnieć.

Ale w tamtej chwili nie chciałam znaleźć wspólnego z nim punktu odniesienia.

I gdybym mogła, to bym kopnęła moją torebkę za fortunę pod krzesło dziewczyny w spódnicy uszytej chyba z podhalańskiego obrusa w czerwone plamy. Swoją drogą, skąd ona coś takiego wytrzasnęła? Dzieło maniaka, może sentymentalne i miłe, ale przecież zbyteczne i nie na miejscu... Nawet w najnowszej edycji „Vogue'a” nie dostrzegłam tego wzoru i fasonu. Jednak sądząc po minie dziewczyny, każda nitka obrusa była znacznie bardziej markowa niż moja

gumka do włosów.

— O, całkiem sznurówka panu wypadła — zamruczałam pod nosem i jeszcze szepnęłam: — Chyba się boję.

20.10

Mężczyzna milczał dobrotliwie. Zaczynał mi imponować miłosierdziem, z jakim przyjmował moje brednie. A może po prostu uznał, że coś ze mną jest nie tak. Im dłużej milczał, tym bardziej miałam ochotę pleść bzdury, ale brakowało mi weny.

Bo co mogłabym jeszcze dodać?

Że chce mi się wyć?

Że niszczy mnie niechciana miłość?

Że mam wrażenie, jakby moje życie było wybrukowane okazjami, których nie chcę, o które się potykam i rozbijam kolana?

Że duszę się od tęsknoty za czymś, czego jeszcze nie poczułam?

Że zablądziłam?

Że mam zwichnięte życie?

No już dobrze, nie chciałam szokować chwytami z poprzedniej epoki, tak mi się tylko wyrwało to zdanie, ale czasem i ja lubiłam się nad sobą poużalać... Zwykle kończyło się na chęciach, bo zanim powiedziałam słowo, już wiedziałam, że przecież nie można wyrazić w pełni tego, co się czuje.

A więc po co miałabym używać tylu słów?

Może lepiej by było, gdybym coś zaśpiewała?

W końcu ta piękna sala wyglądała jak salon muzyczny, z którego ukradziono fortepian.

Tak, zdecydowanie powinnam coś zaśpiewać. Na przykład I believe I can fly, I believe I can touch the sky.

Uwielbiałam takie kawałki.

Ale dziś słowa innej piosenki aż dudniły mi w głowie — Bo ja jestem, proszę pana, na zakręcie... Nie to co pan... Pan nie myli dróg, prawda? W lewo — do firmy, w prawo — do domu, prosto — do łóżka, a, jeszcze wcześniej na górę... Lubi pan poczuć idealnie gładką poręcz schodów pod dłonią, gdy idzie pan na piętro do pokoju dziecka, prawda? A ja stale gubię trop, rozpraszam się, błędzę po manowcach.

Nie wyglądam?

A pan?

Przecież pan też kiedyś tracił grunt pod nogami...

Po co miałabym go o to pytać, jeśli ja już to wiedziałam, a on już nie pamiętał, jak wtedy było... Horyzont zniknął, ptaki ucichły, świt budził się bez przekonania. Zaczęła mu doskwierać starość, choć miał dopiero trzydzieści pięć lat. Nie chciało mu się nawet uwodzić kobiet, po prostu podchodził do którejś i mówił „Chodźmy stąd”. Nie było bardziej samotnego człowieka od niego, tak mu się wtedy wydawało. Nie pragnął wiedzieć, czego może się spodziewać po kolejnym dniu. Na szczęście miał to już za sobą, bo wreszcie, w grudniowy czwartek tuż przed Bożym Narodzeniem, odegrał scenę jak z amerykańskiego filmu: leżał na łóżku, patrzył w sufit i choć pora nie była odpowiednia, w jego domu rozbrzmiało Von den Stricken. Nagle — nie wiedzieć czemu, być może z zamiłowania do słodkich hollywoodzkich produkcji — wstał z łóżka, a właściwie

zerwał się, wybiegł z domu bez szalika. „O, k...!” — zawył w niebo. I zaczął powracać do życia. Dziś jest w innym wymiarze. Wybudował nowy dom, znalazł inną żonę, ma nowe dziecko. Synka, tak? Pocieszne maleństwo — tak o nim mówił przed laty. Aleksander? Żona ma na imię, niech pan pozwoli, że zgadnę... Helena? To imię wydawało się panu takie wymowne i romantyczne, prawda? Urodzi jeszcze jedno dziecko... Już urodziła? Świetnie! I pewnie wciąż lubi pić rano kawę na tarasie i czytać Herlinga? Nie, to nie ona... Ona pije tylko niegazowaną wodę z dużą zawartością magnezu, przegląda modne magazyny.

I coraz częściej pragnie być inną kobietą.

Na przykład tą, która była pana tłumaczką na ostatnim sympozjum w Meksyku. Pamięta ją pan?

A może tą, która pana zachwyliła na lotnisku w Madrycie.

Tą, którą trzymał pan ostatnio w ramionach.

Taką jak ja...

Nie umiał pan być wierny jednej kobiecie, zwłaszcza tak mało istotnej jak pana żona... A jednak pochlebia panu, że ona czeka. Na to, żeby pan wrócił, na to, żeby się zestarzał, żeby już nie miał do kogo iść. Tylko do niej. Przyczyny pana spóźnień były różne, miały różne kolory oczu, ale rezultat

zawsze okazywał się taki sam.

A ja tak nie chciałam.

Nie chciałam mieć kiedyś drugiego męża, nowego dziecka, innego domu.

Musiałam dobrze wybrać, tak na całe życie, żeby każdego dnia myśleć tylko o tym jednym mężczyźnie, tęsknić tylko za jego dotykiem, bo miłość to tęsknota, prawda? Dlaczego więc miałabym wyjechać z Cukierczkiem, jeśli wcale za nim nie tęskniłam? Nie wiem, co pan o tym myśli, ale ja jestem pewna, że nie można być z kimś, kto nie wie, czego oczekuje. Przy kim nie umiałam znaleźć różnicy między życiem z nim a życiem bez niego.

20.16

Mężczyzna dziwnie się do mnie uśmiechał, ciekawe czemu... Szkoda, że nie mogłam go o to spytać. Dobre

wychowanie nie pozwoliło mi też palnąć, że nie lubię takich pojedynczych uśmiechów. A może powinnam skłamać, że miło mi, że go rozbawiłam? Spytać, czy mu się podobam? Czy chciałby mnie mieć? Tylko po co? Nie byłoby to taktowne, prawda?

Kto jak kto, ale ten facet przecież dobrze wiedział, że nie wolno za dużo pytać. Jego żona również. On mało mówił, ona nie dociekała. A gdy z furią złamała tę zasadę, przerwał jej stanowczym głosem: „Ależ kochanie, musimy faktami odpowiadać na fakty”.

Tak kłamie się w pana świecie?

No i po co miałabym o to pytać?

Przecież widać, że pan wie, jak kogo zmylić i jak szybko dojść do celu.

A ja wciąż błędziłam

Dotarłam do skrzyżowania bez ronda i wpatrywałam się w kierunkowskazy.

Na jednym: Słodycz, bo Piotr to autor przesłodzonych wyznań. Kulturalny, miły, obiecujący, przy nim uroczo może płynąć życie. Ale nie moje. Utalentowany i wrażliwy, potrafił zajmująco opowiadać o muzyce. Ale już nie mnie. Umiał spełniać pragnienia. Ale nie moje. Ciągłe powtarzał, że jestem szansą. A ja się zastanawiałam, czy on może być szansą dla mnie. Dobre

serce? Tak, miał je. Tylko zbyt lepkie. A jednak przez chwilę czułam się przez niego kochana. Upiększał mnie każdym spojrzeniem. Nie potrafiłam jednak myśleć, że spotkało mnie szczęście, bo wybrał właśnie mnie. Piotr mnie przerażał. Wydawało mu się, że wszystko wie o mnie lepiej niż ja sama. Zanim otworzyłam usta, on już słyszał moją odpowiedź. Jedno spojrzenie — i znał wszystkie moje grzechy, nawet te z przedszkola. Chwila nieuwagi — i wycinał mi serce!

I wkładał inne. Słyszał pan kiedyś o sercu z piernika? Może i słodkie, ale czy warto zamiast ostryg jeść herbatniki? No bo niech pan powie — czy ja wyglądam na pannę z cukrowej waty?

Piotr stał się moją pułapką. Jego dotyk był delikatny jak szelest papierka, cichy jak przesuwanie opuszkami palców po najcieńszych strunach skrzypiec. Pięknie na nich grał. Gdy go słuchałam, wszystko wydawało mi się takie proste. Ale gdy odjeżdżałam od niego czarną jak węgiel drogą, znów widziałam same zakręty...

No właśnie, pewnie by pan powiedział, że kabriolet niedobry na nasz klimat, tak? A przecież pan wie, że nie ma rzeczy dobrych lub złych, są tylko odpowiednie dla kogoś albo nie.

To tak jak z zegarkami.

Pana jest piękny, ale dla mnie zbyt szybko odmierza czas.

Znów pan na niego zerknął i pewnie pomyślał: „Ona na mnie czeka, a niech to” — prawda?

Pewnie czeka.

Wie pan, pędziłam wczoraj tą drogą i myślałam — a może wyjechać z Piotrem na drugą półkulę... Widzę, że pan by się wzruszył. Ja też to czułam. Ale nie rozumiałam, o co mu w życiu chodzi. „Chcę być szczęśliwy” — powtarzał, jakby był gdzieś człowiek, który życzyłby sobie czegoś innego. Hop, hop, jest ktoś taki? „Nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych” — Piotr dorzucał do tego kolejną złotą myśl, wymarzone motto dla recydywistów zakładu penitencjarnego w Radomiu. To dlaczego nie został pilotem, jeśli było to jego największym marzeniem? Jak mógł się nie cieszyć, że dzięki talentowi miał zawód jak bajeczna podróż po krainie dźwięków? Ludzie mówią takie niezrozumiałe zdania. Gadają, a nie rozmawiają. On do nich należał, nie do mnie.

„Kocham cię” — powtarzał. I co z tego, jeśli tego nie czułam? Mówił, że życie z nim może być fascynującą drogą. A ja przy nim coraz bardziej błądziłam.

Chciałby pan usłyszeć, jak go poznałam? Nie chcę wracać do przeszłości, ale opowiem. Kilka lat temu wysłał mi zaproszenie na swój koncert. Nie poszłam, nie interesowała mnie muzyka, która jest połączeniem klasyki i jazzu. Choć nie, dwa dni później kupiłam jego płytę, włączyłam ją od razu, gdy tylko weszłam do samochodu. Pierwszy utwór mnie urzekł. Przy drugim pomyślałam, że chyba chciałabym poznać kogoś, kto tak gra, kto lekko i z taką godnością panuje nad muzyką.

Nie zrobiłam tego.

Przez rok otrzymywałam od niego kartki z różnych stron świata, na których było jedno: „Chciałbym ci to wszystko pokazać. Chciałbym wrócić tu z tobą”. A potem go spotkałam. Gdy podał mi rękę na powitanie, pomyślałam: „Jaki przyjazny dotyk”.

Już dawno przestał taki być.

Dwa dni temu Piotr przytrzymał zbyt mocno moje ramię i spytał: „Co z nami będzie?”.

Z jakimi nami?

Pragnął mnie na swój dziwny sposób.

Za bardzo mnie kochał, żeby pozwolić mi odejść.

Ale za mało, żeby ze mną być.

Wie pan, bo miłość to świadomość, że jest się kimś najważniejszym. To życie z kimś, kto przytrzyma mocno za rękę, gdy ziemia się zatrzęsie, a nie z kimś, kto sam co chwila będzie wywoływał trzęsienie ziemi słowami „Odchodzę!”, „To ja w takim razie wyjeżdżam!”. Miłość to

siła, która nierozdzielnie łączy, spaja w jedno i nie pozwala wypowiadać słów, które tak bardzo ludzi dzielą. Bo miłość to niemożność wyobrażenia sobie życia bez tej osoby.

Czy ja tak kogoś kochałam?

Tak, mamę, siostrę...

A pan?

Na drugim kierunkowskazie widzę „Bezpieczeństwo”. A zaraz potem jego brązowe oczy, które z czasem coraz mniej wyrażały, choć nie straciły swojej urody. Nie było też w słowniku Jana słów, których potrzebowałam, choć mówił pięknie i rozważnie. Było za to oddanie i wiara w przynależność kobiety do mężczyzny. Pan dobrze wie, że można tak po prostu przy kimś istnieć, prawda? Ja tak nie chciałam. Nie umiałam. Pragnęłam przy kimś żyć, a nie istnieć. Tęsknić, nawet kiedy pójde po bułki do sklepiku na rogu, budzić się właśnie po to, żeby znów się do niego uśmiechnąć, dotykać go tak, jakby był radością, bez której nie mogłabym żyć. A bez Jana mogłam.

Gdy Jan zaprosił mnie do mieszkania, które sam urządzał, pokazał mi wielką łazienkę: wannę z hydromasażem pionowym i poziomym, gdzie są specjalne wiry wodne, które masują ciało doskonale i bez zakłóceń, bo on wszystko chciał mieć w najlepszym gatunku. „Wanna — jak lubisz” — powiedział spokojnie. „Ale przecież już od roku nie jesteśmy razem” — zauważyłam. Uśmiechnął się tylko. Patrzyłam na tę wannę... A serce, chciałam spytać, kto będzie masował je każdego dnia i każdej nocy, podsycał ogień, by płomień się palił, a nie tylko tlił...

„Kanapa jest z jasnego zamszu, jak lubisz — usłyszałam. — A tu jest twoja garderoba” — otworzył szklane drzwi, a ja myślałam z przerażeniem, w co on mnie wmontowuje...

Już mnie ustawił jak kwiatek w doniczce, a może tylko pusty wazon.

Sam pan widzi... Chciałby pan być wazonem?

Jan bardzo we mnie wierzył.

Uwierzył nawet w to, że do wszystkiego dojdę sama, że ze wszystkim dam sobie radę — i z umierającym psem, i z żalem, i z samotnością, a potem rzucę mu się na szyję i powiem: „No widzisz, kochanie, jaka jestem dzielna. Przeszłam burzę, Saharę, by do ciebie wrócić. Po co nam obłądna miłość? Przecież mamy bezpieczeństwo”.

No właśnie, po co...

20.23

O, przepraszam, mój telefon dzwoni...

— Tak? Gdzie teraz jestem? W poczekalni. Co tu robię? Chyba się boję... Chciałabym zapalić, tylko nie wiem, czy można. A ty? Tak, uważam na siebie, to pa — powiedziałam i rozłączyłam się.

— Narzeczony? — spytał mężczyzna.

Miałam nadzieję, że wie, iż przesadził. Zjednywał sobie ludzi nieostrożnymi pochlebstwami. Pewnie robił to, zanim nauczyłam się chodzić. Nie miałam więc żadnych szans, żeby być jego pierwszą ofiarą, a lokata w drugiej setce nie wydawała mi się pochlebna. Poza tym ja, choć może nie wyglądam, wolę debiutantów, których stać na szczerze gesty, niż rutyniarzy.

— Nie, kurator. Martwi się — skłamałam. Gdybym mówiła prawdę, mało kto by w nią uwierzył.

— Nie dziwię się.

— Myśli pan, że można się o mnie martwić? Już pan nie odpowie, prawda, bo i po

co?

Jan jest podobny. Małomówny i jednocześnie wymowny jak pan. Choć to nie jego mi pan przypomina, ale kogoś, kto w mojej komórce ma inicjały MK...

20.27

— Proszę — mężczyzna wyciągnął w moją stronę dłoń ze złotą zapalniczką. — Zdąży jeszcze pani zapalić — zapewnił mnie.

Trzymał zapalniczkę lekko w palcach, jakby niepewnie i niecierpliwie. Czekał, żebym ją wzięła, ale się nie spieszyłam. Wyprostował więc dłoń tak, że zapalniczka leżała na niej jak kromka na talerzyku.

Znałam ją, co za zbieg okoliczności...

— Proszę — powtórzył zachęcająco. — Później mi pani odda.

Gdy wstał, okazał się niższy, niż przypuszczałam. Patrzyłam, jak odchodził, i myślałam, że chyba nie czuł się tego dnia najszczęśliwszy. Poprzedniego też nie choć cieszył się szczególnymi względami życia, to było widać. Obejrzał się jeszcze, żeby się do mnie uśmiechnąć. I tak energicznie wszedł do gabinetu, jakby odtruwał na najwyższą gałąź jakiegoś egzotycznego krzewu.

Spojrzałam na zapalniczkę, potem na jego puste krzesło.

Oprócz zapalniczki warto mieć jeszcze papierosy.

I popielniczkę.

Moja kolej...

Kiedy szłam do gabinetu, poprosiłam recepcjonistkę, by zwróciła zapalniczkę jej właścicielowi, „temu eleganckiemu panu, który siedział obok mnie”.

20.49

— Ten pan prosił, żeby pani to przekazać.

Usłyszałam głos recepcjonistki, gdy wyszłam z gabinetu.

Gibka talia i sarnie oczy, w których powinny się teraz odbijać jedwabne nici, którymi wyhaftowano brzeg prześcieradła jej wymarzonego ukochanego, a nie ja. Ta dziewczyna została stworzona z myślą o wciętych w pasie sukienkach i uroczystych kolacjach, a tymczasem spędzała wieczór wystawiona na łaskę i niełaskę pacjentów znanego stomatologa.

Podawała mi białą kopertę, w której znajdował się nie tylko list, ale jeszcze jakiś przedmiot.

Miała piękne dłonie.

Po wyjściu bez specjalnej ciekawości otworzyłam kopertę. W środku była — jakżeby inaczej — zapalniczka, jego wizytówka i karteczka, na której napisał dwa zdania:

Proszę zatrzymać zapalniczkę. Tydzień temu rzuciłem palenie.

Trzeba przyznać, że ten ponury mężczyzna przedstawił się w pomysłowy, choć kosztowny sposób, bo ten drobiazg miał taką cenę jak średnia krajowa.

Chyba zbyt szybko uznał, że docenię jego wartość.

I czy przy okazji nie przecenił mojej...

Podarłam wizytówkę i wrzuciłam do kosza.
Nie interesował mnie ktoś, kto nosi imię rzymskich cesarzy.
Już nie ufałam mężczyznom w takich butach. I z takimi zapalniczkami.
To cacko położyłam na szybie auta, które stało obok mojego samochodu. Pomyślałam, że
kogoś ucieszy drobiazg od Cartiera, który znajdzie za wycieraczką...

21.06

Jechałam z plastikowym pojemnikiem z zapiekanką w środku „prosto od Włocha. Z
bakłażanami, pomidorkami, taką jak lubisz, Julio”. Włączyłam radio, a tam mój partner radiowy,
z którym prowadziłam na antenie piątkowe rozmowy o tak zwanym Niczym, tym razem
rozbawiał ludzi pytaniem: „Obok kogo nie chciałabyś się obudzić rano?”. Obok siebie, mądrało
— zamruczałam pod nosem. Gdzie ten facet, który mógłby unieść mnie na swoich plecach — i
był na tyle lekki, żebym i ja go czasem poniosła?

22.11

— Odezwał się do mnie ten lekarz. Pamiętasz?
Nie wiedziałam, dlaczego Kaśka mówiła do słuchawki szeptem. Ale odpowiedziałam jej w
podobny sposób.
— Ten, którego tak kiedyś kochałaś? Nim poznałaś stewarda...
— W dalszym ciągu go kocham.
— Kogo?
Zaczynałam się gubić.
— Stewarda czy tego od medycyny?
— No, lekarza, przecież tamtego już nie ma!
— I ty zdążyłaś zakochać się w nowym?
— Nie, ja go cały czas kochałam.
— Mówiłaś, że chcesz samotności, krowy, kury, świętego spokoju.
— Miłość to nie sezon na ogórki, Julka — powiedziała poważnie. — Prawdziwa miłość jest
wieczna.
— A co z jego żoną? — spytałam.
— No właśnie. Ten facet, dla którego paradowałam prawie każdego dnia po szpitalu,
kochałam się wśród kroplówek, leków, protez... napisał mi dziś SMS-a: „Właśnie urodziliśmy
sobie drugie dziecko” — powiedziała Kaśka.
— Kto — my?
— Urodził je sobie z żoną. Powiadomił mnie, jakby czekał na gratulacje.
— Nie wiedziałaś o tym?
— Wiedziałam, ale co to ma do rzeczy. Nie zwierzał mi się, tylko się ze mną pieprzył. Nie, on
mnie kochał. Nie, to ja go kochałam.
— Nie pozwól sobą manipulować, zwłaszcza facetowi ze skalpelem. A poza tym, z tego, co
pamiętam, on jest okulistą, nie chirurgiem — wprowadziłam drobną korektę.
— I co z tego? Co to za różnica!
No cóż, robić operację na otwartym sercu a zaglądać do oka to chyba nie to samo.
— Kochałaś się wśród protez oka! Daj spokój, nie jesteś jego. Jego jest dziecko i żona.
— Miłość to poczucie własności? A może całe życie będę go kochać?

— No więc czekaj, aż facet przyśle ci zdjęcie swojego dziecka. Co miesiąc będziesz opowiadać mi nowinki zasłyszane w pokoiku jakiegoś oseska, tym samym staniesz się największą ofiarą naszych spotkań i będziesz wygrywać trofeum w postaci pudła chusteczek do nosa, biletu do kina na amerykańską komedię i mdłej bombonierki z różowymi pralinkami.

— A co ty możesz wiedzieć o uczuciach, jeśli serce masz w kroczu... — powiedziała.

Zdaje się, że z tej rozpaczki Kaśka pomyliła ścieżki
dźwiękowe i sprzedała mi tekst przeznaczony dla jakiegoś faceta!

Bo ja już dawno zapomniałam o tym, że w ogóle mam krocze. A gdzie ono jest?!

23.05

Bilans ostatnich dni... Kiepski. Bardzo kiepski. Nijaki. Usiadłam na kanapie z talerzykiem włoskiego, trzy razy odgrzewanego w mikrofalówce bakłażana i włączyłam telewizor. Świadomie ominęłam kanały kobiece, bo nie interesowało mnie, jak kierując się rozsądkiem (rozsądkiem swojego serca i kasy faceta), można podjąć decyzję o wykupieniu na wyprzedażach wszystkiego, co było w beżach..

Postawiłam na program męski, w domyśle — sportowy. Pokazywali właśnie powtórkę wyścigu kolarskiego w Australii. Ścigali się już szóstą godzinę. Trasa liczyła dwieście czterdzieści kilometrów, do mety brakowało czterdziestu. Na czele peletonu jechali Niemiec, Belg i Francuz. Tego ostatniego poznałam w zeszłym roku, gdy dla zaprzyjaźnionej gazety zrobiłam z nim krótki wywiad. Pamiętam, że miał ramiona i dłonie jakby pokryte delikatną poranną rosą, a jednak gdy przerzucał strony dokumentów, które ktoś mu przyniósł, zmoczył językiem opuszkę wskazującego palca. Była w nim dziecięca nieporadność, choć wyglądał na mężczyznę, któremu nie brakowało doświadczenia i rozmachu. „W życiu chodzi o to, żeby te same wyścigi wydawały się zupełnie innymi wyścigami” — powiedział wtedy. Później dowiedziałam się, że w tamtych dniach jego ojciec zmarł na zawał serca. Teraz trzymałam za niego kciuki, pomyślałam, że to zwycięstwo, jak i pewnie inne, zdobywa z myślą o tacie.

Poszłam zaparzyć herbatę, a gdy wróciłam, zostało około dwudziestu kilometrów do mety.

Na czele jechali Niemiec, Belg i Szwajcar, a gdzie Francuz? Po chwili usłyszałam komunikat, że wycofał się z wyścigu. Popiłam łyk herbaty, poczułam jej zapach.

Bo są zapachy zwycięstwa, triumfu, porażki...

Zapachy namiętne jak paryski romans, nowoczesne niczym drapacze chmur w Nowym Jorku albo kojące jak filiżanka japońskiej herbaty.

I zapach przeraźliwego bólu.

Z bólem kolarzy mi się mięta, ale o tym następnym razem.

środa

7.15

— Julka, śpisz jeszcze?

— Boże, a co się stało? — odebrałam telefon półśpiąca.

— Nie, nie spałam całą noc, czekałam, aż będzie godzina, o której będę mogła do ciebie zadzwonić — usłyszałam w słuchawce głos Kaśki.

— Jeszcze nie ma tej godziny!
— Jest! Musisz mnie wysłuchać. Mam dosyć gadania ze ścianą.
— Tak... — zamamrotałam i schowałam nos pod kołdrę.
— Bo myślałam całą noc o tym p... okuliście. I wiesz co, potraktuję go tak samo. Jemu chodzi o seks. Wczoraj powiedział, że wolałby, żebym była takim nic nie mówiącym króliczkiem.
— Ja chyba śnię!
— Bo jeśli ktoś mnie ocenia jak ten ślepiec okulista i nie chce bliżej mnie poznać, to niech spada.
— Mądrze mówisz. Może zostać na tej wsi?
Obróciłam się na bok. Dopiero dwadzieścia po siódmej!
— Prawda jest jednak taka — brnęła Kaśka — że mało komu chce się dzisiaj poznawać kobietę. Nie ma na to czasu. Nawet seks uprawia się w przeciagach i przez to apteki nie bankrutują, a furagina jest w cenie... Może jednak kiedyś się zakocham, bo wiesz, ja ulegam nastrojowi miejsca, w którym jestem...
— A gdzie ty teraz jesteś? — zaniepokoiłam się. — Z tego, co pamiętam, to u tej wąsatej ciotki wśród krów.
— Tak naprawdę to myślę, że miłości nie doczekam. Już sienie zakocham tak, jak bym chciała. Każde doświadczenie osłabia moją wiarę i wzmacnia szczerość. Powiedziałam temu okuliście jak kardiologowi — wszystko, co miałam na sercu.
— Jestem z ciebie dumna — zamamrotałam.
— Nie wierzę już w miłość. Nie lubię facetów. Jak jestem pewna siebie, mówią, że jestem zarozumiała, jak dużo mówię, oznajmiam, że wolą tajemnicę, jak siedzę cicho, dziwią się, że stałam się taka mdła. Rywalizują ze mną. Postanowiłam zostać sama. Dziś usłyszałam od wąsatej ciotki, a zresztą... Co ja będę powtarzać bzdury. Nawet ona nie czuje do mnie respektu! Powiedziała, że jeśli kobieta do dwudziestego piątego roku życia nie wyjdzie za mąż, to potem ma problem.
— Błagam, nie słuchaj wąsatej ciotki.
— To pa, poczułam się zmęczona. Ty i tak mnie nie rozumiesz. Miłego dnia, kochana. I pamiętaj — bycie sobą nie jest dziś w modzie. Buźki.
— To zawsze będzie w modzie.

8.30

Wstałam z odcisniętą słuchawką na policzku. Nie wiedziałam, czy ta rozmowa mi się śniła, czy była naprawdę. Wykręciłam numer Kaśki. Nie odebrała.

9.48

Zdażyłam wejść do redakcji, nawet nie włączyłam komputera, gdy zadzwonił Łukasz. Śpiewnie przedłużał sylaby, ale nie wyglądał na geja. Przystojny i męski, wobec kobiet uprzejmy, by nie powiedzieć — wytworny. Jednak kiedy spotykał się ze mną, to nie kurtuazja była jego najmocniejszą stroną, ale przesadna szczerość. Po raz pierwszy ujawnił ją przy ognisku podczas wycieczki szkolnej. Mieliśmy wtedy po osiemnaście lat. Wziął mnie za rękę, oznajmił, że musi coś mi ważnego powiedzieć, i odeszliśmy na bok. Byłam przerażona, że chce wyznać mi miłość albo, co gorsza, pocałować, poczułam więc prawdziwą ulgę, a nawet zachwyt, gdy powiedział: „Wiesz, Julka, kręcą mnie faceci”. Tego twarz pokryta dyskretnym trądzikiem błyszczała od

potu. Nie wiem, czemu mi wtedy zufała. Ale od tego momentu chętnie przypominał mi o swojej inności, a w relacjonowanie nawet mało istotnej miłości wkładał tyle pasji, że jego emocje bez trudu wypełniłyby pokaźny romans. Prawdę mówiąc, nie zachwyciły mnie szczegóły o zażywaniu męsko-męskiej rozkoszy, ale nie protestowałam, by nie wyjść na osobę krytykującą mniejszości seksualne.

Łukasz przemierzał samochodem dużo kilometrów i chyba czuł się wtedy samotny, bo lubił dzwonić. Zawsze starał się mnie do czegoś przekonać. Ostatnio do tego, że ludzie rodzą się wielokrotnie w ciągu swojego życia i tylko ci mało uważni znają jedną datę narodzin. Miał specyficzny sposób mówienia — liryczny i delikatny, ale z męską dosadnością.

— Odszedł! Julka, on odszedł! — rzucił na powitanie.

— Kto? Kaj? — spytałam o jego ostatniego, szwedzkiego przyjaciela.

— A kto? Ten drań powiedział, że mnie rzuca, bo mam małe jądra, a więc nie mogę być mu wierny, bo tak właśnie udowodnili brytyjscy naukowcy. Małe jądra to małe libido, a więc skłonność do zdrady. Rozumiesz, duży apetyt na każdą pokusę, każdą!

— ...nawet w niedomkniętym gabinecie jakiegoś średnio przystojnego aplikanta? — spytałam.

— Jasne, wystarczy tylko, by było skwarne popołudnie — odpalił natychmiast i dorzucił stanowczo: — Pojmujesz coś z tego?

— A w czym tkwi jądro męskiego jądra? — spytałam.

Bo lubiłam wiedzieć.

Ale rzadko się dowiadywałam...

— Przecież ci mówię, Julka. Małe jądra równa się duża zdrada. Według niego.

— Jak małe muszą być, żeby zdrada była duża? — To znowu ja...

— Nie spytałem. No właśnie! Powiedział, że mam trzy rzeczy przemawiające za „nie” — charyzmę, urodę i te małe jądra, czyli dwie okrągłe oznaki niewierności. I ponieważ on nie może przy mnie czuć się bezpiecznie, chce odejść, zanim go zranię. A przecież to on mnie zranił! Zabił mnie. Spojrzał na mnie jak bazyliżek i już po mnie. Będę musiał żyć samotnie zżerany gorzkim losem smętnego geja.

Łukasz zaczął mnie niepokoić.

— Przecież cię kochał — próbowałam ocalić resztki romantyzmu z tej urologicznej opowieści.

— Nawet gdy odchodził, powiedział, że mnie kocha. Tylko już na mnie nie zasługuje.

— Czy ty na niego...? — jak zwykle coś zauważyłam nie w porę.

— Tak sądzisz? Myślisz, że to ja jestem winien?

— Nie czuj się winny. Pamiętaj, jak mawiał porucznik

Columbo — ten jest winny, kto jest niewinny. Musisz być rozczarowany, lata starania i wszystko na nic.

— Nie lubię ocierać się o pustkę, a tak teraz się czuję. Kaj zabrał nawet zeszyt z wierszami, które napisałem zainspirowany naszym szczęściem.

Ależ ten Łukasz miał teksty!

— Jesteś za pięknym gejem jak na ten świat. Ty masz serce, a Kaj tylko miarkę w oczach. Gdybym miała być mężczyzną, to wyłącznie tobą. Nie przejmuj się Kajem. Widocznie to nie był ten właściwy facet.

— A wiesz, że on też tak powiedział? Dodał, że jego zdaniem tęsknię za kimś innym i nie

mogę wymagać, żeby on mi go zastąpił.

— Najwyraźniej za dużo oglądał amerykańskich filmów.

Odchodząc dodał, że on libido ma wielkie i odporne na pokusy jak złoto na korozję.

— To on jednak woli kino brazylijskie... — wtrąciłam. — Wyprowadził się już od ciebie, zabrał wszystko? — próbowałam wprowadzić praktyczny aspekt do całej sprawy.

— Tak, z tą charakterystyczną dla siebie powolnością starannie poskładał koszule i włożył do walizki. I znów nikt mnie nie kocha, jestem samotny i nieszczęśliwy jak zbity pies.

— Przykro mi, Łukasz, ale czy ja zdręczam cię swoimi kłopotami? — westchnęłam.

No właśnie.

Nikomu się nie skarżyłam, tylko czasami samej sobie.

A może powinnam.

— Faceci to dranie, Julka.

— A więc zakochaj się w jakiejś miłej dziewczynie. Weź ją za rękę i pójďte sobie przez łąki, oczekując miłości, która dorosnie do wszystkich waszych oczekiwań.

— Czy mogę zadzwonić do Kaja? — spytał.

— Po co? Chyba że chcesz mu powiedzieć, że cenisz go za niepowtarzalną kreację, którą odegrał w twoim życiu. Możesz jeszcze poprosić o wskazówki, jak masz ukoić ból po tej rozłące. Chociaż lepiej nie, bo poleci ci prochy, po których już zupełnie stracisz rozum.

— Więc nic?

— Nie udawaj, że im więcej masz informacji, tym mniej w nie wierzysz.

9.55

— Dzień dobry, koczki, misiaczki, jak wam idzie?
Możemy układać reklamki? To co, kochane? Podejmiemy do koreczka z gazetą?

Najpierw usłyszałam piskliwy głosik, a zaraz potem zobaczyłam jego właścicielkę — Goškę. Kizię-Mizię. Fuzję botoksu, liftingu i preparatów do cellulitu. Według niej słowo „naturalność” umarło z dziewiętnastym wiekiem. A „wrażliwość” nigdy nie powinno istnieć. Pierwsza zausznica Elki. Mistrzyni reklamy.

— No to jak, kizie-mizie, idziemy? — zapiszczała.

Nim wstałam, ona już była przy tablicy z wiszącymi stronami gazet.

— To co, obok fitness damy kielbaskę? — zaproponowała.

— Jaką kielbaskę? — spytałam trzeźwo.

— Nie wiecie, kochane? Jest taka fitness, to nowość, hi, hi.

I czemu ona się tak śmiała? Czy nie widziała, że ta wędlna przypomina sznur na szyję w piękne letnie południe?

— No to fajnie, to już mamy — gadała sama do siebie. — I jeszcze jedno dziewczynki, o! Jest też chłopczyk.

Witaj, tygrysku.

Przeszedł Grzesiek, jedyny samiec w naszej załodze, dyrektor artystyczny. Ale żeby od razu tygrysek?! Widziałam w nim tylko kotka. I to osiedlowego.

— No to teraz, cha, cha, mam mniej miłą wiadomość, cha, cha — szczebiotała Kizia-Mizia.

— Teraz musimy skrócić gazetkę o osiem stron. To znaczy wyrzucić je, bo nie ma więcej reklam.

Myślałyśmy, że uda nam się je sprzedać. Ale w tym miesiącu te grube ryby nie miały na waszą gazetkę chrapki — zaśmiała się.

— Czy chcesz powiedzieć, że prócz kielbaski nic nie ma? — wtrąciłam.

— Och, na pewno sobie poradzicie — uśmiechnęła się do mnie lubieżnie i oblizwała usta, jakby chciała mnie zgwałcić.

— Słoneczko, jakie ty masz piękne buciki, a torebeczkę jaką masz, taką dopasowaną do spodzików...

Pognała do mojego biurka. Chwyciła brytyjskiego „Vo-gue'a” i zaczęła wertować stronicę.

— Najnowsza kolekcja Louisa Vuitton... Widziałaś, kochana?

No tak, na biurku miałam właśnie jedno z jego cudów.

Na szczęście to z zeszłorocznej kolekcji.

— Ach, jakie to niesexy i co ja mam sobie kupić? Z czymś takim iść na to przyjęcie? Chyba napiszę do niego, by zmienił kolekcję.

No właśnie, niech ten Louis wreszcie się dowie, że ma wymyślać coś specjalnego dla takiego króliczka, kizi-mizi...

10.15

Podczas gdy Olka szalała za oceanem, nasz magazyn dogorywał. Już dawno powinien być w drukarni. Elka, tymczasowy naczelny głuptasek, chichrał, a kocurek przywłókł nam prezent w postaci kielbasy.

— Słoneczko — Gośka znów zwróciła się do mnie. — A skąd masz tę torebeczkę, kochana? Widziałaś, Eluniu?

Patrzyłam, jak Ela czule poprawia swoje mizerne włoski. Zastanawiałam się, w jaki sposób zrobili jej zdjęcie do wstępniaka, że miała tam taką bujną fryzurę. Wodziła kciukiem wokół nienagannie pomalowanych ust. Dotknęła brwi, starannie wyregulowanych. Jak bardzo starała się być doskonała!

10.35

— Julka, czy ty nas słuchasz?

To znowu do mnie...

Siedziałam na kolegium oszołomiona nadmiarem najnowszego zapachu Chanel, który wydostawał się z każdego centymetra kwadratowego mojego ubrania, i traciłam do cna zmysły, zgodnie z reklamą produktu. Perfumy to słabość Elki, chwilowej zastępczyni naczelnej magazynu „Ouuups”. Dlatego przed planowaniem dokładnie spryskałam się Coco Mademoiselle, by zakłócić jej poważny tok myślenia. Elka niby wszystko miała w porządku: nienaganny makijaż, jakby nakładała go pół nocy albo nigdy nie zmywała, dzinsy bez skazy, odpowiednio wąskie, torbę w przepisowym rozmiarze, czyli ogromną jak plecak alpinisty — ale wzbudzała we mnie niechęć, która z kolei wywoływała moje zrozumiałe zakłopotanie. Była kimś, komu nie potrafiłabym zaufać. Nawet na bezludnej wyspie. Jej nieokiełznane zamiłowanie do plotek mnie przerażało. Bo Elka uszy miała właśnie po to, by nasłuchiwać, a nie nosić kolczyki. Wszystko o wszystkich wiedziała, kto z kim, kto już bez kogo i przeciwko komu, a nawet skłonna była tworzyć grupki wsparcia czyichś byłych kochanek i lecieć z nimi na barykady. W końcu też była

jedną z nich. Ale jednocześnie dbała, by jej reputacja nie stała się bardziej nadszarpnięta, niż na to pozwoliła. Nie stosowała, niestety, tej złotej zasady wobec innych kobiet. Chętnie komentowała, kto uwikłał się w niefortunny romans i która z żon dowiedziała się o zdradzie. Jej łatwość oceniania innych byłaby imponująca, gdyby Elka pracowała w służbach specjalnych, a nie w redakcji.

Natura obdarzyła ją fantazją wróżki i twarzą Toma Hanksa, co nie przystawało do koloru jej pomadki. Przerażała mnie też u niej słabość do tych wielgachnych toreb, jakby Elka wierzyła, że wielkość marki tkwi w rozmiarze. Jedna z nich, czerwona z wielkim logo, zaległa właśnie na biurku Olki. A wzrok Elki ugrzązał na mnie.

— To co będzie z seksem? — powtórzyła.

Trzeba przyznać, mocno zaczęła.

— Elu, to pytanie, ta szalona propozycja, ta boska chwila wiele dla mnie znaczy — zażartowałam zniżonym zmysłowym głosem. — Będę pielęgnować wspomnienia o niej.

— Przestań się wygłupiać. Co z seksem?

— Nie marnuj czasu, maleńka, boja słyszę takie pytania co pięć minut, co krok to propozycja — wciąż miałam ochotę żartować.

Specjalnie to powiedziałam, ponieważ Elce wydawało się, że wie lepiej ode mnie, z kim sypiam, kto mi rano

zapina stanik i kto ściąga ze mnie zębami stringi, jakby była dentystą mojego kochanka. OK, przesadziłam, bo chwilowo nie było żadnego faceta. Ale Elka i tak na mój widok od razu wyczuwała zapach mężczyzny i bezbłędnie wiedziała, do kogo on należy. „Jak twój narzeczony z Norwegii?” — pytała, na co odpowiadałam, że świetnie. Elka wiedziała wszystko. Poza prawdą. Powinna prowadzić gazetkę „Połowy z Alkowy” albo „S jak seks-donosiciel” i mieć w niej autorską rubrykę „Pokaż mi swoją poduszkę, a powiem ci, z kim śpisz”.

Może kiedyś, tak, tak, bo tymczasem była Chwilowym Naczelnym Głuptaskiem supermagazynu „Ouuups”.

— To co, Julka, napiszesz, jak zostać boginią seksu — zawyrokowała.

— Ja? A nic Marta, redaktorka seksu? — zdziwiłam się.

— Julio! Dostyc! — powiedziała podniesionym głosem.

Jak pani nauczycielka wśród turkawek. Nie byłam jedną z nich, nawet nie wiedziałam, czym taka turkawka się żywi. Za to byłam pewna, że Elka nie zna złotej maksymy Marqueza, której starałam się przestrzegać każdego dnia, że człowiek ma prawo patrzeć na drugą osobę z góry tylko wówczas, kiedy chce mu pomóc się podnieść.

— Może lepiej napiszę, jak zostać dziewczicą? — spytałam.

A co tam, wyruszyłam na wojnę. Postanowiłam roznieść w puch ten władczy głosik, którym Elka stawiała żądania graniczące z absurdem.

— A może łowcą krokodyli? Bo chyba trudniej stać się boginią. I to jeszcze seksu — wyraziłam zdecydowanie swoją wątpliwość. — Jeśli chodzi o krokodyle, to nie ma sprawy, mam idola, jest nim gość w Tanzanii, który złapał pięćdziesiąt sześć tysięcy krokodyli.

— Co mnie to obchodzi? — zdziwiła się Elka.

No właśnie. Ją nic nie obchodziło. Poza nią samą. Jednak w tym wypadku każdy by się zdziwił. Ale musiałam to powiedzieć, bo miałam bzika na punkcie tych nieładnych zwierząt. Jako dziecko zebrałam niezłą kolekcję plastikowych brzydactw z metalowymi zębami. Mogłam godzinami opowiadać o krokodylach hodowanych w starożytnym Egipcie, które były łagodne jak psy. Czasem też próbowałam je narysować. Bez powodzenia.

— Nic, tylko jeśli będziesz w Tanzanii, to nie wchodź do jeziora, bo krewni tych złowionych

krokodyli już się namnożyli. Piękna historia, taka krwawa... No tak, ale przecież nie nadaje się do naszego magazynu, bo u nas przelewa się tylko krew dziewic, a nie owłosionych surfingowców.

— Julka, piszesz i już.

— W porządku, choć mówią serio, nie każdej kobiecie jest pisany los bogini seksu — dodałam po krótkiej walce wewnętrznej, w której wygrała szczerłość.

— Niektórym nic nie jest pisane, dopóki inni tego im nie napiszą — rozwiąła moje wątpliwości Elka.

Aż dziwne, że jej słowom nie towarzyszyły dźwięki fanfar, a na niebie nie rozbłysły kaskady sztucznych ogni.

Odrzuciła, podobnym ruchem jak robiła to Olka, mizerny kosmyk włosów i uśmiechnęła się do mnie nieco lubieżnie — a może tylko tak mi się zdawało. Poczułam, że jej ulegam, zwłaszcza gdy patrzyła na mnie tym zamglonym spojrzeniem Toma Hanksa. Byłam skłonna dać jej na piśmie wszystko, nawet gdyby miał to być artykuł o wpływie lawy drzemiącej na Sycylii na biust Madonny.

— Już dobrze, masz rację. — Kto sam wybiera swój los, ma też dobry plan — plotłam bez sensu — zwłaszcza gdy jest boginią, a więc napiszę, objawię tę prawdę kobietom, będę dla nich tym, kim pszczoła dla miodu, kim Edison był dla żarówki. A co z tym Johnem? Mam nadzieję, że w takim razie porozmawia z nim Baśka, a nie ja. — O, nie! — zaprotestowała Basia.

12.28

Tego dnia wszystko wydawało mi się takie w stylu lat osiemdziesiątych. Brakowało tylko seksu w toalecie.

12.34

Bogini seksu, Cukierczek i John, jednym słowem wpadłam w trójkąt bermudzki. Czytałam w Internecie wiadomości

o Johnie i miałam wrażenie, że marzyła o nim każda dziewczynka, która już umiała o tym marzyć. Tysiące zachwyków na temat jego oczu, uśmiechu, głosu i włosów.

I żelu! Wszystkie zalogowane na jego blogu dziewczynki chciały go aaaabsolutnie zdobyć, aaaaaby rozkochać. Tylko ciekawe, co potem by z nim zrobiły...

Król małolat.

Bezsensowność licealistek.

„Ikona męskości” — pisała o nim w uniesieniu egzaltowana redaktorka modnego tygodnika, choć już dawno przestała być podlotkiem. Ktoś zachwycał się, że John znów w czymś grał. A co innego miałby robić aktor? Dobrze wrażenie? Garnki? Dziergać szaliki na drutach? Mimo że bardzo się starałam, nie mogłam sobie przypomnieć ani jednej jego wybitnej roli. Oscar nawet się o niego nie otarł, chyba że John kupił sobie psa i tak go nazwał. Bywalec kasyna. Ozdoba imprez.

Miłośnik chłodnych drinków. Narzeczony podejranych modelek. Lider w rankingu najpiękniejszych (nie, nie jest to lista „People”). Konno jeździł lepiej, niż chodził. Władał szpadą biegle jak widelcem. Jednym słowem — to on był godzien tego, by jego sperma została wysłana w kosmos! Pewnie w dzieciństwie całą kasę ze swojej skarbonki oddawał bratu. Ideał.

Przeciwnik koszulek bez rękawów, czerwonych aut, kredytów i komórek, czyli tego, bez czego ja nie mogłabym istnieć. Wzorzec. Bóstwo — zachwycano się nim. Tylko dlatego, że zagrał kilka ról?

Świat wariował na moich oczach. I oczekiwał ode mnie tego samego.

Nigdy nie byłam prymusem, ale szybko odkryłam, w czym jestem dobra.

W marzeniach i w pisaniu.

A więc napiszę wszystko, co trzeba.

Nie bardzo tylko rozumiałam, dlaczego sprawdzianem mojego talentu miał być właśnie John?

Czemu nie ja jego?

13.05

Nie odebrał mojego telefonu.

Sekretarki nie było.

Wysłałam mu SMS-a: „Johnie, próbuję się z tobą skontaktować, ale bezskutecznie. To listonosz dzwoni trzy razy, dziennikarka dwa, a dobra dziennikarka tylko raz. A potem czeka. Znasz już mój numer, pozdrawiam cię bardzo serdecznie i czekam na telefon, Julia P. z redakcji »Ouuups«„.

Nieważne, co pomyśli.

Ważne, że zauważy.

13.35

— Pójdiesz ze mną na lunch? Pogadamy sobie, posmiejemy się, może kogoś poznamy? — usłyszałam Jankę.

To nie był dobry znak.

Już nie tylko rodzina martwiła się o moje związki, ale również koleżanki! Przyglądałam się, jak Janka odgarnia włosy z czoła, wreszcie była bez grzywki. Miała piękne, gładkie dłonie o długich, wąskich palcach. Szczupłe nadgarstki jak u dzieci. Na ręce nosiła złotą bransoletkę, prezent od męża, Maksa.

— Umówiłam się już, nie mogę odmówić — odpowiedziałam.

Za pół godziny miałam spotkanie z Cukierczkiem. Jak to nie mogłam mu odmówić?!

— Idę sama. Gdy patrzę na te chude dziewczyny, jestem zła, a jak zła, to i głodna. — Janka wstała od komputera, na ekranie którego były zdjęcia z pokazu.

— Odpowiem ci tak, jak gadają w moim ulubionym Szeregowcu Ryanie: „Mam złe wiadomości, nie da się tego osłodzić, więc powiem prosto z mostu”, no więc, Janka, ta praca chyba specjalnie ci nie służy. Pójdiesz za mnie na lunch z jakimś Cukierczkiem, a ja sobie spokojnie popracuję?

Nie chciała.

— Więc? — spytał.

I wpatrzył się w kieliszek czerwonego wina, który kelner postawił przede mną.

Powiało grozą. Piotr znów wyglądał uroczyście jak gwiazdor musicalu, jak lider boysbandu przed koncertem sylwestrowym czy prezes partii lizusów na ogólnokrajowym zlocie, a nie jak ktoś, kogo mogłabym teraz frywolnie zapytać, kiedy uprawiał ostatnio seks w windzie — i tym samym zmienić temat.

Do swojego landrynkowatego nadzienia dobrał na tę chwilę bardzo gustowne opakowanie, a na jego szyi dumnie prezentował się zwis męski w kolorze pink. Niepokojąco godowe barwy.

Brawurowa zagrywka.

Był poważny jak wizja zagłady.

Mojej zagłady.

On mi się oświadczał!

To „więc” kończyło przydługi wstęp do tego, jak wyobraża sobie swoją przyszłość, w której dostałam główną rolę. Bez castingu.

Z dużą wyobraźnią zabrał się do określenia wizji tego, co przed nami, pamiętał, jakie lubię kwiaty, jaką piję kawę i co chciałabym słyszeć od niego w niedzielne poranki. Był skłonny jeździć tam, gdzie chciałam, oglądać francuskie filmy i jeść ze mną ostrygi, których nie znosił.

Jednak nie umiałam się dostroić do patrzenia z nim w dal, do tego — jak powiadają — płynięcia jak dwa żaglowce w jednym kierunku, wspólnego pokonywania fal...

Przed oczami przemknęło mi moje przyszłe życie... aż mnie zemdlilo ze słodyczy. Piotr potrafił mówić o miłości na wiele sposobów, tylko dlaczego ja miałabym tego słuchać? Na pewno żyła gdzieś miła dziewczyna, która teraz spytałaby go przez łzy: „Naprawdę? O tak!”. To jej powinien mówić działające na wyobraźnię słowa.

Ja potrzebowałam skromnych zdań.

Kogoś, kto by powiedział tylko: „Marzę o tym, żeby cię chronić”.

Nic więcej.

I kto by robił to każdego dnia, nawet gdyby był daleko ode mnie.

Czy on tego nie wiedział?

Dwoistość Piotra fascynowała mnie. Grał na skrzypcach jazzowe kawałki tak naturalnie, jakby mówił: „Oprzyj głowę na moim ramieniu, odpocznij”. Działał uspokajająco jak miły sen, który spawalnia oddech.

Umiał wzruszać.

Uwielbiałam jego utwór *Nadzieja*, złożony z kombinacji tylko pięciu dźwięków, przynajmniej tak się wydawało, a jednak sposób, w jaki one po sobie następowały, aż chwycił mnie za gardło. Potrafił też grać tak irytująco jakby szeptał: „Nie masz stanika? Jestem wdzięczny, że go nie włożyłaś, a co z resztą bielizny, kochanie?”. Był zdolny, to fakt. Umiał też z siebie żartować, mówił: „Bo widzisz, Julka, im kto więcej gra, tym bardziej przegrywa”. Miał idealny słuch i wyczucie. A jednocześnie pozwalał sobie na fałsz i na bycie tak niestosownym jak właśnie w tej chwili. I jak wczoraj, gdy napisał mi w SMS-ie: „Otworzyłem serce zbyt szeroko — zabrałaś mi duszę. Mój stan to dramat istnienia. Byłem złym uczniem na twoich lekcjach... Tak wybrałaś... Byłaś dla mnie drogą, którą szedłem, powietrzem mojego oddechu, światłem odbijającym się w moich oczach, eliksirem na siły, ale się wyczerpały...”. Mężczyzna na wyczerpaniu, kandydat na nagrodę w dziedzinie poezji dla bardzo niewtajemniczonych. Grześ z wierszyka, w którym szedł przez wieś i sypał mu się piasek z worka, bo nie pomyślał, żeby sprawdzić, czy worek nie jest

dziurawy. Czy można być dalej od ideału?

Patrzyłam na niego przez ciemne przeciwsłoneczne okulary, wielgachne, z najnowszej kolekcji Ferre, które niefortunnie podkreślały wielkość mojego nosa, ale przecież nie mogłam walczyć z czymś tak oczywistym jak moda. Z godnością więc przyjął fakt, że w tym sezonie obowiązywały okulary wielkie jak koła podbiegunowe, pod których ciężarem nos olbrzymiał niczym przygnieciona latarnia. To znaczy mój nos, bo na przykład nos Olki nawet w trendy okularach był lekki, powabny i na czasie.

Dlaczego Piotr nie w niej się zakochał?

Bez pytania sięgnął po mój kieliszek. Wypił łyk wina, choć nie lubiłam, gdy to robił, zamiast sobie coś zamówić.

To nasz ostatni wspólny kieliszek...

Wszystkie następne będą należały tylko do mnie.

I do kogoś innego.

— Więc? — powtórzył.

Więc... od zarazy, wody, ognia i Mężczyzn „Tak Wybrałaś”, ratuj mnie, Panie — pomyślałam.

— Więc... już wszystko sobie powiedzieliśmy — wstałam.

— Poczekaj, Julio. Mieliśmy razem coś zjeść.

Poczułam, jakbym wygrała darmowy obiad.

Jego cena okazała się dla mnie zbyt wygórowana.

— Dziękuję, muszę wracać do redakcji.

— Naprawdę żałuję — powiedział. — Żałuję, cukiereczku.

Cukiereczku... Tak powtarzał.

Wcale nie byłam słodka, a jednak wydawałam się idealnym dodatkiem do gorzkich toksycznych związków. Ciągłe spotykało mnie to samo. Lgnęli do mnie ci, których nie chciałam. Bardzo pragnęli mojej miłości, lubili mnie mieć, doceniali najmniejszy mój talent, tylko stale coś im prze-

szkadzało, żeby dostrzec, kim jestem. To mecz w telewizji, to spotkanie z kumplem, to koleżanka z pracy, to kontrakt. A prawdę mówiąc — tą niemożnością byli oni sami.

Tęskniłam za kimś innym.

Za kimś, kto nie był Piotrem.

— Julka, kocham cię, nie widzisz? — powiedział.

— Nie czuję.

— Bo o tym nie mówię?

A co do tego miały słowa? Kochać trzeba cicho, lekko, niby nic, a jednak Coś. Miłość nie ginie od milczenia. Po co wymyślać trylogię, jeśli można ułożyć jedno zdanie? I rzecz nie w tym, jakie to zdanie, ale kto je powie.

— Niektórzy cierpią i kochają w ciszy — powiedział.

Miałam ochotę odparować: „To kochaj ciszę”. I jeszcze dorzucić radę: „Nie trać nadziei. I poszukaj wreszcie dzinsów w dziale męskim, o innym kroju”.

Chwycił mnie za dłoń.

Mocno.

Mogłam mu teraz wykręcić rękę — było to dziecinnie proste — albo rzucić nim o ścianę. Albo go pocałować.

— Puść, proszę, moją rękę — powiedziałam tylko cicho.

— Powiedz, Julio, jakie życie nas czeka, jeśli się rozstaniemy?

— Takie, jak teraz. Ono już trwa, Piotrze.

Drugi raz w tym dniu powiedziałam zdanie, co do którego nie do końca byłam przekonana, choć stawalo się ono moją maksymą życiową:

— To po prostu nie jestem ja. Twoja kobieta gdzieś na ciebie czeka. Może nawet tutaj, rozejrzyj się.

Przytulił mnie.

— To jesteś ty, Julio. Wyjdź za mnie.

Miałam ochotę krzyknąć, że to nieprawda. Ale przecież on nie chciał tego usłyszeć. A ja dobrze wiedziałam, że prawda istnieje bez względu na to, czy ją powiem czy nie.

14.05

Zdażyłam pożegnać się z Piotrem, gdy zadzwonił John.

— Przepraszam, ale byłem bardzo zajęty, dlatego oddzwaniam teraz.

Potrafił przeproszać, a podobno ci najpiękniejsi z najpiękniejszych faceci nie znają tego słowa. No cóż, może był wyjątkiem. A może zależało mu na tym, by jego zdjęcie ukazało się w naszym prestiżowym magazynie.

Umówiliśmy się jeszcze dziś na siedemnastą. Mówił, że cały czas ma jakieś próby.

Próby...

Wciąż nie wiedziałam, czy on grał tylko w serialu, występował w telewizji czy był aktorem teatralnym, czy łączył wszystko razem i jeszcze chodził na strzelnicę. Wiedziałam jedno, że prócz wywiadu mam go też przekonać do sesji a la babski „Playboy”. Zadanie służbowe, z „mięskiem” w roli głównej, brrrr!

14.25

— Elu, nie wiem, czy Gośka ci przekazała... — zaczęłam, gdy Elka weszła do naszego pokoju.

— Ach, tak, spotkałyśmy się na korytarzu — zaszczebotała — tak, tak, wiem, trzeba zdjąć osiem stron z gazety. Pomyślałam, żeby wyrzucić coś z seksu — zaczęła Ela.

— Proponujesz coś ująć mężczyznom czy kobietom? — spytałam.

Ale byłam piekielnie inteligentna.

— Zdejmijmy tekst o orgazmach i dajmy ten krótszy. Ola mi mówiła, że jest o miejscach, gdzie warto całować mężczyznę.

— Ten artykuł jest nieskończony. To nie jest łatwy tekst — wtrąciła Marta.

— Dlaczego? — naczelny głuptasek oczekiwał jednej, jedynie słusznej odpowiedzi.

— No wiesz, nie wypada pisać o pewnych rzeczach wprost. Chyba że przejdziemy na francuski. Seksuolog, z którym konsultowałam ten tekst, twierdził, że jest tylko jedno takie miejsce. Dziwił się, że chcemy mu poświęcać aż dwie strony.

— Co?

Elka, królowa pytań w wielkim mieście, nie wyglądała z tym „co” sexy. Jej oczy powiększyły się i przypominały żółte bile.

— No, nie warto się wysilać — ciągnęła Marta. — Może zrobimy tylko malutką ramkę. Bo mężczyzn kręci... No

właśnie, wiecie, co ich kręci?

Spojrzała na Elkę i odpaliła ze spluwy naprawdę dużego kalibru. Ale z tłumikiem.

— Odbyt ich kręci — powiedziała spokojnie, jakby właśnie stwierdziła, że bułka najlepiej smakuje z masłem.

— Odbyt ich kręci — powtórzyła Marta. — Ów seksuolog twierdził, że kobiety niepotrzebnie się wysilają, pieszcząc i całując partnerów tu i tam. Bo cała tajemnica tkwi w tym...

I tak się rozwinęła z narracją, że poczułam, że robi mi się słabo.

— ...i podobno dopiero wtedy to jest ekstaza. — Uśmiechnęła się do mnie zbereźnie, jak to spec od seksu, i puściła porozumiewawczo oczko.

— A chciał ci to pokazywać? — dociekała Elka.

— Bez przesady — zaprotestowała Marta.

— Jedno jest pewne — odezwała się fachowo Dorota — trzeba mieć zawsze przy sobie oliwkę.

— Chyba że ma się oliwkowe buty — zaśmiała się Marta.

I obie spojrzałyśmy na buty chwilowego naczelnego głuptaska.

W kolorze, a jakże, dojrzewającej oliwki.

14.35

Znajdź coś innego. Elka zawyła za moimi plecami.

— Ten fragment o całowaniu wypada. Nic z niego nie wynika. Bo niby jak ten język się wsuwa w usta partnera? O jaką ci tu technikę chodziło? Czytelniczka musi wiedzieć, w jaki sposób władać językiem. Czy tylko nim miarowo poruszać, czy podgryzać, czy iść nim zgodnie ze wskazówkami zegarka, czy nie, cha, cha.

Nauczyłam się z pokorą przyjmować docinki na temat tego, co robiłam.

Tylko poczucie humoru i wycucie dobrego smaku mogło mnie w tym miejscu uratować — to była moja maksyma. Przecież nie będę tupać obcasikiem i wołać, że ja protestuję. To nudne. Wolalam stać mocno na nogach i oceniać wszystko z poczuciem godności, nawet jeśli patrzyłam przez palce. Na Elę spoglądałam więc stosownie do chwili, czyli pobłaźliwie, ale i z podziwem. Fascynujący był jej perfekcyjny makijaż, który nie stracił blasku nawet na sekundę, mimo czerwonych plamek, które pokryły jej policzki i szyję.

Była zła, nie dało się ukryć. Wściekła.

Albo tylko nieszczęśliwa i smutna.

Może miała problemy?

Może zastanawiała się, dlaczego nigdy nie zrobiła czegoś porywającego.

Może nagle dziś rano zwątpiła w wybór, którego dokonała tydzień temu.

A może koleżanka miała taką samą torebkę Prady jak ona.

Może jakaś zła kobieta ubiegła ją i kupiła buty, które Ela sobie upatrzyła. Może była w ciąży albo chciała w niej być.

Może się zakochała nie wiedząc czemu właśnie w nim.

Patrzyłam na nią przychylnie, gotowa zgodzić się ze wszystkim, co mówiła, i jeszcze przyjaźnie się do niej uśmiechnąć.

Może w głębi serca była delikatna i nieśmiała.

Może tylko panicznie bała się wydać śmieszna.

No i tu los mi sprzyjał: Ela miała na zębach kawałek skórki od jabłka. Skórka plus jej oburzenie dawało rozśmieszającą mieszankę wybuchową, oczywiście zbyt mało wyrafinowaną jak dla mnie, dlatego zamiast zachichotać, jak Benny Hill próbowałam na migi jej przekazać, że coś zakłóciło powagę tej chwili, i przesuwalam palcem po swoich zębach, ze szczególnym uwzględnieniem prawej dwójki.

— No właśnie tak, jak pokazujesz, napisz dokładnie, jak to się robi — Ela próbowała wysnuć pozytywne myśli z moich gestów.

Było to na swój sposób wzruszające. O, Ela, rozczulasz nieprzyjaciela... Spuściłam głowę, zmarszczyłam czoło, cofnęłam się, jakbym była w pierwszej klasie, i powiedziałam:

— Przepraszam, zaraz do ciebie wrócę.

14.45

Poszłam do łazienki, przejrzałam się w lustrze. Parsknęłam śmiechem. Wciąż byłam cała — to było najważniejsze, to nie mnie Ela nadgryzła, choć ego mnie trochę pobołowało z lewej strony. Nie za mocno, ale tak, że poczułam jego obecność. Wzięłam kilka głębokich oddechów i wróciłam przed oblicze Elki. Nie chciało mi się dyskutować, przecież nawet gdybym chciała, to nie uzdrowię seksualnie całego świata.

Wyjęłam teczkę z artykułem, przeczytałam jeszcze raz.

Czułam, że kręcę się w kółko, jakbym była w kieracie.

I to jeszcze w pogoni za sekretem męskich warg!

Wpisałam w Google „pocałunek”.

Bingo.

I w ten sposób do mojego artykułu został dołączony tekst:

„Chwytaj ustami górną lub dolną wargę, ssij ją delikatnie i lekko podgryzaj zębami. Wyrafinowani kochankowie całują się rytmicznie — wsuwają i wysuwają język, naśladując stosunek płciowy”.

15.05

— Nie martw się — podeszłam do Janki.

Chciałam docenić jej wczorajszą szczerość w rozmowie ze mną, zaufanie, jakim mnie obdarzyła.

— Przecież moja siostra też ma córkę z pierwszego małżeństwa i wierz mi, że ułożenie kontaktów ojca z dzieckiem naprawdę nie jest trudne.

— O ile się tego chce — odpowiedziała.

— Ale jak można tego nie chcieć, jeśli się kocha dziecko i pragnie się jego dobra?

— Julka, jestem tak zmęczona tymi rozmowami o nie swoim macierzyństwie, że chyba nie mogę zająć w ciążę. Stworzyłam sobie blokadę w mózgu i koniec. A przecież najbardziej w świecie chciałam założyć szczęśliwą rodzinę z kimś, kto tego pragnie tak samo mocno jak ja. Tylko dlaczego w porę nie zauważyłam, że on to już ma. Beze mnie zdobył wszystko, o czym marzę. Choć mówi inaczej, ja czuję właśnie tak.

15.12

Za trzy minuty kolejne spotkanie u Elki. Jeszcze nie nauczyłam się w tak krótkim czasie zjeść, zapalić, wypić kawę z mlekiem i pójść do toalety. Wciąż trenowałam. Byłam coraz lepsza. Niedługo stanę się mistrzem, będzie mi można mierzyć czas stoperem. Nad moim biurkiem pojawiają się hasła: „Pracując szybko, unikasz nadgodzin”, „Wzajemne zrozumienie”, „Nie ma rzeczy niemożliwych”.

15.19

— Gdzie ta Marta? Przecież wie, o której mamy spotkanie?

Przy Elce w redakcji zapanował chaos. Jej się wydawało, że kierowanie gazetą to robienie zebrań i tłumaczenie tekstów, których nie mogła pojąć.

Bo ona rozumiała tylko te o perfumach. Uwielbiała czytać artykuły o „terrorze makijażu” i wyglądała jak jego najwierniejsza niewolnica.

— No i co ona znowu robi? — powtórzyła. A raczej wykrzyzczała.

Kiedy padły te słowa, za oknami rozszalała się wichura, a z nieba zaczął padać rzęsisty deszcz...

— Pewnie to, co wszystkie kobiety, gdy nikt nie widzi: po prostu! — próbowałam zabłysnąć aktywnym udziałem w kolegium.

— Albo pudruje noskę — dorzuciła Aśka.

— Króliczki, no co wy? — Dorota zatrzęsała swoim mocno zaawansowanym biustem. Może chciała wywołać trzęsienie ziemi i tsunami.

Taki efekt motyla.

Motyła o imieniu Doris.

— Czy możemy wreszcie zacząć zebranie? — Chwilowy naczelny głuptasek stuknął długopisem o biurko. — Okładka ustalona, sesja zdjęciowa przygotowana, no dobrze... Co ty znowu robiłaś? — przywitała spóźniona Martę.

I nie czekając na odpowiedź, rzuciła w moją stronę:

— To co? Jesteśmy umówione? Tak?

Ojej, na co znów?

— No co tak na mnie patrzysz? Chodzi o boginie seksu. Masz już plan artykułu?

Chwilowa naczelna wymagała pisemnego konspektu — wstęp, rozwinięcie, zakończenie... Planu, jak w podstawówce.

Znów byłam przy tablicy.

W szóstej klasie, gdy słyszałam pana od historii mówiącego: „No wyjaw nam, słonko, kiedy rozegrała się ta bitwa”, miałam prawo nie wiedzieć.

Teraz nie.

— Wstęp — szybki i błyskotliwy, krótkie rozwinięcie i od razu wielki finał, w którym bogini króluje w łóżku, na barku, w taksówce, na balkonie, to znaczy na tarasie, i gdziekolwiek los ją rzuci, nawet na klepisku — ciągnęłam

zawzięcie — bo bogini robi wszystko, by doprowadzić się do stanu, w którym już nie ma stanu, tylko ach, ach, aaach! Aaaaaaaach! Ooooch... — jęknęłam namiętnie.

Zapanowała cisza.

Słychać było tylko, jak Elka nerwowo uderza cienkim długopisem o biurko.

— Aaaoooch! — wrzasnęłam jeszcze raz.

Stukanie nabrało przyspieszenia. Ładny długopis. Licencjonowana seria.

— Jak wyglądały moje usta? Czy układały się w zgrabne „o”? — spytałam rzeczowo i nie bez powodu.

Byłam przekonana, że Eli nawet czynność przez wielkie „O” nie wymykała się spod kontroli i nie rozmywała makijażu. Ona dobrze wiedziała, czy ładniej układają się usta, gdy mówi „och” czy „ach” A może „eeeeoooh”? To ważne, jaką się ma wtedy twarz. Bo tej tracić nie wolno nigdy.

— Ela rozumie, o czym i o kim mówię — kłamałam.

Elka się rozpromieniła.

Chyba uwierzyła, że wie, o kim mowa.

O kim?!

— A, jeszcze jedno dziewczynki, cha, cha... — zachichrała.

I tylko ona.

— Co z tą miłością? Trzeba ją zajawić na okładce. Cha, cha...

— Proponuję: Miłość to chemia czy magia? — krzyknęła Aśka.

— Nie tam, jaka magia — powiedział pseudonaczelnny głuptasek.

— Może chemia miłości — rzuciłam.

— No co ty? — usłyszałam krzyk. — To niepoprawne!

— Niepoprawne stylistycznie czy życiowo? — spytałam.

W odpowiedzi ujrzałam tuż przed sobą ogromne, starannie pomalowane oczy. Należały do dziewczynki, ba, panny ze świtki Elki, jedynej sojuszniczki chwilowego naczelnego głuptaska. To była Gośka, tak zwana Kizia-Mizia.

— Chemia w miłości to jest to — powiedziała, robiąc piruet na stopce obutej w różową balerinę i błękitne podkolanówki. Czterdzieści lat na karku, a w sercu ciągle maj, choć pora witać jesień. Bałam się już odzywać, a mimo to zaproponowałam:

— Może: Chemiczny zawrót głowy?

Banał, ale Elka je kochała. A kochać w końcu każdy może!

— Może być. To jest najlepsze, bez wątpliwości.

I dobrze, bo pozostawało jeszcze tyle spraw wątpliwych i niejednoznacznych

Na przykład, co poeta chciał powiedzieć, gdy pisał zdanie: „Splotały kolory, wyzięble uczucia”. I czy miał rację, kiedy na pytanie, czy można po wojnie pisać zdania typu „Księżyc świeci”, odpowiedział: „Nie wiem, ale spróbować można”.

Wciąż miałam wątpliwości w stosunku do tylu spraw... Co powinnam zrobić, żeby staranniej żyć. Dokładniej.

Bardziej pewnie.

Nie dawać się zwieść hasłom w stylu „pomnożymy twoje pieniądze”, ale szukać sposobu na pomnożenie własnej wyobraźni, dobroci, empatii, rozumu! Nie chciałam być wymyślana przez innych. A jednak miałam wrażenie, że ktoś patrzy tylko na moje plecy i na mój kucyk, który się majtał nad szyją. A nie na to, co widziałam przed sobą, nie na to, co było we mnie, co miałam w planach. Pomału, dzień po dniu, zapominałam o nich. Przesuwałam na później. Od tylu lat

odkładałam wszystko na niedzielę, a potem nawet nie zauważałam, gdy nadchodziła. A przecież wciąż pamiętałam,
żeby dać szansę każdemu dniu, bo może się okazać najważniejszy w życiu.

16.40

Za chwilę miałam stanąć oko w oko z gościem, który z opisów wydawał się ode mnie wyższy o sterzącą fryzurę i był pożądanym bardziej niż amerykańska wiza, i to przez wszystkich, nawet przez żołnierzy z jednostki nadmorskiej.

Wiedząc, że John i tak nie podniesie telefonu, wykręciłam jego numer. Nagrałam się, żeby mi napisał, czy nasze spotkanie jest aktualne i że co prawda mam przy sobie książkę nie mniej fascynującą niż rzeczywistość, ale chyba nie chciałby, żebym przeczytała ją całą, czekając na niego.

16.53

Zamiast potwierdzenia od Johna, dostałam SMS-a od Cukiereczka.

Była to odpowiedź na moją prośbę, żeby skończył ten teatr. „Teatr...! Masz powody, żeby tak twierdzić... Ale skoro tak, to życie sprawiło nam piękny spektakl, bez happy endu. Miłość umarła, został po niej film i plany na piękny ślub. Ruchome obrazy po szczęściu, tak już teraz martwe jak zwłoki żab w spirytusie. Powodzenia, dokądkolwiek się udajesz. Całuję Cię, Julio” — doniósł mi Pan Miłość Umarła.

Czemu on tak niekorzystnie się zmieniał?

Zaczynałam wstydzić się za niego w imieniu tych żab w spirytusie...

...że o słoikach nie wspomnę.

17.05

Johna nie było w kawiarni. „Mam czekać, jeść, pić zmienić lokal, kupić drugą książkę, przespać się?” — chciałam wysłać mu SMS-a.

A może kupić nowe buty i tabliczkę czekolady z migdałami?

Zaczynałam się o niego martwić, bo ten facet był jak rękawiczki. Co chwila się gubił. Co z tego, że pragnęło go tyle kobiet, jeśli żadna nie była w stanie go namierzyć? Ominie go każda miłość, nawet ta najcierpliwsza, bo nikt się do niego nie dodzwoni, nie dobije, nie doczeka! Już wiedziałam, jakich on pragnie kobiet — cierpliwych. Właściwie mogłam sobie darować ten wywiad.

17.07

„Największym wrogiem był sen”... — przeczytałam pierwsze zdanie książki. John naprawdę się zgubił. Zaczynałam go lubić, no cóż, lubiłam nieporadnych ludzi.

17.11

Zamówiłam herbatę. Zadzwoił.

— Zaraz po próbach miałem jeszcze nieoczekiwane spotkanie.

— Bardziej nieoczekiwane niż ze mną?

— Przyjechała moja menedżerka z producentem, ale to długa historia.

— To już się nie spiesz. Spotkamy się jutro, zaproponuj godzinę. I gdyby jednak coś się zmieniło, przyślij mi kurierem jakąś książkę. Tę właśnie kończę.

17.34

— Julka, wrócisz jeszcze do redakcji? Elka szaleje — zadzwoniła do mnie Dorota.

Właśnie mijałam Łazienki, zwolniłam więc do dwudziestu kilometrów na godzinę, żeby zobaczyć, jakie zdjęcia wiszą na ogrodzeniu. Włączyłam do tego stosowny podkład muzyczny.

— Jadę, Dorotko, próbuję wyminąć jakąś kobitkę, która się kłóci przez telefon i wlecze niemilosiernie, jakby wiozła cały zapas broni, a po sąsiednim pasie toczy się pan, który chyba wraca do domu, bo jedzie tak, jakby nie chciał nigdy dotrzeć. Pewnie w lodówce nie ma nawet rosółu. A może ma małe dziecko i czeka, aż ono zaśnie, jak myślisz? Powinien sobie kupić psa. Jaką rasę mu doradzić? — bujałam.

Ale mi to łatwo przychodziło.

— A co się dzieje w redakcji? — zapytałam.

— Chodzi o tekst, wiesz, ten z pisarką, na temat miłości, który wczoraj zajął okładkę.

— I co? Coś z nim nie tak?

— Nie wiem. Elka coś tam nabazgrała.

— Zaraz będę, spokojnie, tylko się nie denerwuj, rozumiem, że Elka chce, żebym podała gotowy przepis na miłość szczęśliwą, uzupełniła go chemicznym wzorem i parametrami, gdzie szukać tego jedyne go i jak go poznać. Po sztucznych wąsach. W porządku. Ale są tylko dwie złote zasady.

Pierwsza: wybieraj faceta z kontem powyżej siedmiu zer, druga: bez byłej żony — wyciągnęłam wnioski z rozmowy z Janką. — A ile ja mam miejsca na ten artykuł? Jakies cztery strony, tak? Przecież Ola już go czytała, dla niej był OK, o co więc Elce chodzi? A zresztą co tam... Lubisz muzykę gitarową? Posłuchaj Johna MacLaughlina. — I włączyłam na full.

Wyobraziłam sobie, jak on to grał z uśmiechem.

Nie znałam niczego równie pięknego. Pamiętałam wieczór, kiedy dzięki Piotrowi po raz pierwszy usłyszałam jego muzykę. Grał tak lekko, zupełnie się nie wysiłał. Niczego nie narzucał. Pozwalał komuś samemu coś w sobie dostrzec.

Imponowało mi to, że Cukiereczek ze swojej pasji potrafił zrobić zawód. Gdybym mogła określić granice tęsknoty za nim, to dotyczyłyby one jedynie muzyki. Przyzwyczaiłam się do świata dźwięków, który poznałam za sprawą Piotra.

Polubiłam go.

Miałabym go teraz stracić?

Nie da się ukryć, że wolałabym być muzykiem i słuchać tylko dźwięków gitary, a nie marudzenia Elki. Dlaczego nie mam słuchu? Czy Elka nie mogłaby się w kimś i z kimś teraz kochać, zamiast grzebać w moim tekście?

17.38

Wykręciłam jeszcze raz numer Doroty.

— A może wolisz posłuchać wiolonczeli? To Ophelie Gaillard, wyobraź sobie, jak trzyma seksownie między udami wiolonczelę i kocha w tej chwili wyłącznie Bacha. Czy to też miłość, Dorota, jak sądzisz? I czy w słuchaniu też jest chemia?

— Czy ty możesz wreszcie dojechać?

— Jadę, Dorotko. I jest mi coraz smutniej, bo wolałabym, żebyś właśnie szła na randkę z facetem, który nie mógłby oderwać wzroku od twoich piersi, a ty się marnujesz i co będzie na stare lata? Owiniesz się tymi piersiami w pasie, żeby ci nerek nie zawiąło? Schowasz je do bocznych kieszeni fartucha, jak będziesz smażyła dla dzieciaków z pobliskiego przedszkola faworki? Przerzucisz je przez ramię i pójdziesz samotnie w świat? Chyba nie po to je masz, żeby całymi dniami wylegiwały się na klawiaturze komputera.

Włączyłam na maksa muzykę, wyjęłam najcieńszego papierosa w historii członków i zapaliłam na cześć Oli. Po raz kolejny tego dnia zatęskniłam za nią.

17.55

Zadzwoiłam do Kaśki, znów nie odebrała. Miałam nadzieję, że z powodu wieku —jak stwierdziła jej wąsata ciotka — prawie emerytalnego, nie poszła nad brzeg rzeki... albo studni.

18.05

I dograłam się. Czekala mnie kara. Przecież Elka, choć tymczasowa, była na wyższej pozycji niż ja. Musiałam wysłuchać jej uwag, to znaczy wcale nie musiałam, ale powinnam wszystkie przyjąć z pokorą.

— Ten artykuł jest cały do zmiany — zaczęła.

— CAŁY?!

— Tak, ale wiesz, nie martw się, świetnie piszesz, masz takie lekkie pióro. Tylko... brak w tym materiale planu.

Planu?

A czy do miłości potrzebny jest plan?

— Ale to nie wszystko — zaśmiała się Elka — nie ma też konstrukcji i nie znalazłam konkretnej odpowiedzi na pytanie, dlaczego kochamy, a przecież czytelniczka taka jak ja chciałaby się dowiedzieć, dlaczego wybrała właśnie Jurka, a nie Karola. Nie sądzisz? — Spojrzała na mnie. — Za mało też czynników chemicznych...

A mnie coraz bardziej brakowało słów.

Może i Elka ma rację? Może miłość to nie ekstaza, ale po prostu czysty rozum i czysta chemia?

Tylko jaki jest na to wzór? Zaczynałam wątpić we wszystko, co na „m”...

18.15

Zostałam sama z tym miłosnym zawrotem głowy. Wszyscy wcześniej wyszli, bo wieczorem szykowało się wydarzenie planowane od kilku tygodni — impreza w modnym klubie, taki kaprys Baśki, miłośniczki balang.

18.30

Zadzwoiłam do Moniki, mojej siostry. Odebrała Bibi.

— Byłam dzisiaj na rolkach. Tak szalałam, że aż do teraz czuję wiatr we włosach, jakbym szybowwała. Byłam taka wolna!

Ona ma dopiero siedem lat, a już szuka wolności!

— Wpadniesz do nas, to pobiegnę po lody — powiedziała.

— Nie, dzisiaj nie, ale może jutro przyniosę ci coś fajnego?

— A co? — dociekała, ale zaraz o tym zapomniała i rzuciła od niechcienia: — Pewnie chcesz mamę. — I nim odpowiedziałam, usłyszałam najgłośniejsze nawoływanie w historii ludzkości — maaa-mooo!

— Julka, nie mam najlepszego dnia. Już nie wiem, o co tu chodzi. Znow zmienił datę ślubu — poskarżyła się Monika.

— Nie cieszysz się? — zdziwiłam się. — Podobno to marzenie niejednej kobiety na tym padole!

— Myślisz, że któraś z nich marzy, żeby wyjść za takiego Bułkarza? Julka, ty nic nie rozumiesz. To już kolejny termin — powiedziała.

— No tak, zdarza się, że coś wypada i wiesz...

— Ale tu nic nie wypadło — przerwała mi.

— Monika, to na pewno najlepszy termin i ostatni Uśmiechnij się, niedługo będziesz królowną, białą damą... Przecież to pięknie! A jak spadnie śnieg, to nawet zostaniesz najgorętszą i najseksowniejszą królową śniegu. A teraz ściskam cię, ślicznotko. Muszę kończyć, bo mam drugi telefon.

18.41

Brak numeru.

Odebrałam, ale gdy usłyszałam kto to, chciałam cofnąć rękę.

— Masz rację, może i jestem przesłodzonym idiotą, ale kocham cię.

Piotr wyrzucał z siebie te słowa jednym tchem. Mam być z nim i budzić się w cukierkowym ulepku? Nie. Przecież chyba nie powiedziałam mu „TAK”? Nie, przecież powiedziałam „NIE!”.-

To w końcu co ja mu powiedziałam... Zaczęłam się gubić.

Jakim prawem on prosił mnie o coś takiego?

W imię jakiej idee fixe składał mi tego rodzaju propozycje?

— Każda kobieta wydaje mi się twoim cieniem. Nie mogę przestać o tobie myśleć. W moich snach kochamy się wszędzie — na plaży, w kuchni, w aucie...

W aucie, to na pewno. Co do tego nie miałam złudzeń.

— A jest z nami ambasador Kostaryki?

— Jaki ambasador?

Nic mi tak dobrze nie wychodziło jak plecenie bzdur. Ale Cukiereczek ostatnio nie znał się na żartach, był cały czas na baczość. A przecież nawet święty Franciszek mawiał, że człowiekowi nigdy nie powinno zabraknąć nadziei i poczucia humoru

20.55

Skończyłam artykuł, to znaczy stworzyłam do niego plan i — zgodnie z innym planem — dotarłam na imprezę do najmodniejszego klubu w mieście. Po drodze zabrałam ze sobą Łukasza. Nie chciałam, żeby się czuł w ten wieczór samotny. A poza tym to teraz takie trendy mieć przyjaciela geja, nawet jeśli nie był on fryzjerem i wyglądał na mojego chłopaka. Pomyślałam, że będzie tam dużo mężczyzn bardziej wartych jego niż mnie. Byli. Jakby wyszli z pokazu Galliano.

Wystylizowani.

Tacy COOL, a tak naprawdę zrozpaczeni samotnością single.

Jak Łukasz.

21.45

— Nawet nie ma na kim zawiesić oka — powiedziałam znudzonym głosem, gdy przechodziłam obok rozbawionej Baśki.

— No co ty!!! Spójrz na tego przy barku, jest boski!

— Boski?

Na odczepnego odpowiedziałam, że może być, choć nie w moim typie.

— Tak? To załóżmy się o stowę, że go nie poderwiesz — powiedziała i po chwili złośliwie dodała: — Przecież widać na pierwszy rzut oka, że to ty nie jesteś w jego typie.

— Chyba żartujesz. Po minucie będzie mi jadł z ręki.

I co ja plotłam?

Przecież nigdy nikogo nie poderwałam.

Bo jak to się niby robi? — odgarnia się zalotnie włosy, muskając nimi jego policzek, czy staje się mu przypadkiem na nodze ostrym obcasem, a może po prostu podchodzi się do takiego gościa i mówi: „Hej, co słyhać? Dasz się dziś poderwać?”. Nie wiedziałam jak, ale czułam, że muszę wyjść z tego z twarzą. I szczerze mówiąc, myślałam, że to żart, ale Baśka przyciągnęła jakieś dwie niunie na świadków i ani się obejrzałam, jak zakład był ustalony.

Dziewczynki wpatrzyły się we mnie wyczekująco.

— Załóż się, o stowę — powiedziała jedna z nich walecznie.

— No i co, Julka...? — Łukasz nie wytrzymał wolnego tempa akcji. — Wchodzimy w to?

— O co się zakładacie? — podeszła do nas Ela.

I tym pytaniem przesądziła sprawę.

— Idę! — powiedziałam.

21.53

Chłopak przy barze miał welurową czarną marynarko z wielkim kołnierzem, która przypominała nieco płaszcz, włożoną chyba na gołe ciało, bo gigantyczny dekolt odsłania! tylko lekkie owłosienie klatki piersiowej. Był tak misternie wystylizowany, że przypominał kuzyna

Oscara Wilde'a. a może nawet jego we własnej osobie. Na szyi połyskiwały czarne paciorki ze srebrną blaszką, na której coś było wygrawerowane, nie mogłam jednak dostrzec co. Miał ładną szczękę, męską, ale o kobiecym zarysie, i nieznaczny dołek w brodzie. Kilkudniowy ciemny zarost. Szlachetny nos. Łagodne oczy, choć niepokojąco ciemne.

Dobra fryzura, klasyczna, nieco demode.

Mistrzostwo detalu.

Patrzyłam na niego, jakbym uczyła się go na pamięć.

Ale im bardziej się wpatrywałam, tym mniej widziałam.

Puchatek miał jednak rację.

Rzecz jasna — Kubuś Puchatek.

— Cześć, nie sądziłam, że cię tu spotkam — zaczęłam go.

Stałam obok niego. Nie uśmiechnęłam się, tylko lekko nachyliłam się w jego stronę, jakbym chciała zmniejszyć dystans.

— Znasz mnie? — spytał z zaciekawionym.

— A nie powinnam?

Zaczął się śmiać, jakoś tak nieszczerze.

— Nawet nie pamiętasz... Chyba zaczynam czuć się niezręcznie, nie wiem tylko, czy bardziej zraniona, zlekceważona, czy urażona — udawałam.

— Naprawdę się znamy? Widzieliśmy się już? — zdziwił się. — Na pewno bym cię pamiętał. Takich dziewczyn jak ty się nie zapomina.

A jednak powiedział to cytowane przy wszystkich barach świata zdanie. Myślałam, że stać go na więcej.

Był przystojny, Baśka miała rację. Że też musiałam powiedzieć tyle niemądrych słów, żeby się dowiedzieć czegoś, co było widać na pierwszy rzut oka, nawet z daleka...

— Hm... A jednak nie pamiętasz. Może przydałoby się ostrożniej żyć? Uważniej patrzeć? Matka Elżbiety Pierwszej W ostatniej chwili życia upewniła się, czy kat z Francji był mistrzem, a ona miała taką delikatną, cienką szyję, i powiedziała: „Głóg kwitnie”. No właśnie. Wiesz, jak kwitnie głóg? Zapamiętałeś ten widok?

— A ty po czym mnie zapamiętałaś?

— Po uchu.

— Prawym czy lewym? — spytał rzeczowo

— Prawym. Mogę na nie spojrzeć?

Przysunął się do mnie, a ja miękko, by nie powiedzieć, że naturalnie, przylgnęłam do niego, jakbym chciała szepnąć mu coś miłego.

Poczułam zapach wody, której użył przed przyjściem do klubu.

Kenzo?

Zza jego ramienia widziałam Baškę i jej świętę.

Nie odrywały od nas wzroku.

Pewnie wysychały z ciekawości.

A niech to!

— Piękne ucho — szepnęłam.

Chyba zwariowałam, żeby iść o ten zakład!

I żeby tak bardzo się starać go wygrać.

— Piękne ucho. Przykro mi, ale jednak nie jest mi znane. Chyba cię z kimś pomyliłam.

— Często ci się to zdarza? — spytał bezczelnie.

— A tobie często zdarza się zadawać kobietom takie pytania?

— Odpowiedz. Przecież to ty masz talent do kłamania nie ja.
— A ty do czego masz talent?
— A jak myślisz?
— Do dziedziczenia pieniędzy? Do wyjadania czekolady ze słoika? Do zadawania niestosownych pytań? Do napadania na samotne kioskarki? Do stania przy barze? Do dręczenia mnie?
— Żartujesz sobie ze mnie, tak?
— Nie z ciebie. Zapomnij, że mnie widziałeś, a ja zapomnę twoje ucho.
Odsunęłam się od baru, chciałam odejść. Przytrzymał mnie za rękę. Zbyt mocno
Znów poczułam to samo, co w porze lunchu, choć był to inny dotyk.
— A powiesz mi, jak masz na imię? — spytał.
— A powiesz mi, dlaczego chcesz to wiedzieć?
Powiedział.
Nie brzmiało to na tyle przekonująco, żebym miała powtarzać jego słowa.
Zapewnił o mojej fascynującej powierzchowności, jakby mówił o umaszczeniu rasowej kłaczy, która wygrywała na wyścigach. Wygłaszał o mnie mało odkrywcze zdania, a ja wpatrywałam się w niego, jakbym nie mogła oderwać wzroku, jakbym się upajała tym, co słyszałam, choć przecież jego słowa wydawały mi się oczywiste i mało zaskakujące. W końcu wiedziałam dobrze, jaka jestem.
A na końcu skłonił głowę i powiedział:
— Pozwolisz, że się przedstawię. Mam na imię Piotr.
A ja spytałam:
— Nie mógłbyś się jeszcze raz zastanowić, czy to imię na pewno do ciebie pasuje? Może jednak się pomyliłeś?

22.17

— Moja wygrana stówa — wyciągnęłam do Baśki rękę.
Trzeba przyznać, że okazała się przygotowana na tę ewentualność — natychmiast podała mi banknot. Miałam na benzynę.
— Kto to jest? Julka, co to za przystojniak? — Ela szczebiotała do mnie, jakbyśmy byli przyjaciółkami.
— Proszę, pasujecie do siebie jak te przysłowiowe połówki jabłka — podałam jej wizytówkę Piotra. Oboje mieli takie ładne baczki

22.57

Widziałam coraz mniej. Zbiornik na płyn do szyb w samochodzie był pusty. Owszem, miałam nowy spryskiwacz, ale po tym, jak pomyliłam wlew do płynu z chłodnicą, wołałam wozic go w stanie nienaruszonym w bagażniku. Tak to jest, jak się nie ma kto mną opiekować. Wykręciłam numer Cukiereczka. Nie było zbyt późno. Wiedziałam, że zjawi się natychmiast w moim garażu.

23.31

— Dziękuję — powiedziałam, gdy Piotr podał mi puste opakowanie po płynie.

Nie pozostawało nic innego, jak otworzyć mu bramę.

— Mam coś dla ciebie, Cukiereczku — powiedział i wręczył mi pudełeczko z czekoladkami.

Uchylił jeszcze szybę swojego auta i z triumfem w głosie powiedział:

— Wiesz, chyba we mnie wierzą w tej Kalifornii.

Mistrz autopromocji.

— Też w ciebie kiedyś wierzyłam — mruknęłam pod nosem, kiedy jego auto zniknęło w bramie.

Spojrzałam na czekoladki...

On chyba naprawdę chciał, żebym miała złotą kartę u jego dentysty.

Powoli zaczynałam wątpić w oryginalność swego życia. Nie miałam nawet imienia.

Stałam się Cukiereczkiem.

To z jakiegoś filmu, prawda?

O takiej pani z nadwagą, tak?

23.58

Spojrzałam po raz ostatni na swoje odbicie w lustrze i na pomazany notes. Rano zebranie, po południu dwa spotkania, w przerwie pierożki krewetkowe... O świcie na pewno kawa. Teraz czas na sen. Schyliłam się, by odłożyć na podłogę książkę, i dostrzegłam napis na pudełeczku czekoladek od Cukiereczka: „Każdego dnia dowody miłości, Julio”. Help! Co za noc...

czwartek

9.15

Tak intensywnie siedziałam przy komputerze, że nie zrobiłam sobie porannej kawy, nie dodałam do niej cukru, nie zjadłam kruchego ciasteczka oblanego czekoladą, nie podziwiałam butów Marty — różowych kaloszy. Okropnych! Najnowsze wydanie gumiaków firmy B., na widok których zleciały się dziewczyny z sąsiednich redakcji, chyba tylko portier nie przyszedł. No i ja. Do mojego pokoju dolatywały co głośniejsze piski, śmiechy i pojękiwania. Gdyby wtedy korytarzem przechodził prezes...

9.35

Los dał mi szansę, cha, cha... Mogłam się skrupulatniej przygotować do rozmowy z Johnem. No bo niby jak ją zacząć, by dojść do zamierzonego celu? Nie mogłam być jak te chmury dziennikarek, które mówiły jednym głosem i przechodziły obok niego niezauważalnie jak duchy. Lubiłam się wyróżniać, i to nie tylko dlatego, że pewnie jak każda ładna kobieta byłam zakompleksiona. Uwielbiałam wyzwania w postaci twardziela w bojówkach, za którym rozbrzmiewały jęki fanek. W Internecie znalazłam

mnóstwo okrzyków zachwytu na jego temat. Mało oryginalnych — i właśnie dlatego je przytoczę: „On jest ideałem faceta!!!”, „Jest słodki. Po prostu suuuper...”.

Czułam, że to super uderza we mnie z siłą pioruna.

Rzeczywiście, był jak budyń czekoladowy.

Słodycz tę docenił jeden z producentów pasty do zębów, przyznając mu Certyfikat Promiennego Uśmiechu. Oficjalne uzasadnienie? „Uśmiech filmowo zniewalający, który ogrzewa serca wszystkich kobiet”. Hm, pod warunkiem że to starsze panie i nastolatki, czego zapomniano dodać. Wyczytałam jeszcze: „Znany polski aktor i amant John C. jest znowu wolny. Zakończyło się jego małżeństwo. Podobno winy należy się dopatrywać w zachowaniu byłej małżonki”.

Żałosne.

Słyszałam plotkę, że jak rozmawiał z Wiktoria z konkurencji, to był tak zapatrzony w siebie, że mało jej nie zdeptał. Wiedziałam już, że potrafi być nieprzyjemny i nie odpowiadać na kłopotliwe dla niego pytania. A ja przygotowałam tylko takie. Musiałam dociekać, jakich pragnie kobiet, co sądzi o seksie przed- i pozamałżeńskim i o czym myśli, gdy... A na deser miałam mu zaproponować sesję. Z jego „mięskiem” (czytaj: torsikiem) w roli głównej!

Może przywitać go komplementem? Albo jeszcze lepiej: powinnam zemdleć na jego widok, po czym szybko się pozbierać, otrzeć pot z czoła i wyszeptać ostatkiem sił: „O rety, jaki ty jesteś boski” — ale to byłoby mało seksowne. No i już na samym początku miałam problem, jak zabrać się do rozwijania tej zawodowej pułapki.

Bo dla mnie liczyło się, jak zacząć, a nie jak skończyć.

Może dlatego, że wielu rzeczy nie kończyłam.

Przerywałam znajomości, urywałam rozmowy. Nie mówiłam nawet „żegnaj”.

Po prostu znikiałam, co wcale nie znaczy, że było mnie coraz mniej.

9.50

— Jak się czujesz? — podeszłam do Janki.

Była tak cichutka, że z trudem kojarzyłam moment, w którym pojawiła się w redakcji.

Wyszliśmy na papierosa, choć przecież obie rzuciłyśmy palenie. Ale cóż, są takie chwile w życiu kobiety, że bez nikotynowego dymka ani rusz.

— Super wyglądasz zaczęłam. — Piękne buty.

— Tylko po co mi takie, jeśli nie wiem, gdzie w nich iść.

— Ładna sukienka. Nawet nie wiedziałam, że masz takie fantastyczne nogi — ciągnęłam.

— E tam, założyłam obcasy i tyle.

— Maks to ma szczęście.

— Maks? Może i ma.

— A ty?

— Każdego dnia, gdy na niego patrzę.

Uśmiechnęła się.

— To było stanowisko oficjalne i niepełne — dodała. — Teraz wersja druga, uzupełniona. Każdego dnia, gdy na niego patrzę, myślę, że nie jestem w stanie być w związku tą czwartą, nie umiem być dodatkiem do byłej żony i do dziecka, które nie ja urodziłam. Czuję się zdradzana, nawet

kiedy on śpi obok mnie. Czuję się oszukana, bo nie tak miało wyglądać moje życie. Nie pasuję do ich podgrupy. Marzyłam zawsze o facecie, który ze mną będzie wyczekiwał tego dnia, gdy powiem: „Jestem w ciąży, będziemy mieć dziecko”, a nie o słuchaniu, że chciał sam przeciąć pępowinę, kiedy jego była żona urodziła dziecko, ale pielęgniarka za późno go zawołała. To nie moja liga. Ja tak nie umiem. Oni nie szanują ani siebie, ani swojego dziecka, ani mnie.

Zgasiła papierosa, którego tylko trzymała w dłoni.

Tak jak i ja.

Patrzyła przez okno.

Miała profil zadumanej, zagubionej dziewczynki.

Janka.

Delikatna, szczuplutka Janka, która łagodnym głosem opowiadała o czymś, co przecież w jej życiu przypominało rozbijanie muru berlińskiego. Trudno mi było sobie ją wyobrazić, jak krzyczy. Ona nigdy nie podnosiła głosu. Mało też mówiła. Twierdziła, że boi się niezrozumienia albo posądzenia o pretensjonalność. Była taka delikatna i jednocześnie tak odważnie i jednoznacznie patrzyła na świat...

— Muszę być poważnie traktowana i mocno kochana, a nie tak byle jak. Wiesz, czego nie mogę w nim zrozumieć? Tego, że on nie docenia znaczenia słów. Złych słów. Że z taką łatwością je z siebie wyrzuca, nie zdając sobie sprawy, że one we mnie uderzają jak kije, że czuję, jakby ktoś mnie bił pasem, że zostawiają ślady na moim sercu, że zapadają w pamięć i zaczynają tworzyć mur, bo ja w nie wierzę. Odczuwam ich siłę. Są jak bolesne siniaki. Gdy próbowałam mu wczoraj spokojnie coś przekazać, gdy prosiłam, żeby ustalił konkretne spotkania ze swoim dzieckiem, bo nie może prowadzić podwójnego życia, przekonywałam, żeby to zrobił, by już nigdy nie było takiej soboty, usłyszałam: „Mam tego dość! O co ci chodzi?! Zastanów się nad naszym związkiem”. Włożył kurtkę i wybiegł. A ja myślałam: „Dobrze, za chwilę wyjdę, tylko wezmę swoje kosmetyki,

wrzucę do torby parę ubrań, na wierzchu położę zdjęcie, które mi zrobiono, gdy miałam cztery lata, i które Maks dostał od mojej mamy w dniu naszego ślubu”.

— Świetny pomysł — powiedziałam. — Bo podobno żeby kogoś zrozumieć, trzeba wciąż widzieć w nim to dziecko, którym był, gdy miał pięć lat. Przestraszone, zalęknione, a może spontanicznie szczęśliwe. Niepewne swego. Płaczące, bo znów rozbiło kolana.

— Może, ale chyba nie dla Maksa. On nawet nie zastanowił się, dlaczego to zdjęcie dostał. Nie domyślił się, że ma patrzeć na nie po to, żeby wciąż widzieć we mnie tamtą dziewczynkę, którą trzeba przytulać i nie pozwalać, żeby się przewracała. Nie zobaczył tego. Nie zdołał wyzwolić w sobie pragnienia opiekowania się mną, pielęgnowania we mnie tego, co warte ocalenia. Nic dostrzegł zalet, które dobrze byłoby we mnie chronić. Co on ze mną zrobił? Zdzielił mnie tymi złymi słowami, uderzył prosto w twarz, obraził gestem, poniżył wyjściem z domu i nieumiejętnością konkretnej rozmowy ze mną. Wrzeszczał i uciekał. Uważam, że jeśli jest problem, to trzeba usiąść spokojnie i go rozwiązać, zanalizować. A on — że trzeba się obrazić, nadąsać, krzyczeć. Ja tak nie umiem. Gubię się w krzyku, nie znoszę przemocy, obelg, chamstwa, nie umiem sobie z nimi radzić. Maks wydawał się podobny do mnie — wrażliwy, inteligentny, czuły. I nagle załatwił mnie wrzaskiem. Jak mógł mi to powiedzieć? I który wariant rozmowy z nim wybrać? Żartobliwy? Sarkastyczny? Dramatyczny? Co odpowiedzieć mężczyźnie, który odważył się coś takiego oznajmić? Powiedziałam tylko: „A ty się zastanów, dlaczego wszedłeś w związek, w którym ośmielasz się zadać takie pytanie kobiecie, którą kochasz”.

A gdy zobaczyłam, że on się jednak ubiera, pomyślałam: „żałosne”. Może chciałby, żebym go zatrzymała, złapała za rękę, ale ja nie chcę nikogo w żaden sposób przytrzymywać. Nie chcę, żeby ktoś zrywał się w pół słowa, zarzucał kurtkę i wybiegał. Nie chcę, żeby ktoś do mnie mówił: „Jak ci się nie podoba, to się rozwiedź”. Już jednego takiego mężczyznę miałam w swoim życiu: to był mój ojciec. On też nie rozumiał, że słowa coś znaczą, coś zapowiadają — albo katastrofę, albo łagodny wschód słońca. Jak Maks może tego nie pojmować? To jego wybieganie z domu zalega we mnie. Nie jestem do tego przyzwyczajona. Gdy już ojciec wybiegł na dobre z mojego życia, mama dbała, żeby każde słowo było wypowiedziane po coś, każdy gest czemuś służył. A przy Maksie mam déjà vu. Dostrzegam, że tak łatwo można powiedzieć: „To się rozwiedź!”, a zaraz potem: „Nie mogę bez ciebie żyć”. „Mam cię dość”, a po chwili „Nie odchodź, przecież nie umiem być sam”. A ja jestem nauczona, że trzeba rozmawiać konkretnie — że jeśli na przykład ktoś nie zakręcił tubki z pastą do zębów i proszę, żeby to zrobił, to proszę tylko o to, a nie uogólniam: „Bo ty jesteś beznadziejny!”. Tak nigdy nie oceniam. Ja mówię o jakimś szczególe, a on wyrzuca z siebie zdania, które są zdolne wywołać wojnę światową. Julka, nie mogę powstrzymać tej lawiny złych słów. Nie potrafi zrozumieć, że one mnie niszczą, że je pamiętam, że otaczają mnie z każdej strony, że mnie oddzielają od niego. Mam ochotę mu powiedzieć: „Ustal, kochanie, sam ze sobą, co ci się w tobie nie podoba, i pójdz do psychologa, bo masz problem”.

— Janka, podobno bycie z drugą osobą to kompromis i uczenie się jej, a nie stawianie jej zbyt poważnych zadań. Rozumienie, żeby uniknąć porażki — mądrzyłam się.

A skąd niby miałam to wiedzieć?

10.19

— Julka... To wszystko nie tak.

— Chyba nie chcesz od niego odejść? — przestraszyłam się.

Jedna mężatka w redakcyjnym zespole by się nam przydała.

— Dziś rano oznajmił, że nie pozwoli mi odejść, bo nikogo tak bardzo nie kocha jak mnie i nikogo tak nie potrzebuje. Powiedz, Julka, tylko dlaczego on mnie tak potrzebuje? Do czego mu jestem potrzebna? Żeby wysłać mnie do kąta? Żeby postawić mnie w tym swoim szeregu, za byłą żoną, dzieckiem i psem Platonem?

— Może on kolekcjonuje ludzi? Każdy ma jakieś hobby. Może on ma właśnie takie.

— Wiesz, co mi jeszcze rano powiedział? Maksymę powtarzaną przez filozofów od czasów Platona „Nie odejdiesz, póki nie wypadnie na ciebie, a kiedy wypadnie na ciebie — odejdz. I zrób to z klasą...”.

— Pięknie. Tylko w końcu o co mu chodzi — chce, żebyś odeszła, czy chce cię zatrzymać?

— No właśnie, Julka. Wiem, że on mnie kocha, czuję to, ale nie potrafię żyć w czyimś cieniu. On nie umie oddzielić przeszłości od terażniejszości. Nie rozumie, że tego nie da się połączyć. „Chcę, żeby wszystkim było dobrze” — powtarza. A przecież wszyscy to nikt. Powinien pragnąć, żeby nam było jak najlepiej. Szanuję, że on dba o to, co za nim, może wciąż uwielbia tamtą kobietę. Ale przecież nawet jeśli bardzo lubi się kawę i herbatę, nie można ich pić równocześnie z jednej filiżanki. Poradź mi, jak mam mu to wytłumaczyć?

Co miałam jej odpowiedzieć?

Że powinna była to zrobić, zanim założyła z nim rodzinę?

Że dopóki Maks nie rozstanie się z tym, co było — przyszłość będzie niemożliwa? Przecież ona to wiedziała.

Mogłam jeszcze dodać, że Janka nie może konkurować z jego alternatywnym życiem, że

zasługuje na wyłączność.

Ale przecież na to zasługiwał każdy.

10.45

— ...pies nam zdechł.

Usłyszałam rozmowę Gośki, czyli Kizi-Mizi, której nie sposób było nie słyszeć, bo odebrała swój telefon komórkowy dokładnie w chwili, gdy weszła z Elą do naszego pokoju.

— No i idę po dwóch, trzech godzinach, a pies dalej leży. Dałam mu pyralginę, nie chciał jeść, patrzę, a on ma lodowate łapy, wiesz, zawsze te opuszki są gorące, a tu jak lód — opowiadała dalej. — Taki był biedny, wiesz, jak on płakał, łzy mu leciały. Normalnie jak z lodówki łapy miał.

Słuchałam tego, robiło mi się coraz bardziej słabo i czekałam, kiedy wreszcie w tej historii pojawi się weterynarz. Zjawił się, ze strzykawką w ręce.

— Chciał troszkę krwi pobrać, popłynęło kilka kropel — i już nic. To tak jakby miał zanik żył, jakby krążenie ustawało czy coś. On bezwład łap miał, przecież wtedy pies już tylko leży? — mówiła dalej.

Zupełnie jakby zabawiała kogoś historyjką o obcinaniu paznokci.

W końcu dotarła do agonii psa, która odbyła się przy garażu.

— Tam go znalazłam. I myślę, że tam chciał właśnie zdechnąć — skończyła rzeczowo.

10.55

— Wiesz, Janka, ludzie to jednak nie mają serca — powiedziałam głośno.

— No nie mają — przyznała.

— A jak ktoś nie ma serca, to i nie ma rozumu — skwitowałam.

12.00

Chwila wytchnienia przysła w samo południe.

Już teraz wiedziałam, dlaczego o tej godzinie rozbrzmiewał hejnał z wieży mariackiej. Słuchałam go, gdy jako mała dziewczynka spędzałam wakacje z dziadkami na działce. To były miłe chwile, które kojarzyły mi się tylko z nimi.

12.25

Janka z Dorotą poszły na konferencję, coś na temat mody. Aśka była coraz bardziej zła, o co jej chodziło? Na szczęście ona też wreszcie wyszła, Baśka zabrała ją na inną konferencję. A Marta pisała i pisała, przekładała te swoje papierki.

— Marta, zauważyłaś, że w amerykańskich filmach często

sceny rozgrywają się na cmentarzu i jest wtedy taka ładna, słoneczna pogoda? — spytałam.

— Czy chcesz przez to coś powiedzieć, Julka?

— Nie, tylko mi się przypomniało, że oglądałam film, w którym na cmentarzu zebrała się drużyna baseballowa, bo jeden z zawodników zginął, i śpiewali mu: „Nananana, nananana, heeej, goodbye, nananana...”. A słońce świeciło. Tyle.

12.40

Choć to był dopiero początek dnia, już miałam dosyć.

Fascynował mnie poziom ignorancji Eli, choć nie zachwycał.

Mogłabym przytoczyć kilka przykładów, ale zrobiłabym to bez przekonania.

Staralam się ją zrozumieć, ale im bardziej się w to angażowałam, tym bardziej słyszałam jej krzykliwy głos, a umykało mi znaczenie słów. Dużo od siebie wymagałam, ale nie aż tyle, żeby się zgodzić z kimś, z kim zupełnie się nie mogłam zgodzić.

— Elu, pozwól, że teraz ja coś powiem — przerwałam jej. — Przypomniałam sobie pewne badanie doktor Catherine Steinem-Adair, które przeprowadziła w szkole podstawowej, gimnazjum i liceum. Gdy pytała dziewczynki, z czym ma być ich pizza, dziesięciolatki odpowiadały: „z dodatkowym sosem pepperoni”, trzynastolatki: „nie wiem”, a piętnastolatki: „z czymkolwiek”. Ja mam prawie dwadzieścia sześć lat i wiesz, co teraz myślę? Jest mi naprawdę obojętne, o co tym razem ci chodzi.

Nie chciało mi się już słuchać jej uwag, nie zamierzałam rozumieć, czego pragnie się dowiedzieć z tekstu o pocałunku.

Bo nawet gdybym podawała dokładne receptury, nie uzdrowiłabym seksualnie całego świata.

Tak naprawdę mało interesowały mnie teraz pocałunki i orgazmy...

Chyba, że chodziłoby o moje.

12.45

— Marta, zjadłabyś czekoladę z migdałami? Taki mały kawałeczek?

— Już zjadłam, nie przeszkadzaj mi.

— Poczekaj. Jeszcze tylko jedno zdanko... i już uciekam, bo pomyślałam, że skoro tu jestem, to powiem ci, o ile oczywiście nie przynudzam, że wcale mnie nie obchodzi, co kryje się w niestałości, w poszukiwaniu czegoś, co być może nie istnieje, bo tkwi w destrukcji i krąży między demonami. No i tyle, nie chce mi się gonić za tym, co oczywiste. Powiem ci, że mam coraz mniej wspólnego z tym, co się dzieje obok. O ile może być minusowa wspólnota. Olewam to. No to jeszcze dodam, że po pierwsze, po drugie i po trzecie to tu będziesz szczęśliwa, maleńka. No i co?

— Jak to co?

— No nic. Chciałam cię tylko skonfrontować z takim zdaniem.

— Możesz mi już przestać przeszkadzać? Arto Lindsay to ty nie jesteś, nie mogę cię stale

słuchać.

12.55

— Wiesz co, lubię dźwięk rozbijanych talerzy. To lecę — wyłączyłam komputer.

— Szkoda, że musisz iść.

— Nie zapraszaj mnie tu więcej.

— Ale wróć!

— Wróć. I pamiętaj, Marteczko: nie zapominaj o tym. czego naprawdę chcesz.

12.59

Przypomniało mi się zdanie przytoczone przez Jankę podczas naszej rozmowy.

To, które powiedział do niej Maks.

Dzisiaj i ja postanowiłam używać maksymy, którą powtarzał każdy szanujący się filozof od Platona do Johna Deweya: „Nic odejdiesz, póki nic wypadnie na ciebie, a kiedy wypadnie na ciebie — odejść. I zrób to z klasą...”.

Wysłałam na lunch, na spotkania, na cały dzień...

13.11

— Tu John — usłyszałam w słuchawce. — Wracam właśnie do Warszawy. Czy jak dojadę po siedemnastej, to nie będzie za późno na spotkanie? Nie chciałbym dziś znów zawieść, będę się spieszył.

Ależ on miły i przewidujący. A może tak tylko się stara? Pewnie już widzi mnie oczami wyobraźni czekającą na niego przy stoliku w dymie papierosowym i usychającą z tęsknoty. A przecież słyszałam, że to gbur i prostak. Zaczynałam być pod urokiem kogoś, kogo nie widziałam na oczy, między nami mówiąc, wciąż nie bardzo nawet wiedziałam, kim on jest — aktorem, bo wystąpił w kilku filmach, także w produkcji niemieckiej, piosenkarzem — właśnie wydał płytę, na której całkiem nieźle śpiewa, prezenterem — zdaje się, że prowadził kilka programów.

A czy to ważne?

Był facetem, który do mnie dzwonił.

— Jedź ostrożnie, będę czekać, mam wprawę... — powiedziałam.

Ależ byłam miła!

Naprawdę potrafiłam taka być!

Zaczynałam mieć wrażenie, że moje zawodowe spotkanie przeistacza się w randkę.

W randkę w ciemno.

13.45

Kwadransik do kolejnego zebrania. Jak najlepiej zaplanować, by zdążyć ze wszystkim w czternaście minut i pięćdziesiąt pięć sekund. Najpierw... albo nie, to na końcu, pęcherz wtedy więcej wytrzyma. Zacznę od herbaty, potem papieros. Nie, nie, zła kolejność, nie zdążę. Kawa + papieros, a potem WC... Woda, gdyby zaschło mi w gardle, i koniecznie papieros, ten z rodziny najcieńszych penisów świata. Ale nie mentolowy, to niemożliwe, dobre dla ludzi tuż po ciąży.

Taki penis to symbol prestiżu, gazety, no i Nowego Jorku, o którym każda z nas marzyła, ale jej nie stać...

Gdyby one wiedziały, że zrezygnowałam z wyjazdu do Kalifornii...

14.16

Elka chyba już zapomniała o naradzie, bo zamknęła się w gabinecie na amen.

— Kaśka! — krzyknęłam do słuchawki. — Jaki ślepy okulista? Do tego nieprzystojny! Ty jesteś za ładna, za mądra, żeby spotykać się z kimś takim.

— Ale ja już nie chcę przystojniaczków. Mam ich dość. Postanowiłam sobie, że będę zwracać uwagę tylko na tych mniej atrakcyjnych, ale, kurczę, oni też są dziwni. A jak ten roześmiany John? — zadrwiła.

— A, nie ma o czym mówić, uśmiech jak uśmiech. A poza tym on nawet nie jest takim gburem, jak wszyscy twierdzą.

Pewnie ma w tym jakiś cci śmiała się. Tylko się nie daj. Od takich z daleka. Tacy jak on też mnie już nie kręcą.

A więc byliśmy już dwie na tej ziemi, które na widok Johna nie dostawały orgazmu. No i może Marta, bo nawet na sekundę nie oderwała się od monitora komputera, by dorzucić swoje trzy grosze. Pewnie więc ich nie miała.

— A po co ty szukasz tak na gwałt faceta? — spytałam.

— No właśnie po to. Ale jak widzisz, spotykam samych dziwnych.

— Nie, Kasiu, takich wybierasz.

— No tak. Zakompleksiony facet to koszmar, bo cały czas będzie sobie udowadniał, że jest super i może wszystko. Mniej atrakcyjny, ale inteligentny, ma straszne wymagania, którym sam nie umie sprostać. I tak to już z nimi jest. Ten twój John pewnie też taki jest.

— On nie jest mój.

— Oj, Julka, nie bądź drobiazgowa. Lecę do solarium, bo w przyszłym tygodniu wybieram się do Krakowa. To pa, ty też coś ze sobą zrób.

Kurczę, chyba naprawdę powinnam. Wyjęłam z szuflady lusterko. Mogłam w nim dostrzec tylko jedno oko. Na dodatek jeszcze to gorzej pomalowane.

14.28

— Hej — usłyszałam.

Nie mogłam dostroić wizji do dźwięku. W drzwiach stała kobieta z postrzępionymi loczkami w kolorze black, w butach z klamerką wielką i symboliczną jak sztandar, czyli w takich, jakie nosiła nasza Baśka. Na jej głowie pyszniło się fryzjerskie połączenie afro i stylu wczesnych rockmanów. No cóż. Basia na co dzień wyglądała dziwnie, ale teraz... przypominała pudła na wystawie nieszczęśliwych psów. Baśka, Basia, Basieńka... była bystra, ale brakowało jej polotu, by dokonywać w życiu dobrych wyborów. Te kiepskie stały się jej specjalnością, do której już przywykłam. Ale zdaje się, że teraz postanowiła zmienić specjalność i zaczęła dokonywać

koszmarnie kiepskich wyborów.

— Co się stało z twoimi włosami? — przestraszyła się Marta.

— Ściąłam je.

Wdzięcznie potrząsnęła głową, jednak żaden włos nie zmienił pozycji. Podeszła do mojego biurka, sięgnęła po lusterko tak małe, że pozwalało dostrzec tylko jedno oko, i udawała, że zdołała w nim obejrzeć całą głowę.

— Po co je ściąłaś? Żeby przerobić włosy na wełnę i wydziergać sweter? Nie słyszałaś, że czeka nas łagodna zima? — żartowała Janka.

— Żle wyglądam? — zdziwiła się Baśka.

Jak by to zgrabnie ująć... — zastanawiałam się „w poszukiwaniu formy bardziej pojemnej”, zgodnie z zaleceniem poety. No cóż, wyglądała niczym osoba podejrzanej kondyty, która napadła z puszką piwa w ręce na najgorszego fryzjera w mieście. Przecież w tej redakcji, w Warszawie, w życiu najbardziej liczył się image, look, twarz, wygląd! Jak mogła o tym zapomnieć? Jakim cudem zdołała go zgubić w drodze do redakcji?

— Kto ci to zrobił? — spytałam z troską.

I ciekawe za ile. Kobiety to jednak fascynująco hojne istoty. Są wdzięczne każdemu, kto ich dotknie. Nawet nożyczkami.

— Najbardziej znany stylistka fryzur Jędrzej nadał moim włosom nowoczesną linię uśmiechnęła się do mnie porozumiewawczo, jakby imię maniaka z nożycami miało dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Moja wiedza na temat sztuki fryzjerstwa ograniczała się przecież tylko do tego, że widziałam film z Johnnym Deppem w roli nożycorękiego.

— To dlaczego wyglądasz jak ciotka porucznika Klossa w peruce? A przecież miałaś taką fajną burzę włosów, w których mogłaś ukryć śmigło, wypchany portfel i jeszcze brylant wielkości truskawki. A teraz... — dodała Janka.

— ...wyglądasz jak mój wujek Stefan z Teksasu, tylko on ma wyższe zakola. Baśka, emigrujesz za ocean? A może — przyznaj się! — zrobiłaś to, żeby przechytrzyć przeciwników z konkurencyjnych redakcji...? — spytała Dorota. — Albo podniecać, bo gdy widzę te czarne loczki na czole, to myślę, że za chwilę zaczniesz striptiz.

— Zrobisz karierę polityczną, bo nie wzbudzasz zaufania — uznałam.

— Raczej współczucie. Wyglądasz, jakby ktoś wycierał tobą kurze, przed użyciem przewracając cię do góry nogami. Albo jakbyś została porażona prądem podczas suszenia włosów. Dobrze, że przeżyłaś — zachichrała Janka.

— Zmiana wizerunku to pokazanie, że przeszło się jakiś rozwój — próbowała się bronić Baśka.

— W życiu każdej kobiety przychodzi czas na kolejny początek, ale nie trzeba go witać z loczkami na głowie — powątpiewałam.

— To co mam zrobić? — spytała.

— Postaraj się być szczęśliwa — pocieszyłam ją.

— Idź się przespać, we śnie szybciej rosną włosy — leciała dalej Janka. — Albo zgól głowę. Łysi bywają piękni.

— Nie martw się, odrosną — próbowałam ją pocieszyć.

— Na pewno wygrasz nagrodę pocieszenia w postaci męża lekarza. Tak, kochana Basiu, mąż poopowiada ci przy kolacji o przedziurawionym jelicie, a więc nie będziesz musiała się odchudzać, bo będziesz miała stale odruch wymiotny. Problem z utrzymaniem figury przestanie istnieć. Najwyżej z utrzymaniem włosów... Ale po co je trzymać na siłę... Tylko nie zapraszaj nas na te kolacje. Chyba że przyjdą jego kumple z ortopedii. Z gipsem w kieszeniach spodni... —

dorzuciła Janka.

Zrobiło mi się Basi żal. Każdemu się zdarza taka wpadka.

— Ale nie... wiesz, nawet ładnie wyglądasz — próbowałam ratować strzępy jej włosów z aspiracją do fryzury.

— Nie przesadzaj, Julka. Przecież liczą się tylko długie włosy, bo to symbol luzu, fantazji, olewactwa, wolności, niezależności, szaleństwa, odwyku, nałogów, miłości, swobody, więc jeśli kochasz swoje włosy, puść je wolno, wyzwól je, uwolnij, a nie obcinaj! Czy ty nie czytałaś naszej luksusowej gazetki? — dodała Marta.

Zanim zdążyłam jęknąć: „Dziewczyny, ile można mówić o czymś tak znikomym i cienkim jak włos?”, usłyszałam.

— Julka, a kiedy ty wreszcie coś zrobisz z włosami?

15.02

Surowa ryba i świeży imbir to dobre połączenie na ten dzień. Zadzwoiłam do Kaśki i już po pięciu minutach byłyśmy umówione w restauracji wśród galerii sklepów. Ona czuła się tam jak w domu, a może i lepiej. Znała większość sprzedawców, oczywiście tych z sekcji sportowej i kilku z elektroniki... I prawdę mówiąc, była tam codziennie.

15.35

Ona zawsze mogła wyjść z pracy.

Robiła to nawet wtedy, gdy nie mogła...

Jeśli ktoś wyobrazi sobie szczupłą dziewczynę z ciemnymi włosami upiętymi w elegancki kok, w jasnym kostiumie z wąską spódnicą i w pantoflach na wysokich obcasach, to nie musi pytać, która to Kasia. Mogła służyć za żywy dowód na to, że jednak pozory mylą. Wyglądała niedostęпно. A pozwalała się do siebie zbliżać tylu niepotrzebnym mężczyznom.

Tym, co może kiedyś... tym, co jednak... tym, co pewnie, ale...

— Ładnie wyglądasz, a ja już się bałam, że tak się zaprzyjaźniłaś z naturą, że nosisz spódnice na gumkę, włosy suszysz na wietrze i brwi malujesz węglem. A tu proszę! Opowiadaj, jak było — zaczęłam.

Widziałam, jak się kręci, jak nie może wysiedzieć w miejscu, jak bardzo chce już coś mówić.

— On nie jest w moim typie! — krzyknęła.

— Kto? Ten okulista? Nie nadałam za nią.

— No jak to? Nie mówiłam ci?

Wydęła oczy, usta i biust w oczekiwaniu na moją reakcję, bo jak się okazało, Kaśka nie traciła czasu wśród natury. Wzięła laptopa, i to wcale nie po to, by napisać (jak mówiła) kilka ważnych raportów do firmy. Nie próżnowała. Godzinami wpatrywała się w widniejące tam zdjęcia facetów na stronach randek i zaczytywała po kolei ich listy. Wróciła z łona natury i zrzuciła niewygodne trampki — „Są takie płaskie, jak platfusy”. Wbiła się więc w szpilki i pobiegnęła na randkę w ciemno w poszukiwaniu swojego księcia

— No więc spotkałam się z nim na lunchu. Okazał się nawet miły, ale ma wystające zęby i jest z koła poselskiego.

— Widziałaś się z chomikiem!!! — zaniepokoiłam się. — I to jeszcze ze zrzeszonym!

— Julka, gdybyś widziała, jak on wyglądał. Dobrze, że miałam ciemne okulary. Był jak mój dziadek. Mówił, że ma trzydzieści pięć, a wyglądał na ponad sto!

— Daj spokój. Stary uśmiechający się polityczny chomik. Nie martw się, gdyby ci się spodobał, musiałabyś jeść dużo sałaty, a przecież jej nie lubisz. Następny będzie lepszy — próbowałam ją pocieszyć.

— Był jeszcze gorszy — sapnęła nagle.

Kiedy ona się z nimi spotykała? Kiedy miała czas? Zajmowała jedno z wyższych stanowisk w amerykańskiej firmie reklamowej. Siedziała w pracy od świtu do nocy, w weekendy, święta, niedziele, tylko cudem udało jej się wyrwać na kilka dni na wieś, do wąsatej ciotki.

Podobno miała odpoczywać na łonie natury! Zamówiła śliwkowe wino, dodając:

— Bez niego czuję, jakby ryby były jeszcze bardziej surowe.

Uwielbiałam ją.

Jaki facet doceni tę błyskotliwość?

Przewrotność.

Inteligencję.

— No więc w poniedziałek, wtedy kiedy nie spałam całą noc, napisałam do niego — zaczęła.

— Miał knick, zaraz, zaraz... Zaraz sobie przypomnę! „Nudziarz”! Wybrałam go, bo pomyślałam, że to takie przewrotne. Spytałam, co sprawiło, że wybrał Szwajcarię, bo tam mieszka od lat. A on odpisał: „Chęć przygody, poznania innego kraju, nagła potrzeba zmiany, fascynacja krajem, który znałem tylko z pozycji gościa/turysty...”. A gdy doczytałam ostatni powód, zobaczyłam, że to jeszcze nie koniec. Spytał mnie, wiesz o co?

— No? — nachyliłam się.

— Spytał mnie, skąd takie pytanie! No i odpisałam, jak ta Jola z gimnazjum z pierwszej A, że to chyba fajnie, że ktoś próbuje go poznać. I czułam, jak wraz z kolejnym słowem dławię się nim.

— I co ci odpisał?

— Nic. Julka, ludzie dziwią się najbardziej, kiedy rozmawia się o normalnych sprawach — powiedziała poważnie.

— Wariatka — zaczęłam się śmiać.

— Czemu wariatka? Sama przyznaj, faceci są prymitywni. A ten Michał, z którym idę za miesiąc na wesele, to też jakiś „inny”. Odezwał się dziś, zaraz po tym, jak... A, bo jak byłam u wąsatej ciotki, a — już nie ma wása — zgoiliłam jej, mówiłam ci?

— Nie, a to najważniejsza wiadomość dnia! — zaśmiałam się.

— Trochę mi się tam nudziło, więc napisałam mu, że las pięknie pachnie, noc taka ciepła i że ostatnio mam bzika na punkcie natury. A wiesz, co on odpowiedział? „A ja na punkcie naturyzmu...!”. Rozumiesz? Po powrocie zgodnie z twoim zaleceniem wzięłam swój numer mieszkania w kółko, a właściwie w jajo, no i pomyślałam, że może wreszcie coś zacznie się kręcić, dlatego też polazłam dziś na to spotkanie. Ale już w nic nie wierzę — gadała jak nakręcona. — Zaczynam mieć alergię na te pary trzymające się za rączkę. A ty, Julka? O której będziesz u mnie? Pamiętasz, że miałaś dziś wieczorem do mnie wpaść? Obiecałaś.

Nie pamiętałam...

— Na mnie czekasz? — usłyszałam.

Czy nas sobie przedstawiono, że zwracał się do mnie perty?

Zamknęłam książkę i wpatrzyłam się w niego szeroko otwartymi oczami, jakby miał dar hipnotyzowania. Gwiazda była cała w czerni. Zamszowa marynarka, czarne dżinsy, ciemne okulary, czarny pas z taką samą sprzączką, chyba kupiony ze trzy lata temu na wyprzedaży na amerykańskiej prowincji, gdzie każdy śpiewa kowbojskie piosenki, ponury zarost wystający spod supertrendy T-shirtu, za który musiał zapłacić fortunę. Ciekawe, czy gdy się ubierał, przyświecała mu wiara, że czerń uwodzi, wyszczupla czy może przeraża. I czy bieliznę też miał w kolorze black.

Wytrwałam w bezruchu kilka sekund.

— Jeśli to ty jesteś Johnem... — podniosłam się.

I tak oto stanęłam oko w oko z najprzystojniejszym gościem w okolicy. Los wyraźnie stracił przy Johnie orientację, bo dał mu zdecydowanie więcej ładnych rzeczy niż innym, zwłaszcza ten nos...

Odniosłam nagle wrażenie, że mój nosek, to znaczy nos, nienaturalnie się powiększył i rzucał złowieszczy cień na zęby. Czułam się zdecydowanie za gruba, miałam za mały biust, że też właśnie w tej chwili musiał mi zmaleć, i do tego te moje za krótkie paznokcie! Myślałam tylko o swojej niedoskonałości, byłam nawet pewna, że gwałtownie rosły mi uszy i pokrywały się włoskami, czego nie przewidziałam i niefrasobliwie uczesałam się w kucyk, jak Ola z II A. Czułam ułomność w dwustu procentach, ginęłam wśród swoich wad. Na dodatek przypominałam sobie, że na biurku zostawiłam książkę o wymownym tytule *Przetrwają najpiękniejsi*, w której zdążyłam tylko wyczytać, że kobiety strasznie się przejmują wyglądem, zaniżają ocenę swojej urody, a faceci mają więcej wiary we własną wyjątkowość i lepiej na takim myśleniu wychodzą. Tego akurat nie musiałam czytać, bo wszystkiego doświadczałam na własnej skórze.

John piękniał na moich oczach, szlachetniał, rzekłabym, że pyszniał.

I kto wymyślił, że mężczyźni to „brzydsza płec”?

Z ciężkim westchnieniem skonstatowałam, że moja codzienność zdecydowanie temu zaprzeczyła. John wydawał się zjawiskowy. Można by nawet zaryzykować opinię, że był wręcz kunsztowny, bo czy ktoś tego chciał czy nie — czuł się zmuszony go podziwiać. Wszyscy w restauracji jak na komendę wpatrzyli się w Johna, a on potraktował to z całkowitym zrozumieniem. Miałam wrażenie, że wymienił się rolami — to on stał się obiektem totalnej adoracji, a ja kimś, komu za chwilę wyrosną sumiaste wąsy i gęsta broda, którą będzie można bezkarnie tarmosić.

John z powodzeniem mógł być eksponowany w muzeum wśród nie mniej ładnych cacek wymagających szczególnego kultu.

Był naturalnie malowniczy.

Po raz pierwszy przyszło mi do głowy zdanie: „Jaki to jest piękny facet...”.

Nie podjęłabym się jednak polemiki, czy dlatego John tak mnie zachwycił, że brakowało mi obycia, czy też raczej wyobraźni na temat mężczyzn.

Pewnie ani jednego, ani drugiego.

Po prostu wydawało mi się, że słowo „piękny” nie pasowało do mężczyzny. Myślałam, że uroda facetów to był umysł, inteligencja, charyzma, żeby nie powiedzieć — władza. A nie tylko piękne oczy.

Tak sądziłam do dnia, gdy spotkałam Johna.

Wyglądał jak ktoś, kto nigdy nie zaznał rozterki przed lustrem.

Kto nigdy nie doznał pragnienia, by coś w sobie zmienić.

Aż dziwne, że jego samego nie peszyła własna uroda.
Po jego minie było widać, że uważał się za ideał.
I co gorsza — miał rację.
O ile oczywiście nie zgadzał się z tezą, że brak pragnień jest nie mniejszą wadą niż brak zęba siekacza.

17.12

John upajał się sobą. Przesunął palcami po wystylizowanej czuprynie. Podał mi rękę na powitanie, patrząc gdzieś w bok, a ja lekkomyślnie uściśnęłam ją mocno. I z trudem powstrzymałam się, żeby nie wytrzeć jej w zieloną serwetkę z materiału, stojącą na najbliższym stoliku, bo moja dłoń stała się lepka od żelu do włosów. Nie, żeby miał coś przeciwko jego fryzurze i dbałości o formę, ale mógł mi okazać odrobinę litości i przed naszym spotkaniem nie wylewać na siebie całego opakowania jakiegoś gęstego paskudztwa. Odniosłam mało kuszące wrażenie, że za chwilę ręka mi zeszczywnieje i będzie sterzczyć stylowo jak włosy Johna.

— Przepraszam, że czekałaś, ale nie miałem gdzie zaparkować — zaczął.

A więc był to jeden z tych mężczyzn, których poznaje się po tym, jak zaczynają, a nie jak kończą — bo już w połowie się ich zostawia.

Miłośnik życia doczesnego.

Maniak nienasycenia.

Niska tolerancja na blachę szybkich aut.

Wysoki poziom potrzeby doznawania doraźnych rozkoszy.

O co powinnam teraz spytać — jaki jego auto ma kolor?

Kto ostatnio siedział na masce?

Czy jej stringi pasowały do koloru karoserii?

— Pod zakazem parkowania było dużo miejsca — po wiedziałam radośnie, choć wcale nie żartowałam, bo właśnie tam zostawiłam swoje auto.

Uśmiechnął się. Ja też się roześmiałam perliście „cha, cha!”, jakbym była na manifestacji radosnych dziewcząt. Nieudolnie symulowałam entuzjazm.

17.16

Zawsze gdy przeprowadzałam z kimś wywiad, towarzyszyły mi wątpliwości — czy powinnam od razu zabłysnąć inteligencją, czy dawkować swoją kreatywność.

Przy Johnie postanowiłam nie zwlekać.

Coś mi podpowiadało, że nie damy sobie zbyt wiele czasu na rozwinięcie skrzydeł.

John pomachał dwa razy głową na boki, jakby kogoś rozpaczliwie szukał albo wypatrywał drzwi z napisem „Wyjście ewakuacyjne”. Znalazł je na swój sposób, bo po chwili powiedział głośno i niedbale:

— Mam tylko trzydzieści minut. Więc jeśli chcesz o coś

pytać, to śmiało.

Powinien jeszcze dodać „hej!”. Powiedział to tak, jakby oczekiwał, że po tym zdaniu padnę mu do kolan z prośbą, żeby podarował mi jeszcze choćby dodatkowe pięć minut. Przecenił swój wdzięk. Próbowalam wzniecić w sobie sympatię do niego, chciałam się nim zainteresować, naprawdę. Ale mi się to nie udawało. Był piękny jak książę z bajki przebrany w grunge'owe ciuchy, a ja nie lubiłam książąt w godzinach pracy. Wolałam porozmawiać z jakimś Shrekiem — brzydalem z duszą — albo z krasnałem wielkości siedzącego psa, który miał dużo do powiedzenia. Wtedy to mógłby być ciekawy wywiad. A spotkanie z tym pięknišem przypominało schadzkę w ciemno, która miała za chwilę przeistoczyć się w totalną wpadkę.

— Mam tylko siedem minut — uśmiechnęłam się. — Ale jak powiadają faceci, baba z wozu, koniom lżej.

— Ale jesteś zabawna, cha, cha.

— A miałam nie być?

— Cha, cha.

Jego „cha, cha” trwało prawie dziewięć sekund. Nasączenie kawy kostką cukru — cztery i pół sekundy. Ale 'na znalezienie właśnie takiej kostki asystent Kieślowskiego poświęcił pół dnia. Inne nasączały się dłużej, a uznano, że widz filmu nie skupi uwagi na tym zjawisku nawet o sekundę więcej. Ciekawe więc, na ile „chachów” John obliczył moją wytrwałość.

Staralam się uszanować jego skłonność do samoprezentacji, do odgrywania przede mną ról, które sobie wcześniej zaplanował, bo przecież nie ma nic gorszego niż brak widowni. A więc wpatrywałam się w niego i myślałam — wszystko ma swój czas, droga Julio. Teraz był czas na słuchanie. Na wywiad-wpadkę. Na to, by John wypełnił lukę w moim zawodowym życiu zdaniami w rodzaju: „nie można być szczęśliwym, gdy się kogoś krzywdzi” (to o rozstaniu), „byliśmy dla siebie stworzeni” (to o żonie), „ja i ona przypominaliśmy połówki tego samego jabłka” (to chyba o nim i o żonie w sadzie), „ale los nas poróżnił” (to o teorii spiskowej dziejów), „nie można się rozwieść z kobietą, z którą ma się ślub kościelny” (jak teflon z patelnią, a więc coś z działu: kuchnia). Czyli ta ekszona pozostawała niezmiennie aktualna, a więc była żona męża Janki też wciąż była w jej życiu, choć przecież była już dawno była...?!

Mówił, jakby deklamował, że „naj-lep-szy wi-dok ma się z okna własnego a-par-ta-men-tu”. Gestykulował przy tym nerwowo, głośno śmiał się sam do siebie, dotykał swoich dłoni, oglądał z uwagą paznokcie i bawił się dużym sygnetem na serdecznym palcu lewej ręki, a ja milczałam. John chyba wyczuwał moją niechęć do podtrzymywania tego typu rozmowy, bo w końcu sam sobie zadał pytanie, a brzmiało

ono tak: „Dlaczego tak często jestem tematem plotek? Może po prostu ludzie zazdroszczą mi, że jeżdżę fajnym samochodem, nie boję się nosić ubrań...” — aż ugięłam się pod ich marką.

17.38

Duchowo wspierałam go w każdym słowie, wiedziałam, że życie potrzebuje takich facetów jak on. A jednak poczułam, że słuchać go i powstrzymać się od śmiechu to zbyt ambitne jak dla mnie zadanie, wyzwanie ponad moje siły. Tę za wysoko postawioną dla mnie poprzeczkę mogłam tylko obejść bokiem.

Zdaje się, że tak mówi Jennifer Lopez, tylko ona dodaje: „Nie boję się nosić futer i drogiej biżuterii!” — nie wytrzymałam. — Nie sądzisz, że na wygłaszanie takich prawd masz za mały biust?

John nachylił się w moją stronę.

No cóż, moglibyśmy bardziej przypaść sobie do gustu.

Patrzył na mnie z niechęcią, chyba nawet był wściekły, ale oczy miał tak błękitne i klarowne jak lekko sfalowana woda u brzegu Malediwów w lipcowy poranek na chwilę przed śniadaniem.

Kobietom to się podoba...

Nie wiem czemu, ale kryła się w tym spojrzeniu jakaś nadzieja. Pomyślałam nawet, że ten facet był jak świeżo zagruntowany blejtram, na którym może jeszcze uda się namalować przepiękny widok ze spokojnym morzem, w którym pływają szczęśliwe ryby.

— A co chciałabyś usłyszeć? — spytał cicho i wolno, ale nie zatrzymał się, żeby dać mi czas odpowiedzieć.

— No co? — nie zmieniał tonu. — Że miałem odsiadkę za gwałt na staruszce, że urwało mi nogę, która potem odrosła, że nocami zamieniam się w kobietę i kupuję na aukcji staniki Sophii Loren, tak?

Jego spokój mnie oczarował.

No i poczucie humoru.

I to brawurowe przyspieszenie tempa akcji.

Nudy nie będzie, tego już byłam pewna.

— A kupujesz? — spytałam, jakbym zapomniała, że dziennikarstwo to hobby dla kulturalnych, cierpliwych ludzi, którzy nikomu nie przerwą, nie ziewną, nie zasną, a przede wszystkim nikogo nie obrażą.

Rozmowa z nim zaczynała przypominać krainę pełną pułapek.

Podjęłam zdecydowaną próbę, żeby się z niej wycofać.

— Przepraszam — uśmiechnęłam się niewinnie. — Nie powinnam, wybac, że byłam niemiła.

— Ja też cię przepraszam.

— Nie chciałam sprawić ci przykrości. Wybacysz mi? — zaszczebiotałam jak ptaszyna.

Czemu nie mogłam od razu być miła, szczerze zachwycić się jego urodą, tym melancholijnym, delikatnym spojrzeniem, w którym próbował nie utracić godności.

Po kim on miał tak spokojne oczy, pastelowe, w szlachetnej oprawie.

I kto to mówił, że jego brwi przypominają wąsy Stalina...

17.59

Siedział przede mną w lekko rozchełstanej koszuli, spod której wystawała jego męska chluba w postaci garści miętych włosów, a ja czułam, jak ich widok wzmagając we mnie poczucie nieubłaganej nadchodzącej klęski.

Moja kariera wisiała na włosku z piersi Johna, bo przecież to jego tors był najistotniejszy z całej rozmowy.

A ja nie pozwoliłam mu dojść do głosu!

Pora to zmienić — nabrałam zapału do walki.

Wolno wyprostowałam się, lekko wysunęłam biust do przodu, czyli zrobiłam minimalny wysiłek, by uzyskać maksymalny efekt.

Przecież musiałam wykonać zadanie służbowe!

18.02

Zgodnie z zasadą, że dobry scenariusz czyni cuda, zmieniłam koncepcję rozmowy. Po ostrym zakręcie trzeba ustabilizować prędkość, wprowadzić harmonię, uspokoić tętno, przywołać chwilę wyciszenia. Więc złagodniałam. Uśmiechnęłam się przyjaźnie i niezdarnie potrąciłam filiżankę.

Poczułam się jak krucha kobieta, która niepewnie stąpa przez życie.

Może nawet nią byłam.

18.05

— Często bywasz wkurzony? — spytałam.

— Skąd wiesz? — zdziwił się.

— Od twoich wielbicielek — wymyśliłam.

W końcu byliśmy profesjonalistami, każdy wiedział, co ma robić. Ja kłamałam.

— Dużo ich masz? — spytałam jako dociekliwa dziennikarka.

— Pewnie tyle, ile wymaga moja kariera.

— Nie chciałabym siać w tobie wątplenia i zniszczyć ci tej kariery przed jej rozpoczęciem, ale wydaje mi się, że sława nie roznosi się w taki sam sposób jak choroby weneryczne... — w porę ugryzłam się w język.

Moja mama miała jednak rację, powtarzając, że w rozmowie najbardziej przeszkadzały mi słowa.

— Chyba trudno ci wypaść z serialowej roli, Johnie. Kogo grasz w tej chwili? — uśmiechnęłam się miło.

— Jestem sobą. Teraz widzisz moją prawdziwą twarz. Poza filmem nie wypowiadam kwestii, tylko własne zdania. Gdy schodzę z planu, zmywam z siebie wszystko jak maskę. Aktorstwo jest możliwością opowiadania o cudzych namiętnościach, ale za jego pośrednictwem udaje się przekazać swoje przeżycia.

Powiedział to wolno i z powagą, jakby sprawa dotyczyła wybitnej szekspirowskiej kreacji o samotności, żądzach, nienasyceń. A przecież on grał tylko okulistę w serialu, tyle że przystojnego. Mógł po prostu powiedzieć: „Co to za rola, o czym tu gadać”, co byłoby zdecydowanie bardziej taktowne. Mógł też dodać: „Wiesz, lubię być podziwiany”, co zgadzałoby się z prawdą. Ale tego nie usłyszałam, bo on tak nie pomyślał.

18.22

— Czeką cię wspaniała przyszłość — powiedziałam.

No tak, musiałam to zrobić, bo wielkoduszność to moja

pasja. Potrafiłam być beznadziejnie miłą, umiałam dostrzec

w każdym coś wartościowego. Przy mnie kobiety piękniały, mężczyźni stawali się wyżsi co najmniej o dziesięć centymetrów, a kiepscy malarze odkrywali, że drzemie w nich talent na miarę Rafaela. Umiałam pozwalać ludziom rozwijać skrzydła i zmuszać ich do spełniania marzeń.

John nie wydawał się onieśmielony moją wspaniałomyślną przepowiednią, tylko uśmiechnął się jak chłopiec, który dostał wymarzony podarek na kilka dni przed choinką. Była to kolejką elektryczną z aż trzema semaforami.

— Jesteś tego pewna? — spytał.

Niczego nie byłam pewna. Pewne było dla mnie tylko to, że brakowało mi na benzynę, ale za to miałam talent. Talent do nierozpoznawania ludzi. John wydawał mi się podejrzanym facetem z przyklejonymi wielkimi zębami, który po godzinach pracy dorabiał jako specjalista od sztucznej inteligencji.

— Chcesz być twardzielem polskiego kina? — dociekałam z nienaturalnym zainteresowaniem.

— Chciałbym zagrać jakiegoś drania.

— Chyba nie chcesz być takim typkiem plującym przez zęby, biegającym ze spluwą i rzucającym na boki słowa na „k...”. Nie pasuje to do ciebie, tak jak nie dla ciebie jasne buty, zabójstwo i czarna limuzyna.

— Mylisz się, do mnie pasują wyłącznie czarne limuzyny — powiedział.

— Nie wiem, czy przyznasz mi rację — zignorowałam ten motoryzacyjny wątek — ale to, co naprawdę przeraża na ekranie, to nie lejąca się strumieniami krew, bo ona zawsze jest ciepła i czerwona, tylko spocona koszula. Wiesz, facet zabił kilku drabów, obrabował największy bank w Nowym Jorku, w kieszeni ma brylant wielki jak granat, ale spokojnym głosem zamawia w dworcowej restauracji kawę. Dopiero

gdy wolno ściąga marynarkę, jego koszula okazuje się mokra. Facet się spocił ze strachu. Koszula nie dochowała tajemnicy o jego lęku. I to właśnie tak przeraża, że aż dreszcze przechodzą po plecach, a nie widok krwi i czyjeś wrzaski z ekranu — wolno sięgnęłam po filiżankę z resztką czekolady. Ale byłam mądra...

18.34

— Pocisz się? — spytałam.

— Słucham? Kiedy?

— Kiedy kłamiesz. Wiesz, warto pokazać ludziom takie słabości młodego mistrza ekranu...

— Ja nie kłamię.

— To kiedy oszukujesz?

— Nie robię tego.

— Ale jesteś stanowczy. Żeby nie powiedzieć zawzięty...

— Trzeba być takim — powiedział z powagą godną lepszej sprawy.

Na szczęście nie dodał, że trzeba być takim w świecie, gdzie każdy chce cię oszukać, zdeptać, zniszczyć, upolować i zjeść. Przetrywają tylko hobbici, krasnale, no i ci, którym wciśnięto na palec czarodziejski pierścień, taki sam, jak miał on.

No tak, „Przetrywają najpiękniejsi” z sygnetem!

John cały czas go dotykał z wyraźną przyjemnością, jakby to był guzik windy jadącej do sławy.

Witajcie w krainie hobbitów.

18.46

— Przyjemnie pachnie — powiedział, jakby dopiero teraz zauważył, że umówiliśmy się w pijalni czekolady.

Po ponad godzinie rozmowy.

Pomyślałam, że ma kobiece oczy, łagodne i wyrozumiałe.

Już nie wydawał mi się pyszałkowatym gburem z nastroszoną żelem fryzurą, przynajmniej przez trzy ostatnie minuty.

— Lubisz ten zapach? — spytał.

— Tak, kojarzy mi się z dzieciństwem. Spotykałam się z babcią w pijalni czekolady. Lubiała tak siedzieć, żeby odbijać się w lustrze. Częściej spoglądała na swój staranny makijaż niż na mnie. Nie dziwiłam się jej, bo była piękną kobietą. Można więc powiedzieć, że zapach czekolady kojarzy mi się z lekceważeniem mojej osoby.

— Może za dużo oczekiwałaś?

— Kiedy ma się pięć lat, nie zna się pojęcia „za dużo”. Chce się jak najwięcej, zwłaszcza miłości i uwagi. I trudno się z tego wyrasta. Lubisz czekoladę?

Jak mogłam takiego macho pytać o kakao!

18.52

Gdybym miała porównać Johna do jakiegoś rodzaju muzyki, to tylko do walca. Kryło się w nim coś takiego, co kazało się lekko i zwiewnie unosić, a po chwili opadać. Nie był to walczyk Stinga, ale klasyczny, zobowiązujący do określonych podrygów i do włożenia odpowiedniego stroju. W jego towarzystwie należałoby mieć doskonale ściśniętą talię i mocno uwypuklone piersi. Tak, John przypominał

walc Johanna Straussa. Smutny, melancholijny, z każdym jego dźwiękiem otwierała się przepaść. Może byli tacy, którzy traktowali walce jak beztrudne melodie zapisywane lekką ręką przez wesołka znad Dunaju, ale nie ja. Widziałam w nich dużo rozpacz, beznadziei, ciemności, która wydawała mi się nierozłączna ze sztuką austriacką w ogóle. Czułam smutek, gdy słuchałam walców Straussa, i nie mogłam się nadziwić, że tylu słuchaczy odnajdywało w nich radosny nastrój. To nie była wesoła rzeczywistość, tylko świat marzeń. Johanna Straussa nazywano czasem poetą muzyki, w czym nie widziałam żadnej przesady. Jego utwory wywoływały we mnie zakłopotanie, podobnie jak dobry wiersz, którego nie mogłam dokładnie zrozumieć i przez to polubić. Potrafiłam się nim zachwycić, ale nie umiałam poczuć, że jest mi bliski.

Ciekawe do jakiej melodii mnie by porównano. W skrytości ducha marzyłam, żebym była *Ne me quitte pas* i żeby śpiewał mnie tylko Brel. To taka piosenka, przy której można płakać, kłąć, objadać się pizzą z owocami morza, robić striptiz, całować się w brudnej bramie i nawet przez chwilę nie stracić elegancji, wciąż wydawać się kimś dystyngowanym. Fascynowało mnie zaangażowanie Brela w coś tak ulotnego i prostego jak piosenka.

18.55

Gdy wyszłam z restauracji, wysłałam do Janki SMS-a: „John zgodził się na wzięcie udziału w sesji zdjęciowej, przekaz to dziewczynom, nie odwołuj niczego”.

19.27

Mieszkanie Kaśki urządzone było na strychu.

Na schodach spotkałam dwa koty, a w drzwi zastukałam kołatką.

Ona lubiła takie niekonwencjonalne rozwiązania prostych sytuacji.

— Wreszcie jesteś, śliczna bluzeczka, nowa? — zawołała na powitanie, a przecież mnie już dzisiaj w niej widziała. Od rana mam na sobie dżinsy, czerwony pasek, pantofle na obcasie, top. Szczupła dziewczyna w czarnej opiętej bluzce, zgrabne kostki u nóg — to ja.

— Jak zwykle się spóźniasz. Idę wyjąć zapiekankę, już za długo siedzi w piekarniku.

Gdy weszłam do pokoju, zobaczyłam jej siostrę Małgosie, dziewczynę, która zawsze chodziła w bojówkach, w czarnym swetrze w kształcie worka i nie pozwalała swoim włosom urosnąć na więcej niż dwa centymetry.

— Cześć, dziewczyno z klubu disco. Masz cudowny zestaw bikini — pocałowałam ją.

Małgosia miała osiemnaście lat i dostosowany do wieku zbuntowany charakter. Dobrze przynajmniej, że nie niszczyła sobie ciała i nie pakowała tatuaży, gdzie się dało. Podziwiałam Kaśkę, jak spokojnie i dyskretnie obserwowała jej rozwój i wierzyła, że ten stan minie jak grypa. Była pewna, że Małgosia wydorosłeje, jej włosy podrosną i poczują co to koński ogonek, choć wiedziała, że jeszcze nieprędko. Małgośka jak zwykle przywitała mnie pytaniem:

— No i co u ciebie ciekawego się wydarzyło, Julka? Pewnie nic, same nudy, nie to, co u mnie — zadziamała gumą do żucia.

Bo u niej każdego dnia działy się takie rzeczy, że hej!

Aż strach pytać.

— Nic ciekawego, jakiś gość wjechał mi w tył auta na parkingu — powiedziałam. — Ale zorientowałam się dopiero po kilku dniach.

Też chciałam udać luzarę, jednak nie za bardzo mi się udało.

— Tak? — zdziwiła się, ale nawet na mnie nie spojrzała.

Więc ciągnęłam ten temat jak węłną po posadzce.

— A wiesz, że tak? Od kilku tygodni dostawałam SMS-y, że coś na mnie czeka — a to na choince na skraju lasu za pobliskim marketem, a to u ochrony mojego domu, a to u portiera w pracy. Najpierw znalazłam czerwoną kopertę z niebieską wstążką, wisiała na drzewie, a w niej płyta z piosenką i kartka, na której był wydrukowany jej tekst.

— Romantyczny?

— Romantyczny.

— Od kogo...? Uwiodłaś jakiegoś dziecięcia czy leśniczego...? — uśmiechnęła się Małgosia.

— A dziecięcioły potrafią pisać? Czego was teraz uczą w tej szkole — zdziwiłam się.

— Kto to taki? Czemu nigdy nam o nim nie opowiadałaś? Zakochałaś się, pokaż oczy... — próbowała się nade mną pochylić.

— Ktoś za tobą szaleje? — spytała Kasia, kładąc mi na talerz zbyt dużą porcję zapiekanki.

Ale co tu rozciągać wątek...

Te liściki i prezenciki to przecież od Cukiereczka, więc o czym tu gadać.

Przesłodzony landrynkami Piotr wart był tylko króciutkiej wzmianki.

Jednak Małgosia była innego zdania:

— Julka, i co ty wiesz o życiu dziewczyn, które jakoś nikomu nie chcą się podobać? Masz pojęcie, jak to jest, gdy nikt cię nie dostrzega, jakbyś była przezroczysta? Ani ty, ani Kaśka nic o tym nie wiecie. I tylko niech żadna z was mi nie mówi, że mam zapuścić włosy, wskoczyć w spódnicę i nosić bluzki z dekoltem, żeby ktoś wreszcie mnie zauważył. To nie o to chodzi. A o co?

20.35

Pod drzwiami mojego mieszkania czekał mnie ciąg dalszy „fantazyjnych” pomysłów Piotra. Skrzynką kontaktową okazała się niczego nieświadoma wycieraczka. Leżała na niej stosowna do kolorytu miejsca beżowa koperta.

Bez adresata.

Znaczy, że do mnie.

Widziałem cię dzisiaj, jak siedziałaś z tym beztalenciem aktorem. Ty też na niego lecisz? Byłaś taka rozbawiona, nawet nie przeszkadzało ci, że na niego czekałaś. A na mnie nigdy nie mogłaś poczekać ani chwili. Poza tym myślałem, że to nasza knajpa. A potem? Nie odpuszczę. Piotr

— przeczytałam ze zdziwieniem. Tej nocy wszystko stało się dla mnie jasne. On nie tylko podjeżdżał pod moją pracę, ale i mnie śledził. Był moim niewidzialnym cieniem. Dlaczego niektórzy, kiedy im się mówi, że to koniec, zaczynają walczyć i kochać zamiast przeczytać wielki napis „the end”?

Piotr już sobie wymyślił ciąg dalszy tej historii. Ja też go znałam... Wieczór paniński w klubie z gejami, zepsuty mikrofon, potem suknia długa jak amerykański sen i jedna myśl w mojej głowie: „Szkoda mi ludzi, którzy na nas patrzą”.

20.51

Wykręciłam numer Piotra.

— Jakim prawem mnie śledzisz, kontrolujesz i nie dajesz prawa do samodzielnego życia? — spytałam.

— Nie wyobrażam sobie, że mógłbym ci je odebrać. Po prostu martwię się o ciebie.

— Dziękuję za troskę, choć wydaje mi się, że udajesz.

— Chcesz mnie znienawidzić, tak? Muszę to usłyszeć jeszcze raz, jak będziesz patrzyła mi w oczy. Kiedy prosiłem, byś zastanowiła się, co z nami dalej, nie sądziłem, że odejdziesz ode mnie, że to wszystko przekreślisz. Musimy porozmawiać. Jesteś już w domu? Julka, nie mogę ci teraz oznajmić, że facet, który zadzwoni do twojego mieszkania za kwadrans, to będę ja. Nie, nie zrobię tego. Ale chciałbym pojąć, o co ci chodzi.

Jak miałam mu wytłumaczyć coś, czego sama nie rozumiałam?

Wiedziałam tylko, że zdecydowanie prościej jest komuś wyznać miłość, niż po prostu odejść.

20.53

Wyciągnęłam najchudsze członka w wersji light i zaciągnęłam się nim, wiedząc, że znów źle robię. To był dzień pełen błędów. Zamiast porozmawiać z Piotrem, słuchałam Johna. Zamiast spotkać się z moją siostrą i z Bibi, poszłam na plotki do Kaśki. W moim życiu zaczęło królować słowo „zamiast”. Czułam, jak wszystko zaczęło przeciekać mi między palcami. Dokonywałam nie takich wyborów, jakie powinnam.

21.57

SMS.

„Nie sędzę, Julio, żeby on był ciebie godny. Ktoś, komu wydaje się, że jest wart milionów, nie jest wart nikogo, bo jest tylko początkiem niczego” — napisał mi Piotr.

„Piotrze, cenię twoją radę, wezmę sobie ją do serca. Cenię też twoją muzykę i uważam, że jest ona warta milionów uszu. Ale to przecież nie znaczy, że nie jest też dla mnie”.

22.15

Gdy pozwoliłam, by ten wieczór wciąż należał do Johna, usiadłam przy laptopie i zaczęłam pisać o Johnie artykuł. Pierwsze zdanie brzmiało: „Zacznę od końca. Zapamiętałam jego oczy”. W środek tekstu wstawiłam informację, że John woli brunetki, i skomentowałam żartobliwie: „jakby się nie domyślał, że przecież wdzięku kobiety nie mierzy się kolorem włosów, tylko kolorem paznokci”. Nie miałam pewności, czy Elka doceni mój błyskotliwy dowcip, ale w końcu nie dla niej to pisałam. Nie byłam amatorką. Bez przesady można byłoby powiedzieć, że dawałam świadectwo prawdzie, bo John faktycznie przez ponad pół godziny opowiadał mi o tym, jak bardzo lubił dziewczyny z ciemnymi włosami, i jeszcze uzupełniał, że powinny to być takie „małe czarnulki”, jak on to ujął — „poręczne”.

Nie muszę dodawać, że miałam jasne włosy, byłam szczupłą, wysoka i zdecydowanie nieporęczna. W kącie nie dałoby się mnie upchnąć. Ani na końcu listy płac. Potrzebowałam przestrzeni na rozwinięcie skrzydeł. Dużo miejsca zajmowały też moje marzenia...

Na koniec naszej rozmowy John, patrząc w moje zielone oczy, dorzucił: „Lubię brązowookie dziewczyny”.

I zerknął na zegarek. Mogłam już tylko powiedzieć „Pół godziny minęło. Koniec widzenia, Johnie”. Choć w istocie przemknęły prawie dwie, z czego ponad pół zajął jego traktat o brunetkach.

23.22

Szkic artykułu już miałam. Chciałam zakończyć go zdaniem: „No cóż, pycha to przywilej tego, kto udziela wywiadu”. Przeczytałam go jeszcze raz i znów wydało mi się, że fragment o brunetkach był zbyt rozbudowany, chyba przesadziłam. Ja — czy on, wygłaszając pochwałę koloru włosów kobiety, a nie jej rozumu, duszy, serca, ego!

Wysłałam Johnowi SMS-a, że kiedy blondynki przeczytają mój artykuł, to pogrążą się w żalobie, na znak czego masowo przefarbują się na czarno i w konsekwencji — oczywiście przez niego! — w sklepach zabraknie czarnej farby do włosów, a nasz słowiański kraj nad Wisłą będzie wyglądał jak świeżo podbita kolonia afrykańska, jednym słowem stanie się czarnym punktem na mapie Europy, czyli mrocznym przedmiotem pożądania mężczyzn takich jak on.

Nie odpisał.

23.37

Nie wyłączyłam laptopa. Wysłałam jeszcze e-maila do Janki, bo wspominała mi, że jutro musi

być w redakcji od świtu, aby na godzinę jedenastą przygotować tekst. Chciałam więc umilić jej te samotne chwile przy świetle jarzeniówki

0 siódmej rano. Poza tym dopiero po rozmowie z Johnem uświadomiłam sobie, jak musiało być jej ciężko żyć z byłą żoną Maksa w tle. Napisałam:

Janka, jak tylko wrócę z Paryża, zabieram cię na wycieczkę. Musimy to zrobić razem. Pojedziemy nad morze. Wyśmiejemy się, popłaczemy, wypijemy za zdrowie wszystkich byłych żon, którym się wydaje, że wykupiły sobie wieczność przy już nie swoich mężach. Za tych facetów nie będziemy pić, niech piją sobie sami. Janka, pomyśl, ile można w życiu zyskać, gdy mocno dba się o to, co jest obok nas, teraz, tutaj.

I ile można stracić, gdy wciąż się żyje nie tu, a gdzieś, kiedyś, może, albo-albo.

Miłej pracy. Nie zgub się w gąszczu znaków zapytania — twoja sąsiadka spod okna, która ten dzień spędzi na sesji z widokiem na owłosiony tors, na szczęście nie swój.

23.45

I właściwie na tym mój dzień mógłby się zakończyć, gdyby nie to, że przed północą zadzwonił telefon.

— Chciałem tylko sprawdzić, czy jeszcze jesteś... — usłyszałam w słuchawce głos Piotra. Tylko tyle. Po chwili dostałam od niego SMS-a: „Przepraszam, że tak późno zadzwoniłem, ale właśnie przejeżdżałem obok ciebie i zobaczyłem, że jeszcze świeci się światło. Dobranoc, Julio”.

Znowu był obok.

Nie ominął mojego domu wielkim łukiem, chciał mnie mieć na oku.

Miałam wrażenie, że Piotr mnie dusi, ogranicza, osacza. Spełniał swoje pragnienia, a nie znał moich marzeń. Może mu o nich nie mówiłam? Kiedyś słyszałam o mężczyźnie, który w upalny dzień zaniósł żonie do szpitala futro, bo wiedział, że ona o takim marzyła, a nigdy nie było go na nie stać. I tak minęło mu całe życie. Aż patrzył bezradny, jak ona umierała, i pomyślał, że to był jedyny sposób, w jaki ją jeszcze mógł uszczęśliwić. Próbował ją w ten sposób zatrzymać przy życiu, podobnie jak Rembrandt prosił, by umierająca Saskia zakładała na siebie coraz więcej ciężkich ozdób, jakby wierzył, że one ją przytrzymają, uniemożliwią odejście.

Nie chciałam wiedzieć, że ta historia nie miała happy endu, że ona nigdy tego futra nie włożyła. Myślałam raczej, że kiedy ją nim opatulił, ona sobie wyobraziła, jak pięknie by wyglądali, gdyby szli razem, trzymając się za rękę, na kolejne sylwestrowe bale. I że było jej choć trochę cieplej, gdy już musiała sama odejść.

Piotr nie chciał znać moich marzeń. Wydawał się przekonany, że jego były tak wielkie, iż zastąpią moje. Plaże Kalifornii, piasek pod stopami, muzyka, którą miał w sobie i w skupieniu tworzył, widownia sali koncertowej ze mną w pierwszym rzędzie. I smycz wysadzana brylantami, którą próbował założyć mi na szyję.

Nie mogłam być z kimś tylko z powodu jego samotności

w Monterey. Byłam mu wdzięczna za każdą myśl, którą mnie kochał, za każde spojrzenie, które posyłał w moją stronę — nawet to w nocy, w moje okno. Ale nie potrafiłam odwzajemnić tego zainteresowania i czułości. Zdałam sobie sprawę, że cały czas tałam przed nim prawdę o sobie. Nie chciałam, żeby mnie poznał. Nie zamierzałam mu zdradzać moich obaw, ambicji, pragnień. A teraz nagle się dziwiłam, że Piotr mnie w ogóle nie zna. Myślał, że „ja” to moje oko, talia, nogi w dobrych butach i pogląd, że to one czynią kobietę piękną.

A przecież „ja” znaczyło coś zupełnie innego. Słabość do zachwycania się czyjąś łagodnością. Niechęć do nieumiejętnej rozmowy. Nawyk dbania o innych. Uzależnienie od korzystania z komórki. Przyzwyczajenie do przytulania przyjaciół. Umiłowanie wolności. Potrzeba miłości. Odpoczynek przy filiżance czekolady.

Nie mówiłam mu, za czym tęskniłam. Nie zdradzałam, jaka byłam.

Nie ukrywałam przed Piotrem tylko braku miłości do niego. A może nawet nie mogłam mu darować, że mnie pokochał. Gdyby choć na chwilę pozwolił mi się oddalić, zatęsknić za nim, spojrzeć na wszystko z dystansu — może wtedy wyobraziłabym sobie z nim życie. Ważne decyzje wymagają przecież zastanowienia. Są jak jezioro, w którym trzeba się na chwilę zanurzyć, by znów łąpczywie nabrać powietrza. Piotr próbował być moim oddechem. Ale przecież nie wiedział, jakiego powietrza mi brakowało.

Nie za nim tęskniłam. Nie o nim myślałam przed snem. Nie o niego się martwiłam, gdy jechałam rano do redakcji i mijałam ulicę Wspólną. Myślałam o kimś innym. Nieważne o kim, bo przecież wcale nie chciałam z nim być... Ale z Piotrem też nie.

Przy nim czułam, że zabłądziłam w życiu, że wciąż stoję na wielkim skrzyżowaniu i widzę tylko migocące ostrzegawcze żółte światło. Przecież nie pod tym semaforem było moje miejsce. Nie tu miałam dojść. Nie powinnam się gubić, nie należało tak chaotycznie iść przed siebie.

Przeszkadzało mi to, że nieostrożnie żyłam, tak niechlujnie. Że do tej pory nie poznałam nawet tytułu mojej ulubionej piosenki Eltona Johna, choć mnie zachwycała i wzruszała, przy której zawsze chciało mi się płakać. A jednak wciąż nie dowiedziałam się, jak się nazywa. Gdyby ktoś chciał ją dla mnie puścić, nie wiedziałabym, o co poprosić. Podobnie jak urzekał mnie sposób, w jaki Sting śpiewał walczyka, pamiętałam sposób, w jaki wymawiał słowa still i feel, ale nie potrafiłam tej piosenki zanucić.

Nie podobało mi się to, że chodzę nie swoimi drózkami i potykam się o cudze sprawy. Wyraźnie czułam, że powinnam jeździć szerokimi, wygodnymi autostradami, tylko wciąż nie umiałam do nich dotrzeć.

I coraz bardziej nabierałam przekonania, że jeśli na chwilę zboczyłabym z drogi, którą już dobrze poznałam, dotarłabym tam, gdzie chciałam.

A nawet gdybym się tam nie znalazła, to odeszłabym od tego, co było wokół mnie teraz.

piątek

00.05

I właśnie wtedy to zrobiłam!

Wysłałam Johnowi jeszcze jednego SMS-a: „Przepraszam, chyba nie powinnam żartować z twoich wypowiedzi na temat kobiet”.

„Do zobaczenia, do jutra, Julio” — odpisał na odczepnego.

Przypomniałam sobie, że następnego dnia miałam jechać na wernisaż Franka W., nie znacie? Trudno, prawdziwa sztuka musi być nieznaną, zwłaszcza Frank, który na swoim ostatnim wernisażu w przykrótkich spodniach w brązową kratkę wyglądał tak, że wcale nie chciało się go poznać... Co innego Ann, fascynująca piękność z dekoltem na plecach... To właśnie ze względu na nią byłam skłonna tam pojechać, a nawet zabrać ze sobą Johna. Niezły pomysł. Chcąc wywołać w sobie jeszcze większe zakłopotanie, spytałam Johna w SMS-ie, spontanicznie i mało rozważnie, czy nie poszedłby ze mną. Odpisał natychmiast: „Wernisaż?”, na co odpowiedziałam: „Będzie Ann, mógłbyś porozmawiać w ojczystym języku”.

00.19

Jak mogłam o tej porze wysłać mu SMS-a!

Po co? Dlaczego? Przecież nawet gdybym chciała...

Ale wcale nie chciałam!

Jeśli tak bardzo pragnęłam go o coś spytać, mogłam to zrobić za kilka godzin, przecież wtedy miała być wielka sesja z tarsem męskim w roli głównej, z jego tarsem! John napisał mi jeszcze coś o sensie naszego spotkania, który nie dotyczył „sensu spełnienia powinności dziennikarskiej”, a ja wzięłam to zdanie za ćwiczenie w sztuce konwersacji i wiedząc, że tricki uwodzenia kobiet miał w małym palcu, odpowiedziałam: „Tylko to, co nie istnieje, nie ma sensu...”. A co ja znowu byłam taka odkrywca?

Wcale się nie dziwiłam, gdy przeczytałam: „Jesteś bardzo urocza, śpij dobrze, Julko”. Zbyt mi komplementem. I to takim, który dobrze znałam. Komplementem tak słabiutkim jak wytrych do kasy w sklepiku przyzakładowym. Nie było się czego obawiać.

Ale kiedy napisał jeszcze: „Nie przejmuj się, do zobaczenia”, poczułam prawdziwą grozę.

00.25

A więc według niego miałam powody...

Nie mogłam sama przed sobą ukryć, że one istniały, choć inne, niż jemu się wydawało. Moim problemem stawało się to, że zamiast być sobą, czyli miłą, ciepłą osobą, delikatną i kobiecą, wciąż udawałam kogoś innego. Jakiegoś dresiarza z kijem baseballowym, który szybko i w jednej tonacji cedził słowa przez zęby. Albo krótko obciętą feministką w bojówkach i z tatuażem na jednej czwartej ciała. Albo dziewczyną z gazem łzawiącym w torbie i ze szczyrykiem w kieszeni spodni.

Wszystko w ramach samoobrony i poszukiwania barw ochronnych...

Obawiałam się, żeby przypadkiem ktoś nie podszedł do mnie za blisko i mnie nie skrzywdził. Wciąż czułam się tą dziewczynką z przedszkola, którą dobrze znałam z filmu, który mój tata nakręcił na balu przebierańców: w tle słychać słodką muzykę Steviego Wondera *Isn't She Lovely*, wszystkie dzieci kręcą się po sali, ja przebrana za Babę Jagę — jak mama mogła mi to zrobić! — wokół mnie same księżniczki, królewicze, rycerze i bocian, który nieśmiało podchodzi do mnie, chce mnie pocałować, ale zamiast tego niezdarnie kłuje mnie w twarz.

Boli!

Uderzam go, bo przecież muszę się jakoś bronić.

Idę do kącika, odwracam się, zakrywam buzię.

Płaczę i nie chcę, żeby ktoś to widział...

00.37

Byłam zdziwiona, że w chwili słabości — czy też wahania — odezwałam się właśnie do Johna. Przecież mogłam Zadzwoić do Kaśki, co z tego, że spała! On pewnie też chciał już odpocząć. Przecież John był tylko moim służbowym zadaniem, które miałam wykonać w ramach obowiązków. A do swojego obowiązku nie wysyła się w nocy SMS-a!

Wszystko przez Piotra.

Poczułam się przez niego bezradna.

Ale to jeszcze nie powód, żebym zaplątała się w zarośniętym torsie jakiegoś Johna.

9.15

Drugi piątek miesiąca, pora na bilans. Niepocieszający. Niepokojący jak moje życie... Piotr znów nad ranem wysłał mi nudnego SMS-a. Ziewałam, gdy czytałam jego słowa o tym, że „jak bardzo będziemy się starali, to wszystko uda nam się zdobyć”. Jak Stalin. A przecież Piotr powinien zmienić taktykę, już dawno zejść do podziemia i wyłonić się dopiero za jakieś pół roku, jak już stopnieją lody...

9.45

Weszłam na chwilę do redakcji i zobaczyłam wpatrzonych w siebie kilka par oczu wyczekujących jak sępy, tylko na co?

— No i jak było? — usłyszałam Dorotę.

— No mów! — krzyknęła Marta.

— Ale o czym mam mówić?

— No jak to? O Johnie. Już powiesiłam sobie jego plakat nad biurkiem, żebyście mogli na siebie patrzeć, ty i on — zawołała Marta i wskazała na wielką postać i gapiące się na mnie jego oczy.

Wyglądał dokładnie tak jak wczoraj. Jak chłopiec z Bul-lerbyn, który został Bondem. Był jak bilet do rajy, jak ucieczka od nudy, jak przepustka z więzienia samotności, jak pragnienie wszystkich kobiet. Ale przecież nie moje!

— Zgodził się? Będzie dziś na sesji?

— Dziewczyny, chwileczkę! Opanujcie się — próbowałam zbić w nich nadwyżkę wibrującego estrogeny. — Będzie.

— To my też jedziemy! — zawołały chórem.

Gdyby wiedziały o tym SMS-ie, który napisałam w nocy. Wstydziłam się sama przed sobą, że to wymyśliłam i jeszcze mu wysłałam.

— OK, to jedźcie — powiedziałam.

— Z przyjemnością zostanie w redakcji, pewnie są jakieś teksty do czytania — spojrzałam na Martę.

— Julka, co cię dzisiaj ugryzło? Lewą nogą wstałaś? — Marta podniosła się z krzesła, zdjęła okulary i położyła je na klawiaturze. Od kiedy to nosiła okulary?

— Jak wolisz.

— Każdy by chciał na niego popatrzeć, takie mięsko, cukierczek, mniem, mniem

— Ja bym nie chciała. Nie lubię mdłych cukiereczków, słodkich mięsek z owocami, lukrowanych serduszek i cze-koladopodobnych facetów — odpowiedziałam stanowczo i wyszłam po kawę. Oczywiście bez cukru.

9.55

Co one wiedziały o cukiereczkach, kiedy ostatni raz były w ciastkarni? Co druga to chudsza i na ciągłej diecie. Fakt, nie byłam dziś skłonna do żartów. Fakt, poniosły mnie wczoraj emocje. Może przez Piotra poczułam się zagubiona, za daleko uciekłam w nieznane tereny, zabłądziłam. Może John przez chwilę wydał mi się moim mostem, tamą, odskocznia od tego, co mnie przytłaczało. Może właśnie dlatego do niego napisałam SMS-a, który w gruncie rzeczy był jak SOS. Co mi przyszło do głowy, by niepokoić go o tak późnej godzinie! Jak mogłam!

A jednak mogłam, jeśli to zrobiłam. I jeszcze na dodatek za kilka godzin będę musiała spojrzeć mu w twarz i mówić: „No, John, uśmiechnij się, rozepnij troszkę koszulkę, bo wiesz, ona zakłóca harmonię twoich ust, zębów, czoła i nawet tego noska...”. Help!

9.58

A za oknem było piękne lato... Na ulicach zapanował przepych — przechadzali się właściciele zegarków z chirurgicznej stali i królowe rzesz. Nadeszła wymarzona chwila na spotkanie swojego przeznaczenia tuż za rogim. Na zakochanie się. Można byłoby nawet powiedzieć, że lato zsyłało miłość, a słońce przynosiło radość i ulgę. Ale tylko tym, którzy wychodzili na dwór.

10.04

— Czemu tak mi się przyglądacie? — Przystąpiłam do ataku, gdy wróciłam, a one siedziały w tych samych pozach wpatrzonych w drzwi. Wciąż miały zdziwione buzie.

Usiadłam wygodnie, znalazłam się w centrum uwagi.

— Wczoraj było bardzo przyjemnie — spojrzałam na Dorotę.

Miała świetnie dobraną bransoletkę do koloru bluzki. Przykładała dużą wagę do szczegółów, co za imponująca dbałość o detale! To dobrze. Daleko w życiu zajdzie.

— John to naprawdę miły, kulturalny i skromny chłopak — powiedziałam od niechcenia, sięgając po filizankę. Za to wyznaczenie należał mi się łyk gorzkiej kawy.

— Julka, mówisz o nim z takim spokojem, jakbyś opowiadała o ochronie naszego budynku! Kiedy o nim myślę, to majtki same lecą mi w dół — krzyknęła ochoczo Aśka.

Spokojnie, bez paniki, nie tak szybko to się stanie, bo bielizna Aśki była przeraźliwie ciasna, o dwa numery za mała. Wydawało jej się, że już za dzień, za dwa schudnie, dlatego kupowała wszystko za małe, majtki również. Musiałaby więc bardzo długo i intensywnie myśleć o Johnie, żeby jej słowa okazały się prawdą, i Szczerze mówiąc, nie zależało mi na tym.

Jej chyba też nie.

A więc komu?

— No właśnie, a spójrz, jak wyglądam — powiedziałam. — Czy widzisz we mnie dziewczynę, która marzy o tym jak wy to mówicie ciasteczku? Gdyby mi zależało, to bym coś zrobiła ze sobą rano, a nie przyszła tutaj bez makijażu, w podartych dzinsach i jakiejś tam skromnej bluzce.

— W jakiejś tam bluzce... — wtrącił Grzesiek i puścił do mnie oczko.

Co się z nimi dzieło! Odstawili istne show, brakowało tylko sztucznych ogni i girls ze strusimi piórami wyrastającymi znad krzyża. Nawet spokojny Grzesiek wyglądał jak fan Johna, a nie wpatrzonej w niego Baśki. Dobrze, że jeszcze nie przyszła do redakcji Elka, bo gdyby dołączyła ze swoim wrzaskiem, to dopiero byłoby przedstawienie. Piotr ze spektaklami typu „światło i woda” mógł się schować. Sorry, punkt dla niego.

— A poza tym, może i ten John jest marzeniem wielu dziewczyn, ale kompletnie nie okazał się w moim typie — zaczęłam. — Ta koszmarna fryzura sklejona żelem, która Wyglądała jak zaczepka tego pana z dołu od naleśników...

— Zaczepka, nie zaczepka — burknęła Marta.

— ...no właśnie, jak sama mówisz, coś na zet pożyczonego od wypasonego szczura z nocnej zmiany z supermarketu Te zrosnięte brwi, które przypominają opasłe wąsy przyklejone na superklej. Ten facet wygląda jak yeti, jak brakujące ogniwo w teorii Darwina. Jesteście pewne, że nasza czytelniczka pragnie oko w oko z nim się zmierzyć na stronach magazynu „Ouuups”?

— A niech będzie owłosiony, to podniecające. Wygląda przynajmniej jak przyszyrzyżony goryl, a nie chłopczyk od fryzjera. Co ty tak czepiasz się tego Johna? — rzuciła z przekąsem Marta.

— Zgadzam się tylko co do tego, że ma brwi jak wąsy. Takie złączone, jakby się bał, że jedną zgubi — zauważyła tajemnicę jego niepokojącego spojrzenia Janka.

I co ona mogła na ten temat wiedzieć.

Przecież to ja patrzyłam w jego oczy. To ja zachwyciałam się ich szlachetną oprawą. To ja nie mogłam oderwać wzroku od uspokajającego błękitu jego tęczęwek.

— W uszach też ma włosy? — zaciękała się Marta.

Powoli kończyła się lista bredni, jakie mogłabym im sprzedać na dobry początek dnia. Bo tak naprawdę dużo można było powiedzieć na temat Johna, ale żadne z tych stwierdzeń nie odpowiadało prawdzie.

— Co wy z tym Johnem, przecież to lalusz — powiedziałam. — A mnie podobają się tacy faceci, którzy wyglądają jak pobici. Tu krzywy nos, tam blizna. Taki zbir, a nie książkę czy nieskazitelny piękniś jak John, jak jakiś lukrowany pierniczek, goguś, z którym trzeba się bić o dostęp do lustra i chować przed nim wszystkie żełe do włosów, kremy na noc, a nawet waciki — zmieniłam temat, choć nikt tego nie zauważył.

— A mnie się podobają właśnie tacy mężczyźni jak John, połączenie twardziela z delikatnością sarny. To miałaś na myśli, Julka? — spytała poważnie Janka.

Nawet ona...

Redakcja to dziwne miejsce, pomyślałam, logując się w swojej skrzynce.

To zbiorowisko zupełnie przedziwnych ludzi.

Potencjał?

Talent?

Dobrze jak jest, ale jeśli ten detal zastępowały inne przymioty, to nie masz co się stresować. Jeśli nie umiesz napisać artykułu, napisze ktoś inny, przecież gazeta i tak musi wyjść.

10.25

— Julka, poczekaj, w poniedziałek lecisz do Paryża. Jesteś już spakowana? — Gdy wychodziłam z redakcji na sesję fotograficzną z Johnem, w drzwiach niemal zderzyłam się z Elą.

— Pewnie — zadrwiłam.

Bo niby kiedy miałabym to zrobić?

I rozmarzyłam się... To działa się naprawdę — już za kilka dni o tej godzinie będę piła kawę na Champs Elysees, uśmiechała się do paryskich menów, jadła croissantsy, przeglądała francuskie magazyny i kupowała ciuchy, no, może raczej ciuszki.

— To świetnie—powiedziała Elka. — Masz ważną misję.

Odgarnęła włosy z czoła. Nie był to piękny lok, jaki miała Ola, ale wykonała przy tym taki sam gest.

— Tak, wiem — zamruczałam.

Odgarnęłam włosy z czoła... Wystarczyły dwie minuty, żebym zaczęła ją naśladować...

— A teraz jadę na sesję. Muszę Johna rozebrać, nałożyć na jego włosy żel i powiedzieć do fotografa: „No teraz, teraz klikaj, nie widzisz, jak ten meszek pięknie sterczy?”. A w końcówki ust włożę mu dwie wykałaczki, żeby wyglądał, jakby się uśmiechał.

Zaangażowałam się w to zadanie, jakbym mówiła, że o czternastej ma przylecieć prezydent Bush i złożyć petycję w mojej sprawie.

— A co zrobisz, jeśli z tym torsesem coś będzie nie tak? — przeraziła się Elka.

— Zadzwoń do ciebie.

11.02

Mama zatelefonowała tylko po to, żeby powiedzieć, że mnie kocha, i przypomniała, że o dziewiętnastej spotykamy się w restauracji na placu Teatralnym. Dodała też, żebym robiła dobrze to, co do mnie należy, i nie myślała o tym, co mnie martwi — i po prostu się rozłączyła. Jakby wiedziała, co czuję... Może to rodzinna telepatia?

Jedno było pewne — telefon mamy pociągnął za sobą następny.

Stałam na światłach, wykręciłam numer Piotra.

Uznałam, że to najlepsza pora, by raz na zawsze wszystko zakończyć.

Nie chciałam być już delikatna.

— Przeszkadzam ci? — spytałam.

— Nie, chociaż zadzwoniłaś w mało fortunnym momencie, bo właśnie...

Mało mnie to interesowało. Kolejny teatrzyk, tym razem dla krasnali. Próbował zgrywać przede mną bardzo zapracowanego i oddanego obywatela — dla dobra swojego kraju, dla sztuki, dla jakiegoś kolejnego dyrygenta... Ale potrafiłam być niesprawiedliwa!

— Chcę tylko jeszcze raz powtórzyć, że dobrze wiem, czego chcę i co dalej będzie z nami — nic. I powiem ci nawet dlaczego — mówiłam jak nakręcona. — Już od dawna nie lubię tych twoich karteczek zostawianych na choinkach, liścików za wycieraczką auta, cukierków w schowkach w samochodzie. Dławię się nimi. Przeszkadzają mi żyć. Zaspokajają tylko jedną ósmą moich pragnień, a reszta usycha, błądzi. Proszę cię, Piotrze, już wystarczy. Nie dzwoń do mnie, bo chciałabym, żebyś pozostał pięknym wspomnieniem. — Odłożyłam słuchawkę.

Warta miłości wydawała mi się jego muzyka, ale nie on. Powinien coś zrobić, żeby byli siebie godni.

11.40

Nie sądziłam, że pamięć Piotra okaże się tak krótka, bo po chwili znów go usłyszałam.

— O co ci chodzi, Julka? — spytał zdziwiony.

Jak to o co?

Powinnam go wysłać do tego okulisty, byłego kochanka Kaśki, może wtedy zacząłby widzieć wszystko wyraźniej.

Albo do okulisty, którego grał John.

— O to, że stałeś pod moją klatką i czekałeś, aż podjadę, że gdy idę do firmy, zastanawiam się, czy cię nie spotkam na rogu, bo pewnie akurat tamtędy przechodzisz. Nie szanujesz mojego życia. Nie szanujesz niczego. Teraz też miałeś nie dzwonić. Wszystko ci już powiedziałam. Trochę za późno na nasze Polaków rozmowy.

— Nigdy nie jest za późno, a zwłaszcza gdy uczucie jest tak mocne.

— Mocne? Mogłeś się chociaż nie przyznawać, że mi nie ufasz. Napisałam ci, że jadę na czekoladę, nie musiałam, ale napisałam. I po co? Po to, byś mógł podjechać i przez dziurkę od klucza zobaczyć, z kim ją piję? Szpiegowanie to nie to samo, co kochanie, Piotrze. Miłość to nie to samo, co firma ochroniarska, cela pełna luster, to nie bal klaunów czy pokazy sztucznych ogni.

— Julka... Może zbyt usilnie staram się przekonać cię do tego wyjazdu, ale to dlatego, że wszystko mi się wymyka. Dostałem kontrakt i tracę ciebie. Nie chcę przestać cię kochać

— Jesteś zakochany w sobie i dobierasz do siebie tylko odpowiednie obrazki. Lubisz świat estetyczny, w którym są piękne dźwięki. A życie z kimś to też brzydota, bieda, starość.

Chyba przesadziłam z tym wywodem, bo przecież wszystko było na mnie estetyczne, dobrane i drogie.

— Warto o tym nie zapominać, bo za czterdzieści lat będziesz bardzo zaskoczony. Może nawet bardziej niż teraz.

— Czy mam jeszcze w naszej sprawie coś do powiedzenia...?

— Przykro mi.

Powiedziałam prawdę. Właśnie poczułam, jak strasznie jest mi żal... Wcale nie byłam pewna, że dobrze robię. Przecież zawsze wydawało mi się, że będę się świetnie komponować z kalifornijską plażą, że właśnie tam woda wyda mi się bardziej mokra, słońce jaśniejsze, a ja będę szczęśliwsza...

11.56

Podjechałam pod studio fotograficzne. Spóźniłam się, ponieważ po rozmowie z Cukiereczkiem musiałam zatrzymać się po wodę, bo aż zaschło mi w gardle. Wciąż nie siedziałam, czy dobrze robię. Może pojechać z Piotrem? przecież zawsze będę mogła od niego odejść. Tylko że jeśli teraz z takim trudem mi to przychodziło, to jak zrobiłabym to za miesiąc, dwa, za rok...

12.02

John już tam był. Stał w kącie, rozmawiał ze stylistką, pił sok i uśmiechał się. Ale jak! Istniał jeszcze ktoś na tej kuli, kto potrafił mnie onieśmielić. Jego uroda pasowała do ról pozytywnych zięciów, ponętnych kochanków i drobnych cwaniaczków wykorzystujących swój wygląd do opróżniania szkatulek z rodową biżuterią. Jednym słowem sprawiał wrażenie specjalisty w fachu, który podlegał pod jeden z paragrafów kodeksu karnego. I taki sam był chyba w życiu — rzeński, zalotny, schludny. Miał wytarte džinsy, ale dziury na materiale nie powstały przypadkiem. Były dziełem Icberga. Do tego ten niby niechlujny T-shirt Galliano wystający spod dziwnej koszuli w paski. John patrzył na mnie tak, jakby mówił: „No, chodź do mnie, zerwij ze mnie tę bluzkę, przecież chcesz zobaczyć mój tors”...

Ależ miałam wyobraźnię.

Przywitałam się z fotografem, z jego asystentem, na szczęście tylko jednym, i chciałam podać rękę Joli, odpowiedzialnej za scenografię, ale ona uprzedziła moje powitanie, mówiąc:

— To jakie tło?

— Nie wiem jeszcze, to zależy od ubrania, jakie będzie miał na sobie John — powiedziałam lekko zdziwiona.

— Jak to, przecież będzie bez! — wrzasnęła tak głośno, że myślałam, że wraz z jej okrzykiem zapadnę się pod ziemię.

— Chyba żartujesz? Trzeba go w coś ubrać, by potem móc to z niego zdjąć — uśmiechnęłam się.

I w tej samej chwili podeszła do mnie stylistka Ewa.

— Muszę szybko skoczyć do sklepu, tylko gdzie on jest? Bo John chce umyć głowę!

— Będzie się tu kąpał? — zaniepokoiłam się.

— Ma mnóstwo żelu na włosach, chce go zmyć.

— To nie mógł w domu?

— Julka, może nie spał dziś w swoim mieszkaniu.

No tak, nie przewidziałam takiej odpowiedzi.

Ewka pojechała, a nasz gwiazdor został sam w kącie.

12.14

Szłam powoli w jego stronę.

Miałam wrażenie, że bardziej się cofam, niż brnę do przodu.

A jednak po chwili krótszej, niż sobie życzyłam, stanęłam przed nim.

— Dziękuję, że przyjechałeś — uśmiechnęłam się pojednawczo.

Nic nie powiedział, za to odgarnął włosy tak, jakby mówił „witaj, maleeeeeeeńka”. Spojrzał na mnie w ten sposób, że zaczynałam rozumieć, dlaczego tyle kobiet dałoby się dla niego poćwiartować i wystawić na talerzu kanibala, tego ze Stanów, słyszeliście o nim, prawda?

Zaczynałam wierzyć

w jego talent. Jeśli dalej cierpliwie i uporczywie będzie dbał o to spojrzenie, miał szansę za jakieś piętnaście lat stać się Jackiem Nicholsonem.

— Ładnie wyglądasz — powiedział po chwili.

Długo nad tym myślał.

Cokolwiek by o nim powiedzieć, naprawdę się starał, bo miałam rozczapirzone włosy, to znaczy fantazyjnie po-złączane kołtuny, krzywo nałożony róż i absolutnie nie chciałam się dziś podobać. Nikomu. Tego dnia próbowałam zapomnieć, że wygląd w moim świecie jest bardzo ważny, zaraz po osobowości, znajomości plotek i mody.

— Naprawdę dobry z ciebie aktor, choć mało przekonujący. Jesteś pewien, że aktorstwo to twoje powołanie? — zażartowałam.

— Nie — powiedział serio. Wcale o tym nie myślałem do dnia, gdy ją zobaczyłem...

Rozmarzył się. I to nie z mojego powodu.

— ...i jej zielone oczy... — dodał po chwili. — Przez platoniczną miłość trafiłem do PWST. Do dzisiaj pamiętam, jak na premierze nowego zapachu wody toaletowej w Gdańsku podeszła do mnie i spytała „Czy pan nie zdaje przypadkiem do szkoły teatralnej?”. I wtedy właśnie poznałem swoją drogę. Dzięki niej. A potem nigdy więcej już jej nie widziałem. Szkoda, bo zaraz po skończeniu studiów zadebiutowałem w głośnych produkcjach.

To dlaczego ja o nich nie słyszałam, mądralo? — korciło mnie, żeby zapytać. Ledwo zdołałam sobie wyobrazić, że jest ciepłym, zwyczajnym mężczyzną, takim, przy którym można zdjąć szpilki i pójść po deptaku nadmorskim — a on już wymyślił i, co gorsza, powiedział coś tak pretensjonalnego.

A jednak imponował mi uporem i ambicją, tym, że do jednej z ról nauczył się grać na skrzypcach. Poza tym jeździł konno, także bez strzemion, i fechtował, uprawiał windsurfing, jazdę figurową na lodzie, strzelanie, żeglarstwo, kamasutrę...

Poszedł włożyć głowę pod kran, po chwili zobaczyłam go z pianą na włosach.

Podbiegła do mnie rozdygotana Ewka.

— Słuchaj, makijażystka nie przyjedzie. Jak wracałam ze stacji z tym p... szamponem, to zadzwoniłam do niej, a ona powiedziała, że takie pisemko jak „Ouuups” ma gdzieś, nas też i żebyśmy się wypchali. Odważna ta mała od make-upu, nie ma co.

12.35

Nieźle.

Sesja rozpoczęła się od małego skandalu.

Pora więc na większy — wydałam sobie w myślach komendę.

I zaczęłam działać.

Podeszłam do Johna tak blisko, że nie tylko poczułam zapach Armaniego, ale też wiedziałam, ile i gdzie go użył.

— Po co ci taka koszula pod szyję? Wyglądasz, jakbyś miał zapalenie gardła — wkroczyłam do akcji.

John, stojąc ode mnie w odległości połowy małego kroczonego, z rozmachem rozpiął coś, co

przypominało pizamę sąsiada z pierwszego piętra, w której rano podlewał kwiatki na balkonie. Klata, no, niczego sobie, brzuch bez większych zarzutów, ale najbardziej moją uwagę przykuły bicepsy. To znaczy jeden, bo to wyższa szkoła kobiecego postrzegania umieć równocześnie podziwiać oba. Ja jeszcze jej nie posiadałam. Co gorsza, podziwiałam je jak nowicjuszka. Podniecały mnie bicepsy męskie — oczywiście nie jego, ale ogólnie. Gdy trzymałam mężczyznę za tę część ramienia, czułam się bezpieczna, jakbym miała przy sobie goryla we mgle albo drzewo, które zawsze będzie przy mnie stało.

Teraz przede mną był jednak John: mężczyzna wart stron magazynu „Ouuups”!

Bez dwóch zdań.

Już moja w tym głowa!

— Ty nie możesz go pomalować? — spytałam rzeczowo Ewkę. — Przecież to tylko facet. Nie trzeba mu robić oka, powiększać ust, zmniejszać nosa, zakrywać worów pod oczami, przyklejać baczków, czernić wąsów. Ale fakt, trochę pudru by się przydało. W aucie mam jakieś kosmetyki, zaraz je pozbięram i na pewno super go pomalujesz. Nie przesadzajmy — tendencje w makijażu to jedno, a obowiązek — drugie.

12.54

Szłam do samochodu i czułam, jak letni powiew odbiera mi rozum. Za chwilę miałam przekonać Johna, że malowanie babskimi kosmetykami i przebieranie się to duża radość w życiu mężczyzny, ale rozbieranie w obecności fotografa, jego asystenta, asystenta jego asystenta — to dopiero coś!

W moim aucie na miejscu pasażera, na którym od bardzo dawna już nikt nie siedział, godnie prezentowały się resztki pudru, różu, fluidu. Pod pedałem gazu była wbita szminka, z metalową kulką, a w schowku dwa flakony takich samych perfum. Bo kiedyś, jadąc na ważne spotkanie, zapomniałam, że mam już jeden w samochodzie, więc kupiłam drugi. Co razem dawało cztery — jeden w redakcji, drugi w domu i dwa w aucie...

Tak, to dzięki mnie przemysł kosmetyczny tak dynamicznie się rozwijał.

Z bagażnika wyjęłam kuferek, taką większą kosmetyczkę, którą na wyjazd do Paryża podarowała mi Baśka. A że prezentowała się jak godna makijażu Johna, powrzucałam tam korektory, wyjęłam tusz... I wtedy uświadomiłam sobie, że jedno moje oko wygląda jak po starciu z bokserem. Dlaczego nikt mi nie powiedział? I po co je w ogóle malowałam na światłach między Marszałkowską a Wspólną? To proste, za długo się nie zmieniały. Poza tym chciałam, by ten dzień, ta sesja okazały się warte makijażu. I to, jak się okazało, nie tylko mojego...

13.05

Przyniosłam kosmetyki w samą porę, bo John wyglądał jak transseksualista po poważnych przejściach. Włosy miał ulizane, a nos błyszczący. Był wciśnięty w coś ciasnego w kratkę. Zapropnowałam zmianę ubrania na zieloną bluzę.

— Za mała — burknęła pod nosem Ewka i wyciągnęła z torby pstrokatą koszulę przypominającą tureckie dywany skłócone z arabskimi kilimami.

— Może włożysz tę? — spytała.

Facet w dywanie? Nie miałam pojęcia, jak przekonać Johna i samą siebie, że jaskrawe koszule są takie romantyczne, dekadencjne, wyrafinowane...

Aż tak nie umiałam udawać. Czułam się, jakbym fałszowała dolary. Nerwowo obmyślałam taktykę maskowania prawdziwego celu sesji i starałam się, żeby John mnie na tym nie nakrył. A więc gdy on szamotał się z kolejną za małą koszulką i miał głowę uwieczoną gdzieś na wysokości rękawków, podsuwałam mu następną, jeszcze brzydszą i mniejszą, bo okazało się, że wszystko, co Ewka przygotowała, nie nadawało się na tego rosnącego mężczyznę. Pasował tylko jeden T-shirt, który z impetem rozerwała na jego ciele, tak mniej więcej dziesięć cm przed pępkiem. Odwróciłam głowę, chcąc pokazać, że nie mam z tym nic wspólnego, ale ona znów wrzasnęła:

— Julka, no i po co ta cała maskarada, przecież on miał być goły!

Nie mogłam udawać, że tego nie słyszałam.

— Mylisz się, John miał być seksownie rozchełstany, nie goły. Spróbujmy więc rozpiąć ten guziczek — podeszłam do niego — i jeszcze ten

Dotknęłam jego koszuli.

Jednym słowem robiłam wszystko, by nie stracić posady w bardzo prestiżowym piśmie o wdzięcznym tytule „Ouuups”.

Rozbawiałam Johna, chodziłam jak cień za plecami fotografa Krzyśka, który właśnie rozstał się z narzeczoną i powtarzał, że dziewczyny to k...

Miałam wrażenie, że mówił to słowo przez o kreskowane. Pocieszałam go, że przyroda zna takie przypadki i by zapamiętał sobie raz na zawsze, że tylko brzydkie kobiety wiedzą, czym jest miłość, a te piękne umieją zaledwie uwodzić. No więc nie ma wyjścia — też trzeba je uwodzić szalonymi propozycjami w stylu: seks w środku miasta w przeszklonej windzie na piątym piętrze...

Aż w końcu straciłam wene i rzuciłam z rezygnacją:

— Usiądź, zrobię ci herbatę.

Krzyśiek odwrócił się do mnie i powiedział:

— Jesteś za ładna.

— Na co?

— Żeby ci się zwierzać.

— W tym celu zostałeś stworzony. Więc mów i słuchaj moich rad.

John z tego naszego żalosego dialogu miał się oczywiście śmiać, bo prócz klaty, która powinna być doskonale widoczna na zdjęciu, uśmiech był równie ważny. Nie zapomniałam o tym nawet przez moment. Wtórowałam narzekaniom Krzyśka na kobiety, choć wcale się z nimi nie zgadzałam, dorzucałam do tego kawały stare jak świat, żywcem wycięte z jakiegoś magazynu dla facetów, i co jakiś czas podbiegałam do Johna jak rozpalone dziewczę i mówiłam:

— No świetnie, tak, tylko wiesz co, uchyl troszeczkę ten

Rozdarty T-shirt, bo w nim twoje zęby tracą na urodzie.

Dotykałam tej bluzki, koszulki, jego ciała i o mało co nie piałam z zachwyty, jaki był boski.

Ależ byłam żalosna...

Owszem, może i robiłam coś, o czym marzyło wiele dziewczyn (choć nie, one wolały być modelkami), a mężczyznom to imponowało (choć nie, ich zachwycały modelki). Tylko kosztem czego? Miałam nadzieję, że po powrocie z Francji i po zrobieniu genialnego wywiadu z Escrivo zostanę doceniona, upomnę się o podwyżkę, zacznę spłacać stare długi...

I zaciągnę nowe kredyty.

OK, dzisiaj tym się zajmowałam, ale może niedługo to się zmieni?

Wiedziałam, że czasem trzeba było sobie powiedzieć „trudno”.

A więc trudno.

Inaczej wszystko przypadnie. Poranki z Olą, świat widziany z wysokości szpilek, niezła pensja. Nie stać mnie było na taką stratę, przecież musiałam spłacić długi — myślałam, szperając w swojej torebce i wyciągając błyszczycy, żeby posmarować nim usta Johna.

— Jabłkowy. A ty jaki masz ulubiony błyszczycy? — zażartowałam.

— Wyśmienite pytanie — uśmiechnął się John lśnącymi ustami.

— To błyszczycy powiększający usta, daje natychmiastowy efekt bez ingerencji chirurga. Czujesz? Bo ja zaczynam już widzieć to cudowne działanie wyglupiałam się. Może położymy ci jeszcze nawilżającą rewelację pod oczy? Albo maskę z efektem mikrodermabrazji? Mogę ci podarować jedno opakowanie, przyda ci się na wielkie wyjścia. Ojej, babciu, jakie ty masz wieceelkie usta!

— Używaj błyszczycy, dzięki niemu twoje usta będą wyglądać na wiecznie wilgotne i gotowe do pocałunku. A, i jeśli chcesz przyciągnąć wzrok, noś ciuchy w intensywnych kolorach. To co — zmieniamy koszulkę?

15.40

Teatr wciąż trwał.

John czuł się jak ryba w wodzie, w końcu scena była jego żywiołem. Lubił grać główne role.

Gorzej ze mną.

Starałam się być zabawna i seksowna. Czulałam się coraz bardziej zmęczona. Miałam wrażenie, że ledwo stoję na nogach. Co on miał takiego w sobie, że byłam skłonna się przewrócić na jego widok?

16.55

— Fffiffiinito! — zawołał Krzysiek i podniósł ręce do góry.

Razem wybraliśmy w komputerze najlepsze zdjęcia i już byłby koniec tego kiepskiego dnia, gdyby nie słowa Johna:

— Dziękuję, Julka, to była bardzo zabawna sesja. Czy mogłabyś mi dać kilka fotek, wrzuciłbym je na swoją stronę internetową?

Pewnie marzył o jeszcze większym fanklubie. A ja mu pomagałam w spełnieniu tego pragnienia.

— Zaczekam, aż zgrają się płyty i wezmę jedną dla ciebie.

— Zadzwoń wieczorem, chciałbym je odebrać. Znajdziesz chwilę? — spytał.

Faceci zwykle tak pytają.

I nie słuchają odpowiedzi. Chwilę — na co?

— Pewnie! — uśmiechnęłam się, nim skończył mówić, a przecież powinnam mruknąć: „Nie wiem, czy znajdę dla ciebie czas, jestem taka zapracowana, a potem muszę spędzić czas z rodziną, bo wiesz, wszyscy siadamy do stołu, przed każdym stoi serwetka ułożona na sztorc...”.

Ale nie. Ja po prostu powiedziałam „pewnie!”.

17.15

— Jak było na sesji? Super? — Elka nawet nie spojrzała w moją stronę.

Ależ ona miała wypieki!

Czyżby wymyśliła jakiś genialny sposób na ulepszenie ukrwienia?

— Super. Wyszły niezłe zdjęcia — powiedziałam.

— To chodź do Grzegorza, obejrzymy zaraz płytę, ale jestem ciekawa! Tylko najpierw wybierzemy fotki potrzebne do bieżącego tematu. Do fryzur.

Znów trzeba było zilustrować artykuł nr sto trzydzieści dziewięć z cyklu „Tam, gdzie włos ściele się gęsto”, czyli o depilacji. Grzegorz odpalił komputer z taką powagą, jakby to był pojazd międzyplanetarny, a my wpatrzyłyśmy się w pokrytego sierścią Robbiego Williamsa, którego Baśka, redaktorka od mody, natychmiast okrzyknęła brakującym ogniwem w ewolucji człowieka.

— On się nadaje nie do wydepilowania, ale do potraktowania kosiarką. We włosach na jego kłacie można spędzić podbiegunową zimę — plotła Baśka bez końca, a Grzesz jej wtórował i powtarzał „fu!”. O co mu znowu chodziło? On chyba podrywał Baškę — albo ona jego. No tak, jeszcze sami tego nie wiedzieli. To dlatego Baśka na ostatnim planowaniu proponowała na psychologiczne — moje! — strony test dla dwojga, żeby tak sobie razem rozwiązali i sprawdzili, czy to, co ich łączy, to już miłość.

— Jaki on nieestetyczny, fu! — zawołał jeszcze raz Grzesiek, choć na ekranie był już Sting. Co Sting miał wspólnego z depilacją?

Patrzyłam na zdjęcia, słuchałam argumentów padających z każdej strony i powtarzałam swoje złote zasady: „Po

pierwsze — nie myśl. Po drugie — jak już myślisz, nie mów. Po trzecie — jak mówisz, to przynajmniej nie pisz. Po czwarte — jak już napiszesz, to natychmiast odwołaj...”.

I jak te przykazania miałam pogodzić z wiarą w tezę, że „jeśli się nie angażujesz w pracę, staje się ona tak monotonna, że znużenie ogarnia także twoje mięśnie” — którą przecie? sama napisałam w jakimś artykule! Z trudem więc powstrzymywałam swoją buntowniczą naturę, poskramiałam kreatywność, ujarzmiałam pragnienie mądrzenia się na każdym kroku i szukania poklasku. Wciąż się uczyłam tak zwanej życiowej mądrości i mimo to nie mogłam osiąść podstawowej wiedzy, jak myśleć swoje i udawać delikatną, słabą kobietę, która nie radzi sobie nawet z odkręceniem butelki z wodą mineralną, a co dopiero z odróżnieniem łydki Robbiego Williamsa od bicepsa Robin Hooda.

— O kim ty w końcu mówisz? — przerwałam Grzegorzowi.

— Julka, no i co ty się znowu czepiasz Grzeska? Mówimy już o Willisie. Bruce Willis, OK? Od razu widać, że to facet zbudowany z testosteronu, nie można się z nim nudzić — mądrzyła się Baśka.

— Nie ma zdjęć kogoś innego?

Grzesiek energicznym gestem położył na stole foty wschodzącego gwiazdora serialu Księżycowy szwadron, który błyskał zębami, lśnił naoliwionym torsem, patrzył przymglonymi oczami, których urody nie zakłócała żadna myśl. Był jak wash and go, ze zdecydowanym naciskiem na to drugie.

— On ma wągry pod oczami — zauważyła tajemnicę jego niepokojącego wdzięku Dorota, a my zgodnie po chyliłyśmy się nad stołem.

Nasze biusty pod tym kątem nabrały innego wymiaru Większego.

Wytrzymanie w takiej pozie czterdziestu pięciu sekund nie było łatwe, ale żadna z nas nie rezygnowała. Wyglądałyśmy jak seksowny oddział specjalny. Byłyśmy dowodem na istnienie „uwodzicielskiej mocy obciskających białych topów, które były na topie”, jak doniosła ostatnio nasza redaktorka mody.

Tego dnia wszystkie ubrałyśmy się na biało, a mimo to nikt by nie uwierzył, że jesteśmy dziewczycami.

— Nie to co John... — wtrąciła Aśka z przekąsem.

Wyprostowałam się. Najdłużej była pochylona nad zdjęciami Marta, czyli wygrała w konkursie na wytrzymałość w seksownej, niewygodnej pozie.

Grzesiek chaotycznie rozrzucił kolejne zdjęcia wygrzebane chyba z dawno nieodkurzanych szuflad. To Brada Pitta, to pewnej modelki.

— Spójrzcie na tę niunię, sweet baby. — Grzesiek wdzięczął się do zdjęcia słodkiej blondynki i próbował zrobić tak samo uwodzicielskie usteczka jak ona. Zaczynał zachowywać się co najmniej dziwnie. Zdaje się, że nie radził sobie w sytuacjach stresowych, do jakich niewątpliwie należało wybieranie zdjęć.

Wyglądał na gościa, który w drugiej godzinie kłótni zaczyna gryźć przeciwnika, a w trzeciej — zawisa na kwadrans przy jego tchawicy.

Po kwadransie upada.

Razem z nim.

Wolałam już się nie odzywać.

— Skręca z głodu, jak się na nią patrzy, te włoski cierpią na taką samą anoreksję jak ich właścicielka. — Baśka odłożyła fotki na bok i zaśmiała się zbyt głośno.

Nie, żebym się czepiała. Ale ich naprawdę coś łączyło. Zaczynałam się czuć cichą współniczką tajemnego biuro-

wego romansu. Byłam pewna, że nic z tego nie wyjdzie, ale w końcu kochać każdy może.

— Mnie się to podoba, a wam? — spytała Ela.

Nie wiedziałam, o czyje zdjęcie chodzi, bo Elka rzuciła na biurko swoją najnowszą torbę i wszystkie fotki natychmiast pod nią zniknęły. Torba była tak wielgachna, że Ela chyba kupiła ją na raty. Nie mogłam więc się zorientować, czy wybrała zdjęcie blond niuni, czy Banderasa w lokach, który chyba niewiele miał wspólnego z tematem artykułu, czyli problemem nadmiernego damskiego owłosienia. Chyba że Antonio był jego miłośnikiem... Grzesiek też?

Znowu?

Mogłam nie odebrać, ale dlaczego nie?

Nudziła mi się samotna jazda autem.

— Właśnie cię minąłem — powiedział.

— Tak? A to przypadek czy celowe? Piotrze, dlaczego ty ciągle jesteś, nie przestajesz być, straszysz mnie, wyrastasz ze mnie jak włosy (właśnie, włosy! Które wciąż trzeba depilować). Tylko nie pytaj, gdzie jadę, bo i tak ci nie powiem, a jak zobaczę w lusterku, że pędzisz za mną, wezwę policję.

— Julka, chciałem cię tylko spytać, czy czujesz się już lepiej. Rano byłeś taka rozdygotana, zdenerwowana, jak nie ty.

— Jaka — nie ja? — spytałam.

Nie pochwalałam wścibstwa, ale wciąż pytałam i pytałam... To wielki gest z jego strony, że się o mnie martwił. Nieważne, że ostatni raz, ale zrobił to.

— Nie masz wrażenia, że tracimy coś niepowtarzalnego? Z całego serca chciałem ci dać wszystko. Może masz rację, może nie umiałem.

18.15

A może to ja nie potrafiłam tego wziąć? Może byliśmy jak para pingwinów, które się odnalazły w kręgu podbiegunowym i tak się kiwały obok siebie. Aż w końcu doszło do ważnej chwili — oto stoi z jajem między nogami, które ogrzewał tyle długich dni, gdy wokół szalała noc polarna, zaczął lodowaty wiatr, a on chwiał się z wyczerpania na pokranych stopkach. Ale wciąż czekał. Na nią. Bo pani pingwinowa powędrowała w cieplejsze, bardziej przyjazne rejony, żeby wrócić najedzona do syta. I gdy to zrobiła, gdy stanęli blisko siebie, gdy on już, już miał wrzucić swoimi krótkimi nogami to gorące jajo na jej stopy, a więc miał przekazać coś, co tak długo z zaangażowaniem chronił — jajo wolno sturlało się i na ich oczach wylądowało w lodowej szparze. Wszystko na nic.

18.31

Bibi zerwała się z krzesła i popędziła w moją stronę z takim impetem, że po drodze o mało nie staranowała czyjś stolik.

— Tak się za tobą stęskniłam! — krzyknęła i wskoczyła na mnie, oplatając moje biodra stopami.

Dźwigałam ją, chwijając się na obcasach, i uśmiechałam się przepaszająco do pana, którego kawa wskutek zderzenia z moją siostrzenicą zadrżała na stoliku.

Próbowałam postawić Bibi na ziemi, ale nie dawała za wygraną, uczepiła się mnie jak małpka. Nie było mi lekko, ale cóż. Pochyliłam się razem z nią nad swoją mamą. Zawsze gdy się z nią spotykałam, miałam wrażenie, że był początek dnia, choć zwykle widywałyśmy się wieczorami i ani strój mamy, ani spokój o zmierzchu w żaden sposób nie wspierały mnie w tym odczuciu. A jednak było w niej coś takiego, co nieustannie mobilizowało mnie do startu. Jak poranek.

— Witaj, mamó. Wszystkiego najlepszego, najwspanialsza mamó na świecie i największa szczęściaro.

Nie

każdy

ma tak wspaniałe córki. — Nachyliłam się, by ją pocałować.

Nie musiałam pytać, co u niej słychać. U mamy zawsze wszystko układało się dobrze, bo ona po prostu nie pozwalała, by było inaczej.

— Myślałam, że znów praca cię zatrzyma — powiedziała.

— Nie jest tak źle, mam. Wychodzę z niej jeszcze o własnych siłach.

Posadziłam Bibi na kolanach Moniki. Pogładziłam ją po ręce.

— Pięknie wyglądasz. Może ja też powinnam wydać się za mąż? Ja wniosę do małżeństwa urodę, a on kasę. A zresztą wszystko mi jedno, może być na odwrót — dodałam, bo na moje oko Bułkarz nie wnosił ani jednego, ani drugiego.

— Na ślubie będę szła przed nimi! Mam już sukienkę. — Bibi wciąż była podekscytowana.

— Będzie słodko — uśmiechnęła się do niej moja mama.

— Słodko? — zdziwiłam się. — No tak, miłość to przecież uczucie radosne, słodkie, cukierkowate — broniłam w myślach tej tezy, a wraz z tym Piotra, jakby był ku temu powód.

Chyba był.

Przez chwilę wydało mi się, że powinnam poczuć się za niego odpowiedzialna, za to, że będzie żył beze mnie. Może zabrzmiało to nieco patetycznie, ale właśnie uświadomiłam sobie, że wzięłam na siebie ciężar nieodwzajemnionej miłości.

— Chcesz przez to powiedzieć, że miłość jest jak kolorowa wycinanka w słodkich kolorach, jak mdły placek z konfiturą, jak plamy na obrazach Chagalla, jak porozrzucane landrynki. Tylko że takim cukiereczkiem można się zadławić. — Uśmiechnęłam się dumna ze swojego przemówienia.

— Chagall? — wtrąciła Monika. — A nie czerwona róża zawieszona na niebie, ze łzą na jednym z płatków, coś w stylu Salvadora Dali?

— Czy coś się stało z Bułkarzem? Chcesz nam coś powiedzieć? — zaniepokoiłam się.

— Jeśli tak uznam, na pewno powiem.

— A ty, Julio, co chciałabyś nam przekazać? — mama zwróciła się do mnie.

— Że już wiem, jak unikać kiepskich facetów, bo kilka wieczorów przetwarzałam artykuł na temat książki Nie zależy mu na tobie.

— Po co pisałaś o tych, którym nie zależy? — spytała mama. — Po co traciłaś na nich czas, Julio?

— Pomówmy więc o tych, którym bardzo na sobie zależy. — Próbowałam zmienić temat na ten, który przecież i tak wisiał w powietrzu. Dotknęłam ręki Moniki. — Pomówmy o Bułkarzu. O was. O waszym ślubie. Będziecie mieć przecież dziecko.

— Czy chcesz teraz usłyszeć tezę, że dziecko jest najważniejszym dowodem miłości? — spytała Monika.

Była piękna, była przy nadziei, ale nie wyglądała na szczęśliwą.

— Czy ty chcesz się podzielić z nami jakimś odkryciem, którego dokonałaś na własnym ciele? A może nawet we własnym ciele? — zaniepokoiła się mama.

— Jeśli coś poznawać, to dogłębnie i na maksa. Monika podniosła szklanę z wodą. — Twoje zdrowie, mam.

— A mnie się wydawało, że uczyłam was życia z wyobraźnią.

— I to bardzo skutecznie nas nauczyłaś, przynajmniej mnie, bo moja wyobraźnia okazała się niezwykle bujna — skwitowała to Monika. — Chyba próbowałam uwierzyć w bujdy i zbudować na nich prawdziwe życie. Tylko czy można coś stworzyć z kłamstw?

Zapanowała niezręczna cisza. Mama sięgnęła po kieliszek wina, ja patrzyłam, jak Bibi bawi się z chłopcem przy sąsiednim stoliku.

— A, zresztą! Może i można. Tylko po co? — dodała cicho Monika.

Chciałam krzyknąć — przecież za kilka tygodni wychodzisz za mąż! Za Bułkarza! Zapomniałaś?

Tak mu na niej zależało, to znaczy malowniczo to okazywał. Histeryzował, gdy wyjeżdżała do Stanów, wydzwaniał, by wróciła, bo nie umiał bez niej żyć. A teraz już może? Teraz, gdy Monika potrzebuje jego opieki, wsparcia i miłości za dwoje? Przecież oboje świadomie podjęli decyzję o dziecku, starali się o nie, pragnęli je mieć. Owszem, może nie przewidzieli, że tak szybko spełni się marzenie, ale to chyba nie znaczy, że tego nie doceniali. Przecież to nie była decyzja tylko Moniki!

Powiem szczerze — Bułkarz nie był z mojej bajki. Gdybym miała go jakoś przybliżyć — to wydawał mi się kimś w rodzaju kota w butach. Efecciarz. Jeśli dodałabym do tego, że Monika ceniła szczerłość i dyskrecję, to trudno byłoby mi wymyślić happy end ich historii. Ale bardzo chciałam w niego wierzyć. Tak pragnęłam, żeby Monika była kochana, szczęśliwa, żeby miała ten swój wymarzony dom pachnący ciastem, z ogródkiem, magnolią i jarzębinami pod oknem, gromadką dzieci.

Nie bardzo więc rozumiałam, dlaczego nie wybrała mężczyzny, który miałby takie same marzenia. Dlaczego pozwoliła się wybrać Bułkarzowi! Choć bardzo się starałam, nie mogłam się pozbyć wrażenia, że ktoś taki jak on zasługiwał w jej oczach tylko na tyle uwagi, ile wymaga wypicie jednej kawy, na nic więcej. Nie powinna pozwolić komuś takiemu się do siebie zbliżyć. Mówiłam jej o tym. A ona postanowiła mieć z nim dziecko!

— Ty to masz szczęście do niewłaściwych mężczyzn. — Uśmiechnęłam się do siostry, choć miałam ochotę zadać jej mnóstwo pytań, a każde z nich zaczynałoby się od słów: „Czy wy jesteście oboje poważni?!”.

Mama też wydawała się przerażona tym, co powiedziała Monika, ale nie komentowała. Taka już była. Nie nadawała się do dramatyzowania i rozdzierania szat, do wołania „jak mogłaś!”, „musisz!”, „a nie mówiłam!”, jak to robiły setki innych mam. Można powiedzieć, że była mamą czynu, a nie pouczania. Rozmawiała, dopóki słowa miały sens. Potem już nie komentowała rzeczywistości. Coś, co już się stało, czego się nie uniknęło albo przegapiło — nie zasługiwało według niej na uwagę. Według mamy problem należało rozwiązać, a nie godzinami nad nim rozprawiać, zwłaszcza wtedy, gdy przestał być aktualny.

Natomiast kiedy jeszcze istniał, mówiła: „Zobacz, tu jest twoja przeszkoda, trzeba ją pokonać. Jeśli już wiesz, jak jest wysoka, to skacz!”.

Już nie mogła tak powiedzieć...

Sięgnęła po kieliszek wina.

— I tak wiem, że będziecie kiedyś szczęśliwe, wierzę w to. — Mama jakby czytała w moich myślach. — Za sługujecie na wiele miłości, prawdziwej, a nie udawanej czy lukrowanej — uśmiechnęła się do mnie.

19.34

— Przepraszam, ale muszę odebrać telefon — powie działałam, gdy zobaczyłam w komórce numer Johna.

W samą porę zadzwonił. Co za wyczucie chwili.

Z ulgą odeszłam na bok.

— Zaraz się żenię — usłyszałam.

— Ty też?

— A kto jeszcze?

— Moja siostra za trzy tygodnie miała wyjść za mąż — powiedziałam.

— Nie wiedziałem, że masz siostrę.

Dużo o mnie nie wiedział, szczerze mówiąc, prawie nic. Czyżby zdawało mu się, że jest inaczej?

— Jak to się żenisz? Przecież nie masz rozwodu — zaniepokoiłam się, jakbym była przewodniczącą ruchu odnowy moralnej. I zaraz bez sensu dodałam: — Jaka szkoda...

No tak, przecież mówił mi o scenie w filmie, którą miał odgrywać. Chyba za bardzo przejęłam się Moniką, bo mówiłam trochę belkotliwie.

— To jeszcze rozwód po włosku cię czeka, czyli zabójstwo żony pod pretekstem niewierności. No tak, tego chyba nie ma w twoim scenariuszu... A zakąski ślubne są wykwintne i warte pokusy? — pytałam zupełnie bez sensu.

— Nie, jest tylko ślub, resztę trzeba dopowiedzieć sobie samemu — i żyli długo i szczęśliwie. A co do zakąsek to są wyśmienite Ślązaczki. Z temperamentem i poczuciem humoru.

— Wystarczą? — spytałam. — Już nie kusi cię temperament ciemnookiej Brazylijki?

— Mnie się spodobał twój — powiedział. — I dlatego dzwonię.

Oj, nieźle. Julka, szykuj się na skok na bungee.

— Ja jestem blondynką z zielonymi oczami. Nie zauważyłeś?

— Mylisz się. W głębi duszy jesteś brunetką z południowym temperamentem — powiedział poważnie.

Wydało mi się to wątpliwym komplementem.

— Dobrze, że nie łysym facetem.

Nie żartowałam, bo czasami naprawdę się nim czułam. Szerokie barki, uśmiech odsłaniający za małe zęby, wygolony kark, tatuaż z napisem „Zorro” na lewym bicepsie i przekleństwa na ustach — to ja.

— Tak, wiem, pewnie chcesz się dowiedzieć, czy mam tę płytę ze zdjęciami dla ciebie. Mam.

— Nie, nie o to chodzi — powiedział. — Chciałem zapytać, czy nie miałabyś ochoty zobaczyć ze mną mojego ostatniego filmu, tego, o którym ci mówiłem... Dzisiaj dostałem nagranie. Mógłbym ci je pokazać, gdybyś oczywiście chciała, moglibyśmy zobaczyć ten film razem. Mówiłaś, że jesteś ciekawa...

— Tak, pewnie, świetnie!

Przesadziłam z tym entuzjazmem, zupełnie jakbym została spytana, czy mam ochotę odebrać Oscara.

19.45

Wracałam do stolika i zastanawiałam się, co ja zrobiłam! Patrzyłam na mamę i siedziałam tak, jakbym właśnie połknęła kij. Przypomniałam sobie, jak Kaśka niedawno opowiadała mi, że kolega w pracy dał jej takiego cukierka, że język jej kołkiem stanął. Mogłabym do niej zadzwonić, spytać, co zrobić... Z trudem wydusiłam z siebie, że muszę już lecieć.

— Tylko nie mów, że wracasz do pracy, z której nawet nie jesteś w stanie się utrzymać — wtrąciła mama.

— Oj, mam, czy ja wyglądam na głuptaska? — spytałam.

— Właśnie się zastanawiałam, na kogo ty właściwie wyglądasz, córeczko, i jak żyjesz.

Wiedziałam, kiedy powiedzieć, że na mnie już czas, bo zaraz bym usłyszała wykład, że o siebie nie dbam, że się nie wysypiam, bo skórę mam nie taką, że używam złych kremów, no i że za mało jem, za cienko się ubieram i chodzę na zbyt wysokich obcasach.

— Świetnie żyję, mam. Można przecież żyć luksusowo za grosze — powiedziałam.

— Kochanie, a czy słyszałaś o jakiejś stuprocentowej wyprzedaży? Naprawdę wierzysz w naiwne rady w rodzaju „zerwij z klombu stokrotkę i pocuj, że jesteś w tajemniczym ogrodzie” albo „wypij kawę w ulubionej kawiarni”? A jeśli moja ulubiona jest z widokiem na wieżę Eiffla, to co? Mam powiesić fototapetę? To takie radzenie w stylu „jeśli kochasz naturę, to oglądaj National Geographic!”. Czy to ty, kochanie, piszesz takie artykuły?

— Oj, mam. A co ty jesteś taka na „nie”?

— Bo tak właśnie sobie dzisiaj postanowiłam — powiedziała stanowczo. — Jesteś tym, o czym marzysz, kochanie. Nie wierz w każde słowo pisane, bo to nie Biblia. Nie wierz też w to, że szczęście kobiety to zmysłowy trójkąt: „ty, twoja jedwabna koszulka i twój ukochany”. Bo co zrobić, jeśli ten ukochany jest wtedy z żoną?

A więc to do tego prowadził wywód mamy...

Bała się, że jedna córka wybrała jakiegoś podejrzanego blagiera — kota w butach, a druga?

Mamo...

Ucałowałam ją serdecznie, życzyłam miłego wieczoru, przytuliłam Bibi, pogłaskałam Moniczkę po brzuszku. Szłam do wyjścia i słyszałam słodką piosenkę Bee Geesów, ulubionej kapeli moich rodziców. To przy niej układałam klocki. A teraz z nią w tle podążałam w kompletnie nieznanym mi kierunku. Gdzieś, gdzie nie pragnęłam dojść. Zaraz, przecież ja wcale nie chciałam oglądać z Johnem filmu!

19.55

Zostawiłam mu wiadomość, że za pół godziny czekam na niego w restauracji.

20.04

Po drodze wpadłam do redakcji po gazety. Była jeszcze Dorota.

— Nanoszę poprawki, które zostawiła mi Elka. Prawie cały tekst się zmienił, wiesz, ten o infekcjach ginekologicznych.

— Chyba nie wynalazła czegoś nowego?

— Nie, poprzestawiała tylko zdania, pozamieniała „bo”. „ale”, „przecież”, „albo”, „lub”, „ponieważ”, wiesz, język polski inspiruje do nanoszenia poprawek. No i ktoś to musi wykonać, więc siedzę.

Chciałam ją spytać, czy nie ma czasami ochoty się zbuntować, krzyknąć, zostawić tego wszystkiego i po prostu wyjść.

Ale się powstrzymałam.

Tylko na chwilę.

— Kiedy dostałaś ten tekst, to tak po prostu milcząco go wzięłaś?

— Julia, a co miałam powiedzieć? Miałam jej wrzasnąć, żeby nie mówiła mi, jak mam pisać, bo to zabija moją kreatywność, że więcej stylu i emocji jest w książce adresowej niż w jej wstępniakach? Znasz ten ostatni? Taki a la nekrologi ze szczęściem w sercu. Mam nadzieję, że dziewczyny, które kupią ten numer, przelecą tę stronę, bo inaczej Olki trud i zdarte obcasy w Stanach miną się z sensem. Julka, nie jestem rewolucjonistką, nie chce mi się wyważać otwartych drzwi. Nie chciało mi się gadać z Elką. A poza tym lubię tę pracę. I przecież mam kota na utrzymaniu.

20.45

— Co gotowałeś młodszemu bratu, gdy byliście w domu sami? — spytałam Johna, bo pomyślałam, że wygląda na starszego brata.

— Myślisz, że to ciekawe? — zdziwił się.

Właśnie to mnie interesowało.

A was nie?

Lubiłam poznawać wspomnienia, wczesną przeszłość ludzi, bo ona najwięcej o nich mówiła. Gdy dostrzegałam w mężczyznach chłopców z procą, a w kobietach dziewczynki z szerokimi, idealnie wyprasowanymi błękitnymi kokardami we włosach, wiedziałam, jak z nimi rozmawiać.

— Nie jesteś głodny? — spytałam.

Zamówiliśmy naleśniki. W końcu jedzenie pozwala ludziom łatwiej się porozumiewać.

— Powiesz mi coś o sobie? — usłyszałam.

— Nie rewanżuję się za szczerość. To ja zadaję pytania i to ja jestem ciebie ciekawa, a nie odwrotnie. Prawdę mówiąc, nikt nigdy tego ode mnie nie oczekiwał.

— Więc teraz odwrotnie. Powiesz mi, kto jest ci bliski?

— Rodzina — rzuciłam na odczepnego.

— Zacznijmy od niej — powiedział poważnie, jakby to był pierwszy punkt naszego wspólnego planu.

— No dobrze, powiem o tych, których kocham. Moja siostra, tata, który dotarł na drugą półkulę i wciąż jest w tym samym miejscu. I najważniejsza osoba — mama, która niczemu się nie dziwi, wszystko wydaje jej się proste i możliwe, która mówi: „Nie znasz łaciny? To się naucz. Chcesz być pisarką? To po prostu pisz. Chcesz tańczyć tango? A więc tańcz. Chcesz być terrorystką? Terro... co, kochanie? A co to słowo znaczy, nie ma go w moim słowniku”. Jeszcze dziadek, który inspirował mnie do wielu rzeczy. Wczoraj zadzwonił, żeby mi powiedzieć, że w życiu trzeba po prostu z pasją żyć. I dodał: „Pomyśl, Julio, jak długo się dochodzi do tak podstawowych prawd”. No i jeszcze babcia... Wybacz, chyba się popłaczę — powiedziałam i naprawdę poczułam, że łza pędzi po moim policzku. Sięgnęłam po serwetkę z materiału, żeby ją otrzeć, nie brudząc przy tym serwetki tuszem i nie niszcząc makijażu.

— Gratuluję, Johnie, jeszcze nikomu nie udało się tak szybko doprowadzić mnie do łez — próbowałam się uśmiechnąć.

— Co cię zmartwiło? Dlaczego się popłakałaś?

Bo zabolalo mnie przemijanie. Bo mam coraz więcej wspomnień. Bo w tej restauracji poczułam zapach mięsa, które piekła moja babcia. Bo to był kiepski dzień w moim życiu, a to, co czułam, to taka delikatna sprawa, drżąca w sercu. Bo po prostu zrobiło mi się smutno, czy on

tego nie rozumiał? Nie było to taktowne pytanie.

— Chyba jednak za dużo chcesz wiedzieć.

— Przepraszam, ale chciałbym cię zrozumieć. Ciekawość okazała się silniejsza niż dyskrecja.

— Szkoda, bo bez dyskrecji i niedomówień mnie nie zrozumiesz. Na pierwszej randce wypada raczej spytać o wrażenia z filmu niż z życia, nic uważasz, Johnie? spytałam, odkładając serwetkę.

Niestety, a może właśnie cudownie! Wreszcie miałam ochotę przy kimś popłakać.

— Oczekuję teraz nagrody pocieszenia. Zrewanżujesz mi się ckliwymi opowieściami o swojej rodzinie? — spytałam.

Jadł w milczeniu. Chyba jeszcze zastanawiał się, czy warto cokolwiek mi mówić. Ale ja już znałam odpowiedź. Pomyślałam, że John jest kimś, kogo łatwo byłoby mi zdobyć i bardzo łatwo zatrzymać.

— Mój ojczym zawsze zaprasza mnie do siebie, kiedy jestem w Stanach, i mówi dumny: „Ty też kiedyś będziesz miał taki dom, to jest dopiero prawdziwe życie!”. A ja czuję, że nie o to chodzi. Chciałbym, żeby przynajmniej moja mama, delikatna jak porcelanowa tancerka, powiedziała: „Kiedyś będziesz mógł żyć tak, jak lubisz, będziesz mógł się poświęcić temu, co kochasz”, a nie słuchać wciąż: „Kiedyś będziesz miał taki dom”... Dom pełen szpargałów.

Kurzu. Pustki. Chyba przeraża mnie spokój, spełnienie marzeń. Nawet tych własnych. Bo często one wcale nie są nasze, tylko narzucone przez innych, nie sądzisz? Dlaczego miałbym żyć tak, jak komuś wydaje się, że powinienem? Wszystko zdaje mi się lepsze od życia narzuconego przez innych, przez takich jak mój ojczym. Chyba właśnie dlatego uciekłem do odmiennej rzeczywistości. Dlatego zostałem aktorem.

21.28

Ale zrobiło się sentymentalnie.

Nasze spotkanie zaczynało się przekształcać w lawinę ckliwych zwierzeń. Poczułam lekki niepokój, że za chwilę padną pytania w stylu — a jaką byłaś dziewczynką? Czy strzelałaś z procy? Jakie jest twoje pierwsze wspomnienie? Help...

Trudno, niech i tak będzie, widocznie obojgu było nam to potrzebne.

A na pewno mnie. Czulałam się coraz bardziej zagubiona, a moja terażniejszość wydawała mi się coraz trudniejsza. Dlatego nie miałam nic przeciwko powrotowi do przeszłości. Chciałam być tak bezpieczna jak w dzieciństwie.

— Jaki był dom twojego ojca? — spytałam.

— Nie wiem. Nigdy w nim nie byłem. Ojciec odszedł z mojego życia, gdy miałem dziewięć lat.

— Miałaś do niego żal?

— O co? Jego losem była moja mama, nie ja. A jednak się rozstali.

— Klasyczna różnica charakterów?

— Nie ma czegoś takiego. To nazywa się niezgodnością wartości. Mój ojciec wydawał mi się kimś, kto nie docenił,

co dostał wraz z moją mamą. Poza tym bardzo trudno oceniać kogoś, kto dał ci życie. Zresztą w

jakim celu? — spytał, ale nie uzyskał mojej odpowiedzi.

— Nie znałem go. Zobaczyłem go dopiero, gdy miałem dwadzieścia lat — powiedział po chwili i dodał: — Nie wiem, dlaczego to wszystko ci mówię.

Ale opowiadał dalej.

Może robił to z myślą o sobie, a nie o mnie.

Może sam sobie chciał to wszystko przypomnieć.

— Spotkanie z ojcem to dziwna historia, ale moje życie było pełne zaskakujących zbiegów okoliczności. Wtedy mieszkałem już w Stanach, właśnie szedłem na koncert Stinga. Był piękny ciepły wieczór, dwunasty czerwca, zdałem ostatni egzamin, śpiewałem sobie coś pod nosem, gdy zadzwoniła do mnie babcia, by powiedzieć, że ojciec jest ciężko chory, i spytać, czy miałbym ochotę go zobaczyć. Następnego dnia do niego pojechałem, do innego stanu. Zniosłem mu zdjęcia młodszego brata, bo nie chciał się z nim spotkać. Ojciec nie przypominał mężczyzny, którego pamiętałem. Powiedział wtedy: „Pozwól mi zacząć jeszcze raz”. Wyobrazasz to sobie? Ktoś, kto umierał, kto już na nic nie miał czasu, tylko na powiedzenie „żegnaj”, prosił mnie o szansę. To zdanie długo brzmiało mi w uszach, do dziś pamiętam sposób, w jaki ojciec je wymówił.

Teraz, gdy ci o nim opowiadam, myślę, że trudno było mi go traktować jak ojca. Wydawał mi się trochę zagubionym człowiekiem, który niby szukał swojego stylu, miejsca, talentu, polował na kasę, ale nie potrafił zadbać o to, co zdobył. Miał jedynie talent do niszczenia. Nasze pożegnanie też zepsuł. Długo miałem mu za złe, że powiedział tamto zdanie, że zawarł w nim tak nierzeczywistą prośbę... Czułem, że bardzo lekko obarczył mnie wtedy za swoje życie. A przecież ja byłem tylko jego synem.

— Wiesz, nie umiałem płakać po ojcu. Ani na jego pogrzebie, ani potem. — John dalej opowiadał. A ja zaczęłam się bać — zawsze tak było, gdy ktoś mi się zwierzał. Bo słuchanie ludzi przypominało mi wybieranie ubrań. Chciałam, żeby zachwyciło mnie coś od razu, nie wymagałam, żeby ktoś mi pozwolił poznać całą prawdę, wszystkiego dotknąć, włącznie z podszewką.

21.45

— Po kilku latach od jego śmierci grałem faceta, który dowiaduje się, że jego ojciec właśnie zmarł na zawał serca. Miałem oprzeć głowę o wąskie okno i przykryć twarz dłońmi. Włączono kamery, poczułem chłód szyby na czole, swoje ciepłe dłonie na policzkach, po czym nagle odsunąłem się od okna, uderzyłem pięścią w ścianę, po chwili — drugi, trzeci, czwarty raz, coraz mocniej, poczułem ból, zacząłem płakać, ryczeć tak głośno, że aż operator wyszedł z za

kamery. Wszyscy patrzyli na mnie, nie rozumiejąc, o co mi chodzi. Jeśli dodam do tego jeszcze informację, że bardzo rzadko płaczę, to sama zrozumiesz, jak było to dziwne. — Uśmiechnął się do mnie i dodał: — Masz kawałek naleśnika na bluzce, nie zgub go.

21.48

Olka miała rację — uwielbiałam swoich rozmówców, kimkolwiek byli i cokolwiek chcieli mi powiedzieć, co nie znaczy, że się z nimi zgadzałam. Nie narzucałam się jednak nikomu z moją oceną i tym bardziej ze sobą, bo wydawało mi się, że nie ma nic gorszego niż kobieta szarpiąca się publicznie ze swoim ego. Łatwo się wtedy potknąć « jakimś niefortunnie wypowiedzianym słowie i przewrócić, a w takiej pozie nie wygląda się sexy, nawet jeśli wyłożyło się na czerwonym dywanie. Już wystarczyło, że widział mnie z załzawionymi oczami. Nie lubiłam się zwierzać Kobieta opowiadająca o sobie ze szczegółami wydawała mi się równie żalosna, jak romansujący facet. To, co czyniło kobietę interesującą, to nie była publiczna spowiedź, tak jak nie była to też spódniczka mini czy głęboki dekolt. Ważny był umiar. Takt. Wszystko powinno idealnie pasować do chwili, sylwetki, sytuacji, dania głównego. Tak jak teraz.

71 5?

Zanim pomyślałam, że już najwyższa pora się rozstać, usłyszałam zbyt obcesowe, jak dla mnie, pytanie:

— Jesteś z kimś?

— Jakiej odpowiedzi oczekujesz?

— Szczerzej. Albo przynajmniej wiarygodnej.

Nie mogłam się mylić: grał *va banque*. Nie widziałam powodu, żeby nie zrobić tak samo.

— Próbuję się rozstać — powiedziałam.

— A czy robisz to ładnie, jak w romantycznej Weronie? Powiedziałas mu, Julio: „Dobranoc! Dobranoc! Odchodzić od ciebie jest tak słodkim cierpieniem, że chciałabym się żegnać aż do świtu?!” — zaczął się wygłupiać.

Wreszcie się roześmieliśmy.

— To co, może teraz zobaczymy mój film?

— Pewnie! — odpowiedziałam.

Czy ja znów powiedziałam „pewnie”?!

22.16

Gdy jechałam do domu, spoglądałam we wsteczne lusterko.

John naprawdę podązał za mną. Tego wieczoru zdecydowanie brakowało mi rozumu. Po co on do mnie jechał? Przecież film był tylko głupim pretekstem. Ależ ja okazałam się naiwna! I w dodatku wcale nie chciałam go zdobyć, poderwać, zbałamucić! A potem wpakować jego zdjęcia do portfela i patrzeć na nie każdego dnia.

Dotknęłam swoich łydek — dobrze, nieogolone! To najlepsza gwarancja, by nie wylądować z

nim w intymnej scenie na kanapie — jak mawiała Kaśka. A zresztą, nie groziło mi żadne łądowanie, bo nie traktowałam seksu jak lotu awionetką, jak sportu ekstremalnego nie znosiłam przypadkowego dotyku.

22.28

No i stało się. John był przy barku w moim mieszkaniu — w jednej ręce trzymał płytę, w drugiej butelkę wytrawnego czerwonego wina Grandę Reserva 1998.

— Mój ulubiony rocznik — powiedział.

Skąd on ją wziął... Przecież nie zahaczyliśmy o żaden nocny monopolowy. On naprawdę przygotowany był na każdą ewentualność! Wyglądał tak samo jak przed chwilą, nic dodać, nic ująć, a ja patrzyłam na niego tak, jakbym miała nadzieję, że może w tej drodze się zestarzał, stracił ząb albo włosy razem z żelem.

No i pamięć — żeby nie wiedział, po co tu za mną przyjechał.

— Cieszę się, że zechciałaś zobaczyć ze mną film. To dla mnie bardzo ważne, krytyka jeszcze go nie widziała, jesteś pierwsza — powiedział niemal jednym tchem i dodał:
Sam nie wiem, dlaczego ci tak ufam.

Już mi ufał?

To źle.

Bardzo źle!

Ostatnie badania z Wielkiej Brytanii udowodniły (ach, ta moja oszałamiająca wiedza zdobywana dzięki pracy w „Ouu-ups”), że uwodzenie i zaufanie to prawie to samo. Przynajmniej prowadzą do jednego. Naukowcy z jakiegoś tam instytutu neurologii odkryli, że decyzję „ufam” pomaga nam podjąć oksytocyna, zwana hormonem przyjemności, która uwalniana jest podczas kąpieli, masażu, no i... SEKSU!!!

Może on jednak chciał mnie uwieść

Może przyszedł mnie poderwać, rozkochać, a potem okraść!

Ależ on miał uśmiech!

Stworzony specjalnie dla mojego magazynu.

— To wino woziłem w aucie, czekało na specjalny moment. Piję je tylko wtedy, gdy nadarza się szczególna okazja.

— A dzisiaj taka jest? — przestraszyłam się.

— No tak, premiera mojego filmu. Z tobą. I mam taką treść, jakbym właśnie pojechał na projekcję na festiwal do Cannes. Wiesz, praca za granicą dla polskiego aktora to jakby stawanie od nowa na starcie, a ja, mimo że mam korzenie amerykańskie, jestem jednak Polakiem. W Stanach, we Francji czy w Rzymie nikt o tobie nic nie wie. Liczy się tylko to, co potrafisz.

Uf, już myślałam, że powie: „Nasze spotkanie, to przeznaczenie, bo jak zobaczyłem cię dzisiaj, jak usłyszałem twój głos, to...”.

A właściwie dlaczego nie chciałam tego usłyszeć? Przecież byłam sama, szukałam wielkiej miłości. I wiedziałam, że przy Johnie nic nie znajdę.

A jednak spędzałam z nim wieczór.

Może czymś mnie kusił.

Może?

— A jak niby mają cię widzieć? — spytałam.

— Wiesz — zaczął po chwili — to zupełnie inna rola niż te, które dostawałem do tej pory.

22.38

O ile dobrze pamiętałam, John grał cały czas takich jak on — ładnych chłopczyków. Z lekkim zarostem i w pachnącym garniturze, których jedynym kłopotem było to, że dostrzegło ich niewystarczająco dużo dziewczyn. Że też jakiś reżyser wreszcie wpadł na pomysł, by to zmienić. Obsadzając go w roli bandziora, miał szansę przejść do historii kina!

— Gwałciciela? — uśmiechnęłam się dziewiczo. — Mam nadzieję, że tylko w filmie.

Podalam kieliszki.

Na szczęście miałam jeszcze dwa takie same. Reszta to były pojedyncze egzemplarze po wytrzebionych kompletach.

— Nie powiem, w życiu też zdarzyło mi się kilka skomplikowanych historii miłosnych, ale na szczęście mam je już za sobą. Możesz czuć się bezpiecznie. A jak u ciebie? Rozstałaś się w końcu czy nie?

— Nic się nie zmieniło od czasu, gdy o tym rozmawialiśmy ostatnio.

— Pytam, bo prawdę mówiąc, nic nie zrozumiałem z twojej opowieści. — Stała niebezpiecznie blisko mnie i wydał usta jak Jennifer Lopez!

— To dobrze, bo to nic takiego, o czym warto opowiadać i tym bardziej rozumieć. Życie nie jest kolorowym musicaliem, Johnie — powiedziałam poważnie.

Byłam niezła w takich romantycznych wynurzeniach. Brzmiały tak dźwięcznie, jakby wychodziły z głębi serca.

— To zupełnie jak ja.

— Tylko że twoje „ja” to nie moje „ja”. Moje „ja” to nie oczy, biodra, biust.

To przyzwyczajenie do błędzenia.

Nawyk korzystania z komórki.

Nieumiejętność prowadzenia rozmowy takiej, jaka się właśnie toczyła Niechęć do nieomyślności tych, których spotykałam.

— Pozwolisz, że to ocenię. Twoje „ja” z wyglądem eksperta z kącika złamanych serc dziewczycich doskonale predysponuje cię do reklamy chusteczek do otarcia łez albo choćby eliksiru na wątrobę dla kobiet, które wpadły w alkoholizm z powodu nieudanej miłości. A moje „ja” nadaje się do wielkich ról, w których nie ma sceny skoku z mostu. Poza tym nikt poza tobą nie wymyślił w wywiadach tyłu przedziwnych opowieści o swoim życiu. Nikt w tak imponujący sposób nie zabiega o względy fanek i nikt tak mocno nie wierzy w to, że każda kobieta chciałaby być jego dziewczyną. Każda oprócz mnie.

No i Kaśki.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Nie robił postępów. Wciąż trenował to samo zdanie. Zaciął się. Niby rozmawiał ze mną, ale

wciąż pytał sam siebie głośno, miarowo i systematycznie o coś, co mogłoby być długo analizowane na zajęciach z logistyki podrywania. Pytał, ale byłem pewna, że nie chciał znać mojej odpowiedzi. Chciał mnie tylko zdobyć.

— A ty myślałeś, że co?

— Chodź już lepiej zobaczymy ten film. — Włączył odtwarzacz.

Usiadłam na czerwonej kanapie daleko od fotela Johna.

Potrzebowałam dużo przestrzeni, żeby się dobrze czuć. I jeszcze wygodnych butów, dobrego słowa i luksusu. Tym luksusem była dla mnie delikatność starych obyczajów, wolność i możliwość decydowania o sobie.

Lubiłam tę kanapę. Uwielbiałam kolor czerwony. Nie aż tak, żeby mieć całe mieszkanie w tym kolorze, ale obraz nad moją głową też był w czerwieni. Akt.

Popiłam tyk wina.

To było najmądrzejsze, co mogłam w tej chwili zrobić.

Patrzyłam na pierwszą scenę filmu. John pływał w basenie, pół ekranu znajdowało się pod wodą, słychać było przytłumioną muzykę transową. Jak dla mnie — ta scena mogłaby się nie kończyć.

Dawała spokój i przywracała wiarę w słowo „zawsze”.

Zawsze, kiedy jestem zdenerwowana, lubię pływać.

Zawsze potem idę na bicze wodne.

Zawsze przed pływaniem nakładam odżywkę na włosy.

Zawsze...

22.45

— Zastanawiam się, dlaczego razem spędzamy ten wieczór — powiedziałam.

— Bo jestem ciekawy twojej prawdziwej twarzy, tej zza dymnej zasłony zaangażowanej pięknej dziennikarki — powiedział lekko zirytowany.

— Angażuję się we wszystko, co robię. Nie obchodzi mnie nic, co jest chłodne.

OK, kłamałam.

Lubiłam chłodne napoje...

— To tak jak mnie — usłyszałam.

Ależ on zgodny!

Tylko jakoś wciąż nie mogłam się zorientować, czy tak naprawdę myślał, czy może przytakiwał, bo tak było najłatwiej.

22.52

— Nie wiem, dlaczego chcesz mnie obrazić — powiedział nagle.

Znowu...

Ta rozmowa zaczynała przypominać mi film, który już dobrze znałam, którego ścieżka dialogowa wydawała się oczywista, a jednak nie mogłam się od niego oderwać.

— Wciąż drwisz z tego, co mówię, Julio. Gdybym nie

chciał dowiedzieć się czegoś o tobie, sam obejrzałbym ten film w domu. Też mam DVD.

22.59

Mogłam tylko milczeć i wpatrywać się w ekran.

Albo po prostu zasnąć.

Lub wrzasnąć z przerażenia, bo John wyglądał na filmie paskudnie.

Był gruby.

Odrażający.

Brudny.

Wściekły.

Zły.

— Wiesz, wciąż jestem zaskoczony, że bycie aktorem to nie tylko gra — powiedział mało odkrywczco.

Zaczęło mi się zdawać, że spędzam wieczór z Tomem Cruise'em, on też plótł takie mądrości.

— A mnie się wydaje, że odtwarzam w życiu role, mówię kwestie, gram, jakby mnie w ogóle nie było — oznajmiłam.

— Właśnie to czuję.

Chyba wypowiedziałam bardzo niestosowne i nieostrożne zdanie, bo nagle wstał, nachylił się nade mną i powiedział-

— Tutaj jestem, tam mnie nie ma. I chcę tu być. Rozumiesz?

Spokojnie, nie wyciągnął noża, nie rozciął mi stanika i nie zgwałcił na szklanym barku ani na sofie babuni, bo jej nie miałam.

Spokojnie, włoski na moich łydkach dzielnie rosły, skutecznie wspierając moje ego.

Dyskretnie zerknęłam na prawie pustą butelkę po winie, potem na zegarek.

23.09

Zbliżała się 23.10.

Wreszcie to zauważył, bo powiedział:

— Wiesz, muszę już lecieć, jest tak miło, ale rano mam nagranie. Nie chcę jednak odchodzić. Tak dziwnie się czuję.

Pewnie czekał, aż powiem: „Słuchaj, tu jest kanapa, spokojnie, nie krępuj się, możesz spać” (tylko nie mów mi, że śpisz nago, brrr!).

— Nie przywykłam kłaść świeżo poznanych gości na mojej kanapie. Doceniam i szanuję jej materiał i fakturę.

— Rozumiem — skłamał.

— A w poniedziałek lecę do Paryża. Czeka mnie tam długi i trudny wywiad. Muszę się jeszcze do niego przygotować — dodałam.

— Z kim?

— Z Escribo. Pewnie go znasz?

— O, z Escribo... — niemal zachłysnął się z zachwytu. — Nie znam go osobiście, ale słyszałem o jego kaprysach, o trudnym charakterze Podobno odmawia wywiadów, to dziwak. Jak

ci się udało go przekonać?

Co za pytanie, po prostu napisałam list.

Potem drugi.

Trzeci...

Następnie skontaktowałam się z jego agentem.

Później zadzwoniłam.

Jeszcze raz.

No i wreszcie się odezwał.

Trochę to trwało, a nawet bardzo długo.

Ale się udało.

— Wysłałam mu swoje zdjęcie topless — zażartowałam.

— A, też bym się zgodził.

Popatrzył na mnie w taki sposób, jakbyśmy od ponad roku byli parą i jakby czekał, aż do niego podejść, przytulić, szepnąć miłe słowo na pożegnanie, dodam odwagi. Znow miałam szesnaście lat.

23.13

Nie.

Coraz bardziej nie podobało mi się moje odbicie w jego oczach. Zniekształcało mnie.

— Nie bój się — powiedział, gdy odruchowo się odsunęłam, kiedy wstał.

— Chciałbym, żebyś wierzyła w moje słowa. Jestem z tobą szczerzy, Julio. Po prostu bądź sobą.

— Dlaczego tego chcesz? — spytałam.

Niepotrzebnie.

— Dlaczego? Bo może właśnie ciebie szukałem... Zresztą nieważne.

23.17

— Jutro wieczorem mam premierę w teatrze, potem będzie bankiet. Byłoby mi bardzo miło, gdybyś przyszła.

Zastanów się, proszę — powtórzył.

Przecież mówiłam mu, że nie znoszę bankietów, że nie interesuje mnie odnotowanie w rubryce towarzyskiej mojej osoby przy jego boku. I mimo że czułam, iż moje miejsce nie jest przy nim, wszystkie emocje grały mi walca, a nogi same się ugiwały.

— OK — powiedziałam.

I myślałam już o chwili, gdy on wreszcie wyjdzie, krzyknie za drzwiami bye... Jednak on wciąż nie zamierzał tego zrobić.

— Cieszę się i zazdroszczę ci tego wyjazdu. Będąc kiedyś w Paryżu na castingu, po raz pierwszy poczułem, że mogę dużo osiągnąć. To miasto przyciąga nie tylko sztuką, ale i romantyzmem. Opowiem ci o tym innym razem. Mogę u ciebie zostawić samochód? Zamówię taksówkę, bo trochę wypięm.

— Nie ma problemu — powiedziałam.

— Ale będę musiał przyjechać po niego przed dziewiątą. Wpuścisz mnie do garażu czy mam teraz wystawić auto na zewnątrz?

On mnie prowokował.
Sprawdzał.
Denerwował!
— Wpuszczę — powiedziałam.
— A opowiesz mi kiedyś o sobie?
— Po co?
— Chciałbym cię poznać Po prostu. I proszę, nie analizuj tego. Nie oceniaj, nie wyciągaj pochopnych wniosków na mój temat. Jestem tylko facetem. Pod maską mam prawdziwe emocje i lęki.
Przytulił mnie na pożegnanie.
Tak przycisnął do siebie, jakby chciał kawałek mnie zabrać. Bez słowa wyszedł.

23.25

Tego wieczoru Piotr próbował się ze mną skontaktować trzy razy. Nie zostawił żadnego nagrania.

sobota

00.15

Nie mogłam spać. Włączyłam jeszcze raz jego film. Znow mu się przyjrzałam. Uwodził mnie, to fakt, ale robił to w taki sposób, że bym odnosiła wrażenie, że to ja mam do niego słabość. Podawał mi rękę, a mnie się wydawało, że to ja ją wyciągam. Nie mówił „chodź do mnie, słoneczko, ja cię przytulę”, choć jego oczy właśnie to wyrażały. W scenie pożegnalnej zagrał przede mną faceta, który tak mnie przytulił, jakby marzył o tym od dzieciństwa. Za dużo mi powiedział o sobie, o mamie, o babci, o kobietach, dla których nie on sam się liczył... Powtarzał, że miał dosyć tych miłości, że chciałby stworzyć prawdziwy, ciepły dom, rodzinę, mieć żonę, dzieci. Dlaczego mi mówił to wszystko? Dlaczego obarczał mnie takimi zwierzeniami? Dlaczego robił to, nie pytając, czy chcę tego słuchać!

Nie powinnam tego zostawić bez komentarza... Nalałam sobie resztkę wina, włączyłam komputer, muzykę i napisałam do niego list:

Mówisz: „prawda jest taka, że”, a ja myślę — „może?”. Boję się wierzyć w słowa, którymi opowiadasz o sobie, choć nie wstydzę się tego strachu. Mówisz o czystych kartach, o otwartości. Porywasz swoją pewnością, przekonaniem, że w życiu warto walczyć tylko o to, co ważne i prawdziwe. Wiem to. Przykro mi, Johnie, ale nie interesuje mnie twój świat i to wszystko, co jest wokół ciebie. „Kalkulacja „ — to też nie dla mnie. Za bardzo cenię życie. Może kiedyś to „coś” zrozumie, poczuje — na chwilę, na moment, na zawsze... Dlaczego piszę właśnie do ciebie? Dobre pytanie. Oswajanie? To chyba też trafione słowo. Czasami czuję się jak róża, a nawet słyszę to od innych. Mam jednak nadzieję, że moje kolce nie są tak bolesne. Julia

00.27

Julio, powinienem podziękować losowi, że postawił Cię na mojej drodze, że zadajesz mi pytania, które są niewygodne, że widzisz więcej i zmuszasz mnie do szukania odpowiedzi. Jednocześnie zaczęłaś szukać powodu, który dałby Ci prawo do samoobrony, po co to robisz? W obronie swojego terytorium? Jednocześnie dokonujesz gwałtu i agresji, jak barbarzyńca, który nie odczuwa lęku przed świętością drugiej istoty. No więc dobrze, zgadzam się na wszystko, Julio. Będę taki, jak mnie namalujesz, tylko maluj mnie pięknie, daj mi swoje zaufanie i radość, nie podważaj, nie oceniaj, nie rozliczaj. Czy kiedyś czułaś się bezpieczna, czułaś, że nie musisz się bronić, że to, co przychodzi do Ciebie z obecnością drugiego człowieka, jest dobre i bezinteresowne, że jesteś po to, aby być i żyć dla niego? Czy Ci się to zdarzyło, czy kiedyś spotkałaś takiego człowieka? John

8.20

Jak nazywa się olej w mózgu wielorybów?

To była moja pierwsza myśl zaraz po przebudzeniu.

A ten, który się żywi tylko liśćmi dębu, jak mu było, jakoś na r...

Dopamina, adrenalina, noradrenalina, serotonina, acetylocholina...

Moja głowa stawała się śmietnikiem niepotrzebnych wiadomości.

Dlaczego je zapamiętywałam?

8.22

Po co napisałam list do Johna? — to była druga myśl.

Spojrzałam na zegarek, przewróciłam się na drugi bok, schowałam głowę pod kołdrę i zasnęłam, choć miałam tylko chwilę poleżeć...

9.02

Obudził mnie odgłos dzwonka, ale nie budzika stojącego przy łóżku.

Dzwonka do drzwi!

Zerwałam się z łóżka, jakby parzyło. Stałam na baczność i wtedy uświadomiłam sobie, że to przecież John: jest kilka kroków ode mnie, za moimi drzwiami! Za późno było na robienie makijażu, selekcyjonowanie ubrań. Narzuciłam szlafrok, zwykły, biały, a raczej szary i mechaty po wielokrotnym praniu, nie jedwabny, i podeszłam do drzwi. Twarzą prawie nie było mi widać, może i lepiej, bo chmara włosów wywiniętych w każdą możliwą stronę skutecznie zakłócała mój obraz.

Stałam boso, oparta o uchylone drzwi.

A przede mną był rześki, świeżutki John.

Podszedł do mnie, obiema rękami dotknął mojej twarzy, odgarnął włosy, przytulił mnie. Szkoda, że nie mogłam na to spojrzeć z boku, bo ten gest wydał mi się jednym z najpiękniejszych filmowych objęć z kina rodzinnego. Zamarłam w bezruchu, przymknęłam oczy, a prawdę mówiąc, miałam jeszcze ochotę na chwilę przysnąć wsłuchana w bicie jego serca. Zastygłam

niczym śpiące kangurze dziecko. Ocknęłam się dopiero, gdy zobaczyłam, że tuż przed moimi stopami, na podłodze mojego mieszkania, na kartce scenariusza leży czarny maty kret!

— Chciałam ci go podarować.

— Ale przecież on jest pod ochroną. Bez ziemi umrze. Ja go wcale nie chcę! — powiedziałam.

— Myślałam, że dzięki sile twojej miłości nawet kret zapomni o tym, że do życia potrzebna mu ziemia — uśmiechnął się.

Niedawno napisałam w najmodniejszym magazynie „Ouuups”, że uśmiech działa jak seksowny strój, długie rzęsy, błyszczące usta, atletyczna budowa ciała —jednym słowem jest skuteczniejszy od najskuteczniejszych afrodyzjaków. Bo jeśli eksponujesz bicepsy, mięśnie, ciało — wzbudzasz pożądanie, jeśli pokazujesz uśmiech mówiący: „jestem szczęśliwym człowiekiem” — jest to zachęta do miłości. John chyba to przeczytał!

I skąd on wziął tego biednego kreta jako rekwizyt do swojego scenariusza! Szukał go rano w ogródku? Podkopał się pod mój dom?

Niepotrzebnie dawałam sobą manipulować. Dlaczego nie szarpnęłam się, gdy mnie przytulił? Dlaczego godziłam się grać główną rolę w krótkometrażowym filmie Tam, gdzie kret śpiewa help?

9.15

Wziął kartkę z kretem i poszedł go wypuścić.

Po chwili wrócił, powiedział, że próba się opóźniła, i spytał, czy może zostać na kawę. Powinnam wtedy powiedzieć: „Tak mi przykro. Bardzo chciałabym się napić z tobą kawy, ale już jestem spóźniona. Wybacz. Mogę ci zrobić tylko na wynos. Chcesz?”.

Zamiast tego powiedziałam:

— Tam jest ekspres, ja poproszę espresso.

Usiadłam przy stole i obserwowałam, w jaki sposób nasypywał kawę, nalewał wodę. Nie chciałam zacząć rozmowy, bo niby o czym.

Miałam go spytać, dlaczego mnie uwodzi?

To proste — bo miał tak w swoim scenariuszu.

Właśnie rozgrywał przede mną akt piąty krótkiej sztuczki o uwodzeniu.

— Nie chcę, żebyś przede mną grał — odezwałam się w końcu.

Podszedł do mnie, ukucnął. Lekko chwycił mnie za ramiona i patrzył w moje oczy. Pomyślałam, że pewnie zaraz usłyszę: „Nie zachowuj się jak dziewczica”. Ale On zrobił zdziwioną minę numer cztery cztery i powiedział:

— Nie gram przed tobą. Jesteś świetną dziewczyną, spędziłem z tobą wspaniały wieczór. Chyba nie zrobiłem niczego niestosownego, przytulając cię na powitanie i przynosząc kreta. Przepraszam, jeśli czymś cię uraziłem.

Nie potrafiłam mu wierzyć.

A jednocześnie nie chciałam się z tego wycofać.

Też umiałam grać, niejedną rolę w swoim życiu już odstawiłam.

9.22

— Słodzisz kawę? — spytał.

I nie słuchając odpowiedzi, mówił:

— Wiesz, Polak to taki typ, który lubi przywalić bliźniemu. Nie tak dawno siedziałem w knajpce z znajomymi. W pewnym momencie jeden z nich, wyraźnie podniecony, oznajmił: „Mam dla was rewelację”. Spodziewałem się, że powie coś ciekawego. Po czym usłyszałem: „Wyobraźcie sobie, że pan — tu pada znane nazwisko — jest ciężko chory”. Wszyscy się cieszą, że o jednego skur... mniej. Rozumiesz? Musimy bronić się przed bylejakością, egoizmem, brakiem wartości. Jedni mówią, że to kryzys ekonomiczny. Że dlatego mniej czytamy książek, rzadziej chodzi my do kina... Czy to jest tylko kryzys ekonomiczny, czy może jednak kryzys wartości? To samo dotyczy relacji międzyludzkich. Odnoszę wrażenie, że w dzikiej pogoni za pieniądzem i karierą ludzie izolują się od siebie. Ataki terrorystyczne, wojny paradoksalnie sprawiają, że ludzie odczuwają brak tych więzi i potrzebę zbliżenia się do siebie. Rzeczywistość, która nas otacza, zmusza do zadawania sobie pytań o to, co jest naprawdę ważne.

Mówił tak, jakby chciał obwieścić mi trzy prawdy:

1. Nie jestem cynicznym facetem.
2. Mam ogromną wrażliwość.
3. Nie oceniam po pozorach. Przyjrzyj mi się jeszcze raz, Julio.

No więc patrzyłam.

9.37

Najpierw miałam wrażenie, że gada jak na wiecu.

A potem poczułam, że mnie wzrusza.

Stopniowo osłabiał mój opór.

Zdawało mi się, że wraz z kolejnymi słowami coraz bardziej wkręcam się w każde z nich. Wolno wkręcałam się w niego.

— Pyszną kawę zrobiłeś — uśmiechnęłam się.

— Pięknie wyglądasz, Julio, o poranku. Naprawdę cieszę się, że tu jestem, że ty jesteś, ale muszę już lecieć.

Ależ on był miły.

Tego chyba nie było w scenie siódmej tego samego filmu.

Prawda?

9.45

„Wiem, że źle zrobiłem, pokazując ci swoje emocje i przyznając się do nich, jednak problem

tkwi chyba w tobie, nie we mnie. Miłej soboty, Julio” — John wysłał mi SMS-a, jak tylko wyjechał z garażu.

Miał rację. Po raz pierwszy mężczyzna w moim życiu miał rację.

„...ale to nie jest chyba powód, by mnie tak karać” — dorzucił po chwili.

„To nie jest problem twoich emocji, ale twojego życia” — odpisałam.

10.05

„Dzisiaj jest premiera mojego spektaklu w teatrze, jeszcze raz serdecznie cię zapraszam. Chciałbym, żeby nie zabrakło tam ciebie. Będę czekać — napisał. — Zostawię w kasie zaproszenie na twoje nazwisko. Przyjdź, proszę. Do zobaczenia wieczorem, Julio”.

12.05

Dzień mijał mi tak, jakby w ogóle go nie było. Po wyjściu Johna czytałam, krzątałam się w tym szlafroku bez sensu. Nie wiedziałam, czy iść na premierę, czy nie. Bo jeśli pójdę, to będzie oznaczało, że mnie ciekawił.

Nie interesował mnie.

Ale wydawał mi się szansą na zdecydowane odejście od tego, czego teraz nie chciałam, przypominał mi most, po którym można przejść na drugi brzeg, drogę, którą można uciec.

Od Piotra.

13.55

Cukiereczek zadzwonił, gdy z ogromnym zaangażowaniem próbowałam wcisnąć się w burgundowy gorset.

— Wypijesz ze mną kawę?

— Dziękuję, już piłam.

— Powiedziałaś kiedyś, że nawet jak się jest bardzo zajęтым, ale się chce, to zawsze znajdzie się czas, by wypić z kimś kawę... Kiedy wracasz z Francji?

— We wtorek, o ile nie zmienię zdania.

— Nie masz rezerwacji?

— Mogę ją zmienić.

— No cóż... Paryż to piękne miejsce. Kiedyś chciałem cię tam zabrać. Do Kalifornii też.

— Piotrze, nie mogę z tobą jechać do Monterey, przecież na pewno to rozumiesz. Ten wyjazd byłby tak podejrzany, jakbyśmy rozpoczynali wspólne życie, jakbyśmy kupowali dom na kredyt. A co byłoby dalej?

— Może kiedy go splącimy, to się rozstaniemy, może zrobimy to wcześniej, a może się pokochamy? Wszystko może się zdarzyć, nic nie jest pewne, Julio.

— Pewne jest tylko to, że masz talent, Piotrze.

— ...talent do zanudzania cię, do zwierzania się tobie, do kochania ciebie.

— Ale...

— Poczekaj jeszcze, Julio. Nigdy nie miałem okazji ci powiedzieć, że moje życie zaczęło się

od chwili, gdy cię zobaczyłem. Nigdy nie pytałaś mnie, kiedy to było, dlaczego chciałem zaprosić cię na swój koncert, skąd miałem twój numer telefonu. Teraz chcę ci to powiedzieć. To było kilka minut po tym, jak ostatecznie przerwałem nagranie mojej pierwszej płyty. Poszedłem do restauracji, w której siedziałaś z książką. Jadłaś naleśniki i czytałaś. Nie widziałaś ludzi wokół siebie. Mój kumpel, fotograf, powiedział, że cię zna. Gdy zauważył, że nie mogłem oderwać od ciebie oczu, westchnął: „Tak, rozumiem”. Wybłagałem, żeby podał mi twój telefon. Zgodził się. Twój obraz został mi przed oczami, wracał do mnie, z każdym kolejnym dniem zaczynał pomagać mi żyć. Kiedy szukałem innego brzmienia mojej płyty, zastanawiałem się, co byś o niej pomyślała. Chciałem ci zaimponować. To dla ciebie nagrywałem i robiłem karierę. Sprawiałaś, że to, co robiłem, miało sens. Pamiętasz, jak wysłałem ci kartkę z gór? Potem następną. Chciałem ci mówić o sobie. Może kiedyś spotkam jeszcze kogoś tak bardzo wypełniającego moje życie jak ty, Julio. Napisałem dla ciebie większość swoich utworów.

14.15

Piotr to właśnie wymyślił, prawda?
To był tekst z jakiegoś filmu, tak?

14.35

Naleśniki.
Widział, jak jadłam naleśniki.
Stale jadłam naleśniki i czytałam książki.
A więc może jednak Piotr mówił prawdę?

15.05

Piotr.
Wrażliwy.
Błyskotliwy.
Zlekceważony.
Tak?
Zawiedziony?

15.35

Piotr to już przeszłość.
Piotr to już przeszło...
Piotr to już...
Pio...
Jadąc w kierunku domu, starałam się cały czas myśleć o Johnie, ale zdaje się, że niewiele mogłam wymyślić, bo każde zdanie zaczynało się od „może”.
Może on jednak nie grał.
A może był prawdziwy.

Może to wszystko mówił szczerze, tylko ja próbowałam się do czegoś przyczepić? Może w życiu nie był aktorem, może wraz z zejściem z planu brał kilka głębokich oddechów i prężnym, równym krokiem wchodził w swoje prawdziwe życie.

Może nie udawał.

Może naprawdę coś we mnie zobaczył.

Coś poczuł.

Nie byłabym sobą, gdybym zaraz nie dodała, że niektórym mężczyznom wypadają z ręki łyżeczki od kawy na mój widok, miękły kolana, a ich wyobraźnia rozwijała szerokie skrzydła...

Może powinnam pójść na tę premierę.

Komuś w końcu muszę zaufać, jeśli nie potrafiłam zaufać sobie.

15.48

Zadzwoiłam do Kaśki. Chciałam chwilę z nią pobyc. — Pójdziemy na spacer. Dzisiaj ja potrzebuję natury — powiedziałam.

— Pewnie, to co? Za piętnaście minut na dole? Pojedziemy na herbatę. Znam takie kultowe miejsce, gdzie można ją kupić za dwa złote, jak z Barei. Jeśli wolisz pojechać na czekoladę, nie ma sprawy. Wybieraj, mnie przecież wszystko jedno. A u ciebie coś nie tak, Julka? Prawdę mówiąc, już od dawna mnie martwisz.

— Nie, wszystko dobrze, chciałam się tylko przejść.

16.13

Gdy Kaśka weszła do samochodu i spojrzała na mnie, spytała:

— Co ci się stało? Wyglądasz, jakbyś nie spała rok. A przecież prosiłam cię wczoraj, żebyś wcześniej poszła spać.

— Ostatnio mam problemy ze snem — skłamałam.

Problemy — to słowo już od kilku ładnych tygodni robiło w moim życiu zawrotną karierę. Już dawno przestało się pojawiać jako luzackie no problem, wypowiedane chętnie i z wiarą w istnienie życia bezproblemowego i w to, że słowa nazywają nasz świat.

— Dzisiaj się musisz wcześniej położyć spać, przecież nie możesz tak wyglądać na lotnisku w Paryżu!

To prawda. Na żadnym lotnisku świata nie mogłam tak wyglądać, bo miałam obsesję, że właśnie tam dostrzegę mężczyznę swojego życia, a on nawet mnie nie zauważy, bo będę miała zaspane oczy, potargane włosy, źle dobraną torebkę, beznadziejny makijaż! No i on usiądzie z boku, poczyta gazetę i spokojnie wsiądzie do innego samolotu. Dlatego gdy gdzieś leciałam, wyglądałam na bardzo starannie ubraną kobietę z klasą. Taką, która zachwyci zarówno elokwentnego specjalistę od europejskich negocjacji, jak i fantazyjnego mistrza surfingu. Bo w końcu nie wiedziałam, czym ten mężczyzna mojego życia miałby się zajmować.

— Ja też nie mogę spać — dodała po chwili głosem zranionej niewiasty. — Wczoraj w nocy uświadomiłam sobie, że tak naprawdę nie wiem, przy kim warto się zatrzymać. Nie

wiem, co powinnam, a czego nie. Może ominęła mnie jakaś szansa, kiedy byłam w tym chorym związku. Pamiętasz mojego psychologa? Może wtedy straciłam swój czas?

Kaśka mówiła dokładnie to, co czułam.

— A ja straciłam złudne wrażenie, że jestem nieomylna. Nie umiem unikać błędów.

— Chodzi ci o Piotra?

— Skąd wiesz?

— Oczywiście nie od ciebie, ale wiem już od kilku dni. Spotkałam go przypadkowo, może nie uwierzysz, ale to prawda. Można powiedzieć: los tak chciał. Dziwiłam się, że tak długo nie mówisz mi o jego propozycji wyjazdu.

— Piotr za dużo ode mnie oczekuje. On chce mojego rzetelnego „tak”, a ja kieruję się kaprysem, przypuszczeniem, błędem, a nie rozsądkiem. Jednocześnie mam wrażenie, że uzależniłam się od tego, że on był gdzieś obok. A teraz mam tylko ochotę rzucić się na niego z pięściami, że mi to zrobił. Błądzą, Kasiu.

— Jeśli to prawda, że proponował ci wyjazd, to faktycznie całe twoje życie może zależeć od błędu — powiedziała bardzo poważnie.

I co gorsza, miała rację.

— Dzięki, Kasiu, nie zawiodłaś mnie, moja mądra przyjaciółko — zadrwiłam.

— Druga rada jest taka, że powinnaś spędzić wieczór z kimś innym. Zwykle lekarstwem na problem z jednym facetem jest drugi facet.

16.25

A może jednak iść na tę premierę...

Los dawał mi szansę.

Może powinnam z niej skorzystać...

W końcu raz się żyje.

Może powinnam przestać się bać i zaryzykować.

I właśnie wtedy postanowiłam, że pójdę.

16.35

— Julka, ty mnie w ogóle słuchasz? Co się z tobą dzieje?

— Tak, *sorry*, ten samochód przede mną jakoś dziwnie jedzie. Masz rację. Może powinnaś komuś zaufać.

— Mam chyba za duże wymagania, idealizuję mężczyznę, z którym chciałabym być. Tak bardzo się boję, że pewne rzeczy trudno mi zaakceptować. Odczuwam ten strach każdego dnia. Dla mnie nie do pomyślenia jest, że facet mi czegoś zabroni. Może jestem mało uległa, nie wiem. Ale mam wrażenie, że spotykam samych pustych facetów bez emocji, których kręci tylko kariera, a kasa przewartościowała zupełnie ich świat. Tak sobie myślę, że jak człowiek się nie zakocha w wieku dwudziestu trzech lat, to potem ma małe szanse.

— Kaśka, co ty mówisz, jesteśmy trochę starsze.

— No właśnie! To, co było dla mnie kiedyś takie istotne, już nie jest, coraz trudniej mnie oczarować, zachwycić, uwieść. Spotykam facetów, którzy sami śmieją się głośno ze swoich dowcipów. Stałam się osobą, do której miłość tak nagle nie przyjdzie...

— Hola, poczucie bezsensu nadchodzi po trzydziestce,

jeszcze mamy sporo czasu. Bądź czujna, nasłuchuj, na pewno przyjdzie. Kaśka, a może ty chcesz jechać z Piotrem do Stanów? Może on szuka właśnie takiej kobiety jak ty.

— Daj spokój, Julka, takie rzeczy to się robi po sześć dziesiątce.

17.34

Zaczynałam tracić czas na zastanawianie się nad tym, co takiego John we mnie zobaczył, a co miał nadzieję dostrzec.

— Julka, czemu przemawiasz tak romantycznie, jakby cię ktoś posadził na fortepianie Chopina? — Kasia traciła cierpliwość.

19.55

— Dobry wieczór.

Nachyliłam się lekko przy okienku kasy w Teatrze Wielkim.

— Na moje nazwisko zostawiono zaproszenie. Chciałabym je odebrać — powiedziałam.

— Dobrze, że pani zdążyła, spektakl zaraz się zaczyna. — Miła pani gorączkowo szukała mojego zaproszenia. — Proszę się pospieszyć.

Nie musiała mnie ponaglać.

Przecież już gnałam, pędziłam przez życie na oślep, na przelaj, z zamkniętymi oczami, bez tchu, bez rozumu, bez sensu, a po co, a po co, a po co tak gna...

19.58

A niech się dzieje, co chce! — powtarzałam to zdanie jak mantrę, przeciskając się do swojego miejsca przez rząd zapełniony równiutko usadzonymi gośćmi.

Mijałam kolana delikatne jak u Calineczki, masywne, aż chciało się na nich usiąść, spowite w dżinsy, czarne spodnie, kolanka średnio opalone pod jasną, szeroką spódniczką, znów czarne spodenki zaprasowane w kancik, z tym że damskie, o, te są w ładnym kolorze, ciekawe, co to za samoopalacz...

Natychmiast po moim przejściu wszystkie kolana znów przyjęły poprzednie pozycje, zwały szereg, przybliżyły się w stylu dowolnym do oparcí foteli stojących przed nimi, szybciotko zatarasowały mi drogę powrotną.

Już nie miałam odwrotu.

20.15

O ileż bardziej męczący był ten świat rozgrywający się na scenie niż moja rzeczywistość. Kobiety, które traciły głowę, bo on przeszedł obok i nawet ich nie zauważył, faceci, którzy nie zawahali się zacisnąć pięści, gdy ktoś krzywo na nich spojrział, szubrawcy na wolności i wrażliwcy w klatkach swoich lęków. I ja wbita w fotel na środku trzeciego rzędu. Zaczynałam tęsknić za moim ulubionym miejscem na czerwonej kanapie, za smakiem herbaty z ryżem i za

książką, którą zostawiłam na szklanym stoliku. Ogarniał mnie smutek z powodu utraty tego wieczoru. Bo zamiast dojść tutaj, mogłam sobie powędrować z pantoflami na obcasie w siateczce do mojego ulubionego szewca, żeby naprawił mi fleki.

A on by się uśmiechnął i jak zwykle powiedział: „Oj, chyba chodzi pani niedobrymi drogami”. I znów miałby rację.

20.51

John miotał się na scenie, pluł na widownię, wierzgał, po czym gwałtownie ukląkł przy króciutkiej spódnicy jakiejś smutnej, wychudzonej nieszczęśnicy. Spojrzał zza jej biodra na mnie. Można by nawet rzec, że się we mnie wbił wzrokiem. Nie było to miłe.

— Będę przy tobie — powiedział.

Jakby do mnie, do biodra tej dziewczyny, do spódnicy, do wszystkich na widowni. Nie mogłam uwolnić się od obaw, że siedziałam stanowczo za blisko sceny, co zakłócało mój odbiór sztuki. Miałam wrażenie, że wszyscy zauważyli, że John przemówił niby tak jawnie i ogólnoludzko, ale jednak do mnie. Skrycie i podstępnie. Chyba odbierało mi rozum...

21.08

Sztuka opowiadała o przemijaniu, o straconych szansach, o rozstaniu z ojcem, o poszukiwaniu przyjaźni między mężczyznami, o dążeniu do odpowiedzi, czym tak naprawdę jest miłość i gdzie ona jest. Skończyła się niedopowiedzeniem. Niby utwierdziła mnie w przekonaniu, że zło jest złe, ale nie nauczyła, co miałabym zrobić, kiedy zobaczę, że dzieje się coś złego. Pozwalała się zanurzyć w tym, co nas odpychało, ale nie podawała koła ratunkowego, gdyby chciało się z tego brudu wypłynąć na powierzchnię. Była zbyt zawikłana intelektualnie, podjęła za dużo zagadnień jak na centymetr

kwadratowy sceny. Ale nie należałoby się przejmować moją opinią, bo nie nadawałam się na krytyka teatralnego. Za dużo oczekiwałam od sztuki. Ta na pewno będzie miała fantastyczne recenzje.

21.23

Coraz bardziej zgadzałam się z opinią, że John z taką samą łatwością potrafił grać mężczyzn zimnych i władczych, jak niepokornych i brykających chłopców w kolorowych skarpetkach, a także samotnych i potrzebujących ciepła zmęczonych życiem facetów. Ta trzecia opcja pod koniec drugiego aktu zaczynała nabierać niepokojących rumieńców.

21.31

Oklaski. Ukłony. Uśmiechy. Posyłanie pocałunków. Bukiety w koszach. Wiązanki. Kwiatki rzucane z balkonu. Och! Ach! Jednym słowem: entuzjazm, euforia i gala. W finale zabrakło

tylko girls z różowymi piórami przyczepionymi do stringów. No i mojego zachwytu.

21.45

Bankiet jak bankiet. Stałam z boku ze szklanką wody i patrzyłam, jak do Johna podchodziło wiele osób w różnym wieku, a on cierpliwie z każdą z nich się witał, podawał rękę, całował w policzek i rozdawał, rozdawał uśmiechy.

Gdy kolejny raz dyskretnie do mnie pomachał, nieporadnie puściłam do niego oczko.

21.59

Ten facet grał mi na nosie, czułam to, a przy tym wyglądał tak zmysłowo, tak męsko i miał takie dłonie... Patrzyłam na niego i myślałam — no dobrze, jeszcze pięć minut poczekam, a kiedy już będziesz mógł do mnie podejść, zrób to najpiękniej jak potrafisz, spytaj mnie o coś mądre, nie zniszcz tej chwili, tego, że tu przyszłam...

22.02

— Cieszę się, że jesteś, Julio. — Musnął moje włosy. — Widziałem cię na widowni. Sam ci zostawiłem zaproszenie, więc znałem numer twojego miejsca. Zaczekasz jeszcze chwilkę? Chwileczkę? — szepnął mi do ucha i podszedł do jakiejś dziennikarki, która czekała na niego przy kolumnie z mikrofonem w ręce.

Słyszałam, jak udzielał wywiadu:

— Mam nadzieję, że ludzie wkrótce zatęsknią do prawdziwych wartości, że zarówno w kinie, jak i w teatrze nastąpi zmiana warty.

Facet perfekcyjny. Tajemniczy, uwodzicielski. Wygadany.

— Nie leży w moim zwyczaju się poddawać. Ale mam alternatywny plan na przyszłość. Nie chcę marnować życia na walkę z wiatrakami, na udowadnianie komuś, że nie jestem amantem albo słoniem. Szkoda mi na to energii.

Bo — może to kogoś zaciekawi — ostatnio zainteresowałem się medycyną chińską. Jedna z energii, dwudziestoczerogodzinna, jest odnawialna, pod warunkiem że nie czerpie się z niej haustami, tylko pije łyżkami. Ja właśnie zaczynam uczyć się sączyć życie i delektować się nim. Pani też tego życzę, dziękuję za uwagę.

Znów podszedł do mnie, znów pocałował dyskretnie moje włosy. Poznawałam jego zwyczaje. Szepnął mi do ucha;

— Chodźmy stąd. Pójdziemy gdzieś, gdzie nie ma ludzi.

— A udzieliłeś już wszystkich wywiadów? — spytałam.

— Nie, ale chodź — powiedział.

Wziął dwie lampki wina i poszliśmy na najwyższe piętro Teatru Wielkiego. Kieliszki postawił

na ziemi, podszedł do mnie, przytulił, a właściwie ogarnął ramionami. A ja po prostu temu się poddałam.

22.09

Przycisnął mnie lekko do ściany i zaczął całować. Namiętnie, delikatnie i wszędzie. Nie potrafiłam tego zatrzymać, bo nie chciałam. Nie wiedziałam, jak zniosę to szczęście, ale chciałam je przeżyć.

Próbowałam patrzeć z boku na tę sytuację, na moje uda, na jego dłoń na moich biodrach, choć wiedziałam, że nie ma takiego zewnętrznego spojrzenia, które jest w stanie stworzyć perspektywę oceniania wszystkiego od wewnątrz. Wiem, że zabrzmi to mało odkrywczco, a może nawet nie na miejscu, ale chciałabym zaznaczyć, że nie wierzyłam, że to, co dotykalne, można mierzyć inaczej niż dotykiem.

A więc tylko dotyk się liczył.

Czułam, jak cała się jeżę na samą myśl, co może nastąpić za chwilę.

A jednak czekałam na nią.

Zaskakiwałam samą siebie.

Bo przecież jeśli byłam stanowczo przeciwko seksowi z kimś, kogo nie kochałam, to jak mogłam pozwolić dotknąć się komuś, o czym istnieniu jeszcze trzy dni temu nie miałam pojęcia?

Odsunęłam go.

— Źle mnie zrozumiałeś, Johnnie.

Przytrzymał mocno moje ramię.

— To ty mnie źle rozumiesz, Julio. Nie umniejszaj tego, co jest, co czuję.

— Co można czuć po jednym dniu znajomości?

— Mylisz się, znam cię dłużej. Nie zdziwiło cię, że tak szybko zgodziłem się na wywiad i sesję? Kiedy wysłałaś mi tego SMS-a, byłem na planie, przeczytałem go głośno i skomentowałem, że to nieco brawurowe, a nawet bezczelne zagranie z twojej strony. Na to reżyser całkiem poważnie powiedział: „Znam ją, zadziorna osoba. Warto, żebyś ją poznał”. Podobno chodziłaś do niego na jakieś kursy filmowe.

— A więc już się poznaliśmy. Chcesz robić relacje z tej znajomości?

Rozbawiło mnie to, że w naszą znajomość została wplątana ekonomia. Wprowadzenie słowa „warto”, przewidywanie zysków i umniejszanie strat.

22.16

— Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że przyszałaś — szepnął mi do ucha. — Tak bardzo się cieszę, że jesteś. Że jesteś tu ze mną.

Wciąż mnie przytulał, dotykał, głaskał.

— Julio... — cały czas szeptał moje imię, jakby się uczył go na pamięć.

Nawet się nie obejrzałam, kiedy zaczęliśmy się kochać Dziko, namiętnie i zachłannie, jakbyśmy byli na bezludnej plaży. Jak para od dawna tęskniących za sobą ludzi, a przecież tak

naprawdę w ogóle się nie znaliśmy.

Co ja robię? — pomyślałam. Ale było już za późno, żeby zachowywać się jak dziewczica. Już poddałam się tej chwili i jemu. Co ma być, to będzie, i niech to będzie najpiękniejsze. Niech ta chwila trwa.

Przytulał mnie, całował. Pieścił. Miałam wrażenie, że robi to zbyt gorączkowo, pospiesznie, zdecydowanie, może nawet brutalnie. Miłośnik przemocy. Przekonany o tym, że to, co się dzieje między kobietą a mężczyzną, mieści się w sferze polowań i zabijania, zgodnie z zasadą, że jeśli kogoś zdominowałeś, siła tej osoby, jej emocje, energia, odwaga — wstąpiły w ciebie. A więc pierwsza zasada brzmiała: uzależnij go, zanim go zabijesz, a potem głośno to wychwalaj, wysławiaj, może nawet stwórz wiersz, pieśń pochwalną albo choćby uroczą plotkę.

Dlatego cały czas do mnie mówił:

— Julio, kochaj mnie...

John walczył o przetrwanie swojego gatunku.

A ja mu w tym nie przeszkadzałam.

Jaki z tego wniosek?

22.28

John przytulił mnie mocno do siebie i jeszcze raz szepnął:

— Kochaj mnie, Julio. Pokochaj mnie.

Jakby miłość była koncertem życzeń.

22.31

A potem przycisnął mocno obiema dłońmi moje uszy i krzyknął moje imię. Bardziej czułam, niż słyszałam jego stłumiony głos, jakbym była zanurzona pod wodą. Roześmiał się jak chłopiec, który pokazał swoją sztuczkę.

— Słyszałaś, jaka tu jest akustyka? Bajeczne miejsce. Przepraszam cię, ale muszę jeszcze wrócić na dół.

— Wiem — powiedziałam.

22.33

Pocałował mnie. A potem odszedł dwa kroki, obejrzał się, wyciągnął jeszcze do mnie dłoń. Gdy podałam mu rękę, przytulił ją do swojego policzka.

— Należymy do siebie bardziej, niż ci się wydaje — dodał jeszcze.

Miałam wrażenie, że zaczyna dopisywać jakąś ideologię do tego epizodu na ostatnim piętrze teatru, który nas na chwilę połączył.

22.36

Patrzyłam, jak wolno odchodził.

Już nigdy więcej nie będę tego widziała.

22.37

Gdy zniknął za zakrętem na schodach, sięgnęłam po swój kieliszek.
— Jeszcze jestem, Julio — wychylił się zza rogu uśmiechnięty. — Zdaje się, że bardzo trudno mi się z
tobą rozstać.
Ale już naprawdę muszę iść. Czy będę mógł jeszcze dzisiaj
do ciebie zadzwonić? Rozumiesz, spodobały mi się nocne
rozmowy z tobą.

22.38

Poszedł. Nie chciałam znać swoich emocji, nie chciałam myśleć o tym, co się stało. Jeszcze nie teraz.
Nie. Ogarnęłam się, pozbierałam. Pięć razy spojrzałam na siebie w lusterku kosmetyczki. Poszłam
prosto do wyjścia.

22.47

John zadzwonił.
— Gdzie jesteś, Julio? Idziemy z aktorami do klubu na imprezę. Świętować dalej premierę. Chodź z
nami, proszę.
— Nie, dzięki, zadzwonimy się jutro.
— OK, jak będziesz chciała, to przyjedź, wiesz, gdzie będę. A jutro, przed twoim wyjazdem, może
pójdziemy razem coś zjeść? Zadzwonię do ciebie. Całuję.

23.25

Stałam pod prysznicem, patrzyłam, jak woda zalewała łazienkę. Co ja zrobiłam? Do cholery, co ja
zrobiłam? W tle rozbrzmiewała muzyka Albiniego. Doskonała chwila na słuchanie

ada **niedziela**

9.02

Adagio.
Znów Albinoni. Filiżanka kawy bez cukru. Magazyn „Femme Actuelle”. Alternatywne opowieści
o życiu. Wszystko, tylko żeby nie myśleć o własnym. O tej historii, która zaczęła się od zbyt
gwałtownego happy endu.

9.35

Zaczynałam wyglądać na kobietę, która słucha rano adagia.

No dobrze, już najwyższa pora, żeby to zrobić...

Powędrowałam do komputera, by zobaczyć fotki z wczorajszej premiery, czy przypadkiem nikt ze wścibskich fotoreporterów nie pstryknął mi zdjęcia, kiedy stałam przez chwilę obok Johna.

Wciąż czułam na sobie jego dotyk, pamiętałam spojrzenie, słyszałam jego słowa...

Włączyłam komputer, wpisałam stronę, na której wdzięcznie prezentowały się wszystkie imprezy z wczorajszego wieczoru w stolicy, i zaczęłam przeglądać zdjęcia. Uf, nie było mnie. Był za to John w takiej pozie, w innej, z uśmiechem, bez, z kieliszkiem, obok producenta, obok innego aktora.

Weszłam na inne imprezy tego wieczoru.

Jedna z nich to była ta, o której mówił mi John, na którą mnie zapraszał.

Otworzyłam pierwsze zdjęcie.

Lokal jak lokal, miły, drugie, trzecie, czwarte... i nagle ujrzałam Johna.

Tego samego Johna w objęciach nijakiej brunetki i podpis: „Tych dwoje od dawna ma się ku sobie, coraz częściej można ich zobaczyć na różnych imprezach — czyżby to kolejna wybranka Johna, czyżby miłość pukała do ich drzwi?”. Poraziła mnie stylistyka tego komentarza, wulgarny typ urody brunetki, rozchełstana koszula Johna — i moja zdziwiona buzia odbita na ekranie laptopa jak w lustrze.

Otworzyłam jeszcze raz to zdjęcie, by być pewna tego, co zobaczyłam.

Nie myliłam się.

Stał i obejmował jakąś czarnulkę — no tak, przecież to zadeklarowany miłośnik czarnulek wszelakich!

Gdyby wiedział.

Gdybym wiedziała...

9.55

„Czy zdążymy wypić ostatnią kawę?” — przeczytałam SMS-a Piotra. Popłakałam się.

W oczach Piotra byłam kimś pięknym i wrażliwym, komu należał się dobry los. Wymyślał cierpliwie mój życiorys, stwarzał mi w swoich myślach azyl, którego nie mogłam w rzeczywistości dostrzec, bo mu skutecznie uniemożliwiałam jakikolwiek ruch. Każdy jego szlachetny gest traktowałam jak zamach, jego wyciągniętą do mnie przyjaźnie rękę byłam skłonna potraktować jako wykalkulowany dotyk, a miłe słowa wydawały mi się podejrzanym jak przesadne pochlebstwa.

Nie spodobało mi się to zaproszenie na kawę.

Zbyt dużo kosztowało mnie oderwanie się od dobroci Piotra, którą skłonna bym była nazwać nawet rzadko spotykaną prostodusznością, żebym zdecydowała się jeszcze raz do niego zbliżyć.

Chyba nikt nie sądził, że zgodzę się na spotkanie z nim po tym, co wczoraj zrobiłam.

Znów źle rozłożyłam swoje emocje.

Oddałam je komuś, komu nie powinnam. Poczułam się jak dziwka. Dzwinka za bilet na premierę, choć w szufladzie biurka miałam mnóstwo takich zaproszeń, z których nigdy nie skorzystałam.

„Przykro mi, Piotrze. Już za późno” — napisałam.

12.05

Kiepsko skończył mi się tydzień, kiepsko zaczął weekend... Wsiadłam do samochodu. Czułam się zagubiona, taka niepewna wszystkiego, swojej decyzji, postawy, pragnień. Podjechałam do lasu, miałam do tego miejsca słabość. Ono napełniało mnie nadzieją, a właśnie jej pragnęłam teraz najbardziej na świecie.

Próbowałam przestać zastanawiać się nad sobą. Nie czułam nic, ale wciąż intensywnie myślałam.

12.45

„Julio, jesteś? Jak się czujesz?” — John wysłał mi SMS-a. Skąd wiedział, że czułam się fatalnie. No, niech zgadnę...

13.17

Musiałam tam pojechać. W końcu byłam umówiona z Olką, co z tego, że nie miałam ochoty rozmawiać na tematy zawodowe i, szczerze mówiąc, na żadne.

Siła wyższa.

Przecież Olka w nocy przyleciała zza wielkiej wody, a ja jutro rano leciałam do Paryża. Już czekała na mnie w swoim gabinecie.

— Zaparzyłam kawę, przynieść ci? — spytała, gdy tylko weszłam do redakcji.

— Tak, dziękuję — powiedziałam i usiadłam na kanapie.

— Co się z tobą dzieje? Coś się stało? Julka, jesteś jakby nie sobą.

— Nie, wszystko OK.

Nie zamierzałam przecież z nikim na świecie o tym rozmawiać. Ta sytuacja nie była czymś normalnym dla mnie. Czymś tak naturalnym i przyziemnym jak poranne rozczesanie włosów. Nie traktowałam seksu jak ciasteczka. Nie rozdawałam się każdemu, kto by tego chciał. Miałam niewielu partnerów, tylko tych, których kochałam.

On był wyjątkiem.

I nawet nie potrafił z tego chwilowego aktu uczynić czegoś znaczącego.

Spojrzałam na Olkę, nawet gdybym chciała, to i tak nie potrafiłabym jej o tym powiedzieć. A poza tym po co jej moje kłopoty, mój brudny świat. Bo ona pewnie ma do kogo wracać każdego dnia, ktoś się cieszy na jej widok, ktoś ją bierze w ramiona, szczerze obejmuje, szepcze prawdziwe słowa, a ona czuje, że pragnie jej bardziej niż cegokolwiek innego na świecie. Ten ktoś na pewno zauważa, jak pięknie wygląda, jak rozkwita każdego dnia, pyta ją delikatnym głosem, czy chce herbatę, cieszy się, jakby była jedyną osobą na ziemi. I na pewno zauważa, jaki Ola ma kolor włosów, i z nikim jej nie myli!

Na dodatek Olka z taką przyjemnością chodzi do pracy, nawet w niedzielę, bo ją naprawdę lubi, i z utęsknieniem wraca do domu, by jutro znów tu przyjść...

Bo ma gdzie.

Ja już nie miałam.

Nie chciało mi się wracać do domu, bo czekał tam na mnie tylko mały piesek, który pragnął mojej opieki.

A ja tak bardzo oczekiwałam, by wreszcie ktoś zaopiekował się mną.

— Jak było, Olu? — spytałam, popijając kawę.

— A, fajnie, jestem tylko lekko zmęczona. Przetrzymani nas trochę na lotnisku. Ponad pół godziny czekaliśmy na bagaże. Chciałam cię tylko zobaczyć, bo jutro lecisz. Mam dla ciebie mały drobiażdżek.

Włożyła mi w dłoń breloczek na klucze.

Czerwony breloczek w kształcie pantofli na obcasach.

— Dziękuję — powiedziałam.

— Nie ma za co. Chciałam, by ten symbol zawsze ci przypominał, że nieważne, gdzie dojdiesz, ale w jakich butach to zrobisz.

Gdyby ona wiedziała, gdzie wczoraj zawędrowałam!

— Słyszałam, że z Elką było trudno — zmieniła temat.

— Nie ma o czym mówić. Fajnie, że już wróciłaś. Chwilę posiedziałyśmy razem.

Komputerów nawet nie

włączałyśmy, wypiliśmy kawę, uściskałyśmy się i tyle. Olka widziała, że coś ze mną nie tak. Ale była na tyle dyskretna, że nie próbowała wchodzić w coś, co było moim zmartwieniem. Szanowałam to w niej.

John dzwonił dwa razy.

Nie odebrałam.

16.00

Jechałam w kierunku domu i wciąż zadawałam sobie te same pytania: „Po co ja to zrobiłam? Dlaczego się zgodziłam na tę chwilę zapomnienia, po co siebie oddałam?”. Tak naprawdę robiłam w życiu to, co lubiłam, żyłam, jak chciałam... Ale tym razem to ono pokierowało mną. Wystawiło mnie na próbę i wprowadziło w ślepy zaułek. Zadrwiło ze mnie. John pokazał mi, co to puste dotyki, kłamliwe szeptki, sztuczne, wyćwiczone miny, udawane orgazmy. Tylko dlaczego czułam się aż tak zraniona, przecież nie kochałam go, nie pragnęłam, nie czekałam i nie wiązałam z nim żadnych marzeń, nawet tych najmniejszych, więc dlaczego czułam się zawiedziona? Nie potrafiłam sobie tego wszystkiego wytłumaczyć. Pewnie już zawsze ten szybki numer będzie przeszkadzał mi żyć. Chyba że kiedyś poznam kogoś, kto mnie z tego wyzwoli. To była pierwsza taka lekcja życia.

Po raz pierwszy poddałam się emocji. I na pewno ostatni.

Zaczęłam się pakować. Otworzyłam martini bianco. Znów się popłakałam. Co za dzień, myślałam, co za cholerny dzień! Niewarty myśli, słowa, gestu, a nawet makijażu! I wtedy spojrzałam w lustro. Wyglądałam jak muszkieter po walce z samym sobą. Dobrze, że jutro wyjeżdżam. Miałam kilka dni, by to wszystko przemyśleć, by zastanowić się nad swoim życiem, odszukać swoje emocje. W odpowiednim momencie wypadł mi ten Paryż.

17.38

Znów telefon. Z nikim nie chciałam rozmawiać. Nawet z mamą, która jak zwykle przeczuwała, że chyba coś nie tak. Miałyśmy się wieczorem spotkać, by się pośmiać, ale daleko mi było do

tęgo. Zostawiła mi nagranie na sekretarce:

Julio, od rana się nie odzywasz. Wciąż jesteś tą dziewczynką, która gdy coś się stanie, chowa głowę pod poduszkę i udaje, że jej nie ma. Cokolwiek by to było, bądź ponad to. Wrzuć na luz, weź kilka głębokich oddechów. I nie przejmuj się. Życie jest zbyt krótkie, a ty jesteś zbyt piękna, mądra i dobra, by nie lubić siebie choć przez jeden dzień, ba — godzinę, minutę, chwilę! Kocham cię, twoja mama.

To kara być kobietą. Kobieta nie dość kochana — to oczywiście nie ja wymyśliłam takie zdanie, bo nigdy dotąd nie czułam, co ono może znaczyć. Do dzisiejszego dnia. Włączyłam jeszcze raz w komputerze stronę agencji, na której znalazłam zdjęcie Johna z tą brunetką. Czułam do siebie niechęć. Olbrzymi wstręt.

18.17

Zatęskniłam za Łukaszem. Może on by mnie zrozumiał bo przecież całkiem niedawno został wykorzystany, zraniona i porzucony. Być może krótka historia z moim skromnym udziałem nie była tak wyrazista jak jego długotrwały romans, ale w końcu tragedii nie liczy się na miesiące czy lata.

Smutek to smutek i przecież nie jest ważne, czy pochodzi od kobiety, czy mężczyzny. Tak, tylko Łukasz by mnie zrozumiał. On nawet gdy rozpaczał, sprawiał wrażenie człowieka pełnego wiary i nadziei. A kiedy ja płakałam, miałam wrażenie, że wtórował mi w tym cały świat, że razem ze mną wszystko szło chał.

Na szczęście zdarzało mi się to bardzo rzadko.

Nie chciałam z Łukaszem rozmawiać, niczego mu opowiadać.

Napisałam mu tylko jedno zdanie w e-mailu:

Jest mi tak źle, jak nigdy. Nie pytaj dlaczego, po prostu pomyśl dziś o mnie. J.

Po chwili odpisał, jakby czekał przy komputerze na list ode mnie. Albo od Kaja. A może naprawdę czekał?

Mała smutna dziewczynka, która została zraniona. Nie widzę cię, ale tak sobie ciebie teraz wyobrażam. Dziwne jest życie, że czasem musimy cierpieć i płakać przez innych. Julia, znowu próbowałaś kogoś naprawić? Nie wszystkich i nie wszystko da się ulepszyć. Wcześniej myślałam, że to świat, życie się zmienia, a ludzie są tacy sami. Ale to nieprawda. Jeśli ktoś się zmienił, to nie da się już tego odwrócić. A jeśli zmienił się na gorsze, to nawet nie warto.

Kiedy płaczesz, wszyscy mówią, uśmiechnij się, ale czasami warto popłakać. Ja też czasami płakałam, płaczę i będę płakać. Przez to staję się silniejszy. Jedyne wyjście to zamknąć pewien rozdział. Ja pałę mosty, nie zastanawiając się, czy robię dobrze. Choć tak strasznie mnie to boli. To niezrozumienie, niewiedoma. Lecz jeśli ktoś wyrządził mi krzywdę, to myślę już tylko osobie. Jest ci źle? Nie powiem ci: „Hej, uśmiechnij się, daj spokój, nie warto płakać”. Płacz, ile chcesz, pomyśl tylko, czy warto. Serce mi pęka, gdy ktoś bardzo mi bliski musi cierpieć. ...Dziwny jest ten świat... Płaczę z tobą, NATALIE, Łuki.

22.00

Pora na bilans tego kiepskiego dnia. Osiem nieodebranych połączeń od Johna, sześć wypalonych papierosów, cztery paczki chusteczek do nosa, tysiąc jeden wylanych łez, jedna butelka martini, która szczęśliwie zapodziała się w barku na tę smutną chwilę.

A w mojej pijanej głowie kołatała się tylko jedna myśl: „gdziekolwiek jesteś, tam i ja jestem...”. Tylko kto? — wciąż tego nie wiedziałam.

Przeczytałam wiadomości w komórce.

1. mama (14.55): „Jak się czujesz, córeczko? Ślicznie dziś wyglądasz, twoja oddana wielbicielka. Zobaczymy się po południu?”

2. John (15.15): „Jak samopoczucie? O której idziesz dziś do pracy? Chcesz pójść na chwilę ze mną na spacer?”

3. Łukasz (16.50): „No co jest??? Miał być SMS, że mnie jeszcze lubisz, i co... Widocznie już nie lubisz... Siedzę w domu, czekam i doczekać się nie mogę...”

4. Piotr (17.05): „Julio...”

5. John (17.30): „Nie mogę opisać tego, co czuję, po prostu jednym słowem. Wiem już chyba, o co ci chodzi. Nie chcę się tłumaczyć, bo nie mogę brać na siebie win całego świata. Jeszcze raz przepraszam. Chciałem pospacerować z tobą i na chwilę cię zobaczyć, porozmawiać. Julio, nie wyciągaj pochopnych wniosków, przecież sama jesteś dziennikarką, wiesz najlepiej, jak powstają prasowe plotki. Przykro mi jednak z powodu tego, co możesz czuć. Na dodatek mam dziś urwanie głowy w teatrze, bo kolega zachorował. Dopiero teraz mam chwilę oddechu. Mocno cię całuję. Przytulam cię Julio. Odezwij się, proszę”

6. Łukasz (17.40): „Opowiem ci kawał — dlaczego blondynka w więzieniu zbiera butelki? Bo słyszała, że może wyjść za kaucją. Julka, ty nie zbieraj, po prostu się odezwij i wyjdź z tego ukrycia”

7. Kaśka (17.45): „Uświadomiłam sobie, że przecież ten Piotr Cię kocha. Odezwij się do mnie koniecznie. Musimy to przedyskutować”

8. Mama (17.55): „Zobacz chociaż, jaki piękny zachód, mama”

9. John (18.15): „Chciałem ci to wszystko wyjaśnić. Widziałem to zdjęcie. Przecież wiesz, że taka sytuacja z restauracji jest zupełnie bez znaczenia, to tylko fantazja fotografa, przecież tyle wczoraj ci mówiłem o tym, jak cały czas mnie śledzą, jak robią mi zdjęcia, jak je podpisują, jak jestem na to coraz bardziej zły! Julio, chciałem cię zobaczyć, porozmawiać. Czasem można wyrazić coś nawet jednym słowem. Ale ty nie chcesz słuchać. Może kiedyś komuś o tym opowiem. Albo tobie”

10. I jeszcze mama (20.15): „Straciłam szansę, by uściskać cię przed jutrzejszym lotem. Trzymaj się. Kocham cię, Julio”

23.15

Przed snem dostałam jeszcze jedną wiadomość od Johna:

„A jednak się nie odezwałaś. Chciałem ci powiedzieć, co czuję, ale nie chciałaś słuchać (odebrać żadnego telefonu) i z tego, co widzę, to cię wcale to nie interesuje i nigdy nie będzie ciekawie. Ty już wystawiłaś mi świadectwo, nawet nie wiedząc, co miałem ci do powiedzenia. Całuję cię na noc, Julio. Miłego i udanego pobytu w Paryżu. Chcę, żebyś wiedziała, że dla mnie to nie jest koniec naszej znajomości. Dla mnie stoimy dopiero w przedpokoju. John”

poniedziałek

8.50

Przede mną — odprawa paszportowa.

Za mną — „warszawka”, czyli John i jego ponura drużyna.

Nade mną — miecz Damoklesa!

Wisiał tuż nad moją głową.

Próbowałam zastosować kryterium rozumu. Chciałam wprowadzić racjonalny podział na to, co było i już nie wróci, i na to, co właśnie zjawiało się przede mną, ale wciąż nie mogłam uwolnić się od emocjonalnej oceny swojego życia.

Żeby uniknąć rozczulania się nad sobą — a warto podkreślić, że w ostatnich dniach byłam w tym coraz lepsza — zadzwoniłam do mojej siostry Moniki. Nie zrobiłam tego w nadziei, że u niej stał się jakiś cud na linii uczuć, bo nawet przez chwilę nie wierzyłam w ich miłość. Te teatralne gesty Bułkarza nie pozostawały w korelacji z życiem. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby Bułkarz zdążył wejść w jakiś kolejny, histeryczny związek, a zanim Monika urodzi dziecko, już zaplanować następne. Może też w dniu wyjścia swojego dziecka ze szpitala do domu wysłać wianek taksówką i pójdzie na jakiś koncert. Bo to był maniak koncertów.

Wielbiciel życia zbiorowego. Ktoś, kto kołysał się miarowo na falach Dunaju, bo wydawało mu się, że życie to chybotliwy walczyk. Nie zdziwiłoby mnie też, gdyby Bułkarz miał następne dziecko, zanim to, które ma mieć z Moniką, skończy rok. Jeśli będzie to syn, kiedyś spojrzy jak dorosły mężczyzna na swojego dziecinnego ojca.

Szkoda mi było Moniki.

Po ostatnim spotkaniu, na urodzinach mamy, naprawdę zaczęłam się o nią martwić.

8.59

— Jak z Bułkarzem? — powtórzyła zdziwiona moje pytanie. — Julka, jego już chyba nie ma... A może w ogóle go nie było?

— Monika, przecież to nie jest kolega z obozu, z sympozjum, z ostatniej prezentacji! Za kilka tygodni wychodzisz za niego za męża! Co się dzieje?

— No tak... Chyba jeszcze wychodzę, choć od momentu ustalenia kolejnej daty ślubu w niego wstąpił inny duch. I na pewno nie jest to duch pojednania i odnowy.

— Jak mam to rozumieć?

— Po prostu.

— Monika... To ty jesteś psychologiem!

— Julka, daj spokój z teorią. Ufałam mu. I chyba dalej mu ufam. Jeszcze wierzę, że może być pięknie, choć chyba nie mam ku temu żadnych podstaw. Zawiódł mnie kilka razy, więc skąd mam wziąć wiarę w to, że jest szczery, odważny, że będzie ze mną w każdej chwili, że nic go nie przestraszy. Wiesz, co można dać najgorszego? Złudzenia. On mi dał tylko złudzenia.

— Daj spokój, nie myśl już o tym. Najważniejsza jest nadzieja. Nie trać jej, gdy myślisz o czymś, czego naprawdę pragniesz — powiedziałam.

9.06

Nadzieja — to było to, co najbardziej w tej chwili chciałam sobie sama podarować. Nie traćłam

jej nawet przez chwilę, gdy wchodziłam do hali odlotów, gdy wypilałam łyk wody, gdy dostrzegłam przyglądającego mi się chłopaka z czerwonym swetrem zarzuconym na ramiona, gdy usiadłam z boku, by przeczytać w biografii Picassa zdanie o czarno--białej „pracowni modystki”, gdy wyłączyłam komórkę i weszłam do samolotu. A potem no prostu nad wszystkim się uniosłam i przymknęłam oczy.

11.49

Kiedy wylądowałam w Paryżu, wszystko zobaczyłam wyraźniej. Miałam wrażenie, że wyglądam, jakbym się w ogóle dzisiaj nie cesała, i z trudem sobie przypominałam, czy to zrobiłam. Mój żakiet wydawał mi się zbyt zielony, oczy za bardzo wyraziste i źle umalowane, a uśmiech za smutny. A przecież obiecałam sobie, że na każdym lotnisku świata będę wyglądać tak, żeby nikt mnie nie przegapił. Chyba w złym momencie o tym zapomniałam. Nie był to dzień, w którym warto było się uśmiechać, a jednak zrobiłam to — spojrzałam z sympatią na mężczyznę z zarzuconym na ramiona czerwonym swetrem. Wyglądał jak miłośnik życia na krawędzi, jak kierowca rajdowy, jak ktoś, kto po raz kolejny uniknął niebezpiecznego zakrętu, co nie znaczy, że znów się nie rozpędzi. Jego życie wydawało się nasycone ostrymi barwami. Pewnie czekali na niego w domu z dobrym obiadem i deserem, w którym były różnokolorowe kulki lodów. Patrzyłam z żalem, jak minął odprawę paszportową.

13.14

Stary, obrośnięty winobluszczem dom, otoczony przestronnym ogrodem, stał na zachodnich peryferiach Paryża. Piękne miejsce na myślenie o sztuce. Sekretarz Escrito, starszy pan w marynarce w kratkę, przywitał mnie przy furtce.

— Niech pani się nie boi — szepnął do mnie i kilka razy nienaturalnie zachichotał

— ...niech się pani nie boi, mistrz Escrito pani nie wyrzuci — powtórzył. — Dziś, hi, hi, już to zrobił, i to po pięciu minutach. Ależ ten nieszczęsny chłopak wyszedł od niego czerwony, taki był zdenerwowany, hi, hi, i jaki spocony. Dobrze, że pani tego nie widziała.

— Może mistrz go napastował? — rzuciłam lekko i nie bez sensu.

Hi, hi, bo przecież w filmach Escrito aż roilo się od sprośnych scen, od rozkosznych igraszek na każdym kawałku podłogi, od obrazów sado-macho, junior-senior, homo--hetero. Tak, wiem, że wszyscy go kochają, zwłaszcza jurorzy prestiżowych nagród filmowych, za te „wyrafinowane formy”, za „smakowicie przyprawione puenty”, detektywistyczne śledzenie intymnych doznań, za to bieganie z kamerą wśród nagich ludzi. Dzięki niemu ponad połowa populacji kobiet dowiedziała się, po co im orgazm i co począć z jego brakiem. Wiadomo, natychmiast odnaleźć. Escrito wyliczył niemal z dokładnością ośmiu tysięcy włókien nerwowych uroki łechtaczki, rozpiął na setki scen alfabet pożądania, dał dokładne wskazówki, jak odnaleźć punkt G i jak trafić do strefy AFE, i że najlepiej już tam pozostać. Ja też go uwielbiałam, dopóki nie skończyłam szesnastu lat i nie obejrzałam jego drugiego, a potem trzeciego filmu. Gdzieś w drugiej części Polowania na upał odniosłam wrażenie, że ten film wcale nie jest przebiegłe

inteligentny i dwoisty, ale tylko dwuznaczny, i że z każdą kolejną sceną ten facet, który go wymyślił, coraz bardziej napastliwie i nieprzyzwoicie mnie dotykał, gładził po udach, ocierał się o mnie, podsuwał do góry spódnicę, „o, jakie stringi”, szeptał, „a po co ci one, kochanie”... Nie byłam na tyle głupia, by nie dostrzec śmieszności tej pseudofilmowej sytuacji. Ale okazałam się aż tak niemądra, by szybko poznać książki, które stały się podstawą filmów tego zbereźnika. Teraz miałam poznać i jego.

— Tylko bez takich żartów, moja panno, proszę nie ironizować — sekretarz przestał chichotać i spojrzał na mnie groźnie.

Jego krzaczaste brwi wyglądały jak gęste, przyklejone wąsy, skradzione Stalinowi. Co za epidemia tych wąsaczy... Wiedziałam, że jeszcze słowo i Pan Hi-Hi wyprosi mnie za drzwi, miałam to jak w banku, a przecież nie po to leciałam prawie trzy godziny samolotem, nie po to tłukłam się czterdzieści pięć minut duszną taksówką, żeby nie zostać dopuszczona przed oblicze Escribo. Czas na wniosek: uśmiechnęłam się do Pana Hi-Hi pojednawczo. Nie chciałam wzbogacić barwnych opowieści o dziennikareczkach, które Wielki Znamca Małego Penisza wyrzucał jednym trafnym słowem... Escribo potwór — głosy tytuły w dodatkach kulturalnych do prestiżowych pism. Zwodniczy intelektualista.

I dodajmy: kiedyś bywalec knajp, w których po stołach chodziły żywe kury. Dobrze, że nie żubry z puszką piwa w pysku...

Może jeszcze napomknę o... Nie, lepiej już się nie odzywać, bo Pan Hi-Hi wyglądał groźnie. Przecież nie przyjechałam tu po to, żeby dać się wyrzucić, by zrobić kilka chwiejnych kroków na trawniku przed domem Escribo! Miałam dostać wywiad. I tylko ja wiedziałam, jak bardzo mi na nim zależy.

— „Nic tak nie dodaje kobiecie seksu jak finezyjny żart” — to cytata z filmu mistrza, prawda? — uśmiechnęłam się słodko do Pana Hi-Hi.

— Nie każdy żart, moja panno. Poza tym błąd, błąd! Źle zapamiętała pani tę kwestię. Chodzi o seksapil, a nie o seks, hi, hi. I nie o finezyjny żart, ale dosadny dowcip. Dosadny! Cokolwiek by to znaczyło. Niech pani tu usiądzie na chwilę stanowczym gestem wskazał mi fotel w obszernym holu i wcale nie dodał „proszę”. — Pójdę mistrza uprzedzić, że pani już jest.

Usiadłam — rozkaz to rozkaz. Sięgnęłam po komórkę, żeby ją wyłączyć. Zanim to zrobiłam, przeczytałam ostatniego SMS-a: „Nikt mnie tak nie rozczarował w życiu jak ty, Julio. Nawet moja była żona. Żegnaj. John”.

13.17

— Maestro, pani ...ska. Przyjechała do pana z Warszawy.

— Z Warszawy? — Do moich uszu dotarło ciche pytanie Escribo. — Niech wejdzie.

Wyglądał jak karzeł, w którym ukryła się stara Indianka, taka wyschnięta do cna, łącznie ze strunami głosowymi. Sekretarz znów wskazał mi pokryty burgundowym aksamitem fotel stojący na środku przestronnego — to znaczy byłby taki, gdyby był pusty — gabinetu i dyskretnie usunął się tyłem. Zrobił to absolutnie bezszelestnie i nienagannie. Jak kamerdyner po dwóch kursach dla wtajemniczonych i po czterdziestu latach pracy na dworach królewskich, a nie po prostu sekretarz, hi, hi, starego, zmęczonego człowieka.

— A więc jest pani z Warszawy?

Escribo powiedział to jakby mimo woli, bez ciekawości, wolno zapalił papierosa.

— Nie będzie pani przeszkadzać...? — spytał dopiero po trzecim zaciągnięciu się dymem.

— Nie, proszę się nie krępować — powiedziałam.

Escribo oparł się jedną dłonią o biurko, zrobił to tak, jakby lekko na niej przysiadł. Albo może się przykleił? Bo na dobrą chwilę znieruchomiał.

— Proszę mi powiedzieć, kim ja się pani wydaję? — spytał, ignorując moje pierwsze pytanie.

Chciał wiedzieć, kim wydaję mi się w tej chwili, czy co myślałam o nim dziesięć lat temu, po obejrzeniu szkaradnej sceny gwałtu młodej Juliette...?

— Woli pan się wydawać, niż być...

— A nie jest to ciekawsze? Zwłaszcza dla pani?

Spryciarz. Bo ten wygrywał, kto stawiał pytania, oboje to wiedzieliśmy. Escribo okazał się przebiegły, mogłam więc tylko starać się mu dorównać. Wiedziałam, że dobrze skrywał swoją tajemnicę i nie zamierzał jej przede mną zdradzać. Ale przecież wcale nie chciałam jej poznać. Bo po co? Jak ktoś mi mówi, że jest chory, to wcale nie musi wymieniać chorób, które go nawiedziły, żebym poczuła jego ból. Gdy słyszę, że ktoś umarł, nie pytam na co, bo i tak czuję tę stratę. Kiedy ktoś mówi, że kocha... A, to wtedy pytam! Bo to ważne, czy tak mocno, że aż nie może jeść, czy tylko tak sobie, bo gdy wypowie te słowa, będzie rozgrzeszony...

Czułam, jak przepadam przy tym człowieku, jak niknę, jak niemal cały pokój wypełnia tylko jego cień... Hop, hop, jestem tutaj, miałam ochotę pomachać ręką, ale i tak by mnie nie zauważył, bo i po co... Snuł się przez chwilę po pokoju, tak od niechcienia. Tak, jakby tylko udawał, że jest ze mną w tym dusznym gabinecie, bo tak naprawdę biega właśnie po plaży w okolicy Nicei, rzuca piłkę do wody i za kilka dni skończy dopiero sześć lat. W istocie był tak szczery w swej nieobecności, tak mimowolny i niewymuszony jak dziecko.

Myślałam, że zacznę o nim tekst: „Silne osobowości mają dystans do świata i do siebie...”, a skończę: „ale każdy źle znosi starość, nawet on”. Ta krzywo zawiązana na szyi apaszka, ot tak, dla podtrzymania elegancji, była ponad moje siły... Przystanął i wpatrzył się we mnie, chyba czekał jednak na moją odpowiedź.

— Jest — odpowiedziałam krótko.

A zwlekałam na tyle długo, by mieć nadzieję, że już zapomniał, jakie było pytanie. I spokojnie zadałam mu swoje: „Dlaczego mężczyzna taki jak pan, kiedy patrzy na kobietę, widzi tylko jej poszczególne części, dlaczego są one tak bardzo uprzedmiotowione w jego filmach jak w gazetach porno”.

— No właśnie — zamyślił się. — Zaraz zaczniemy rozmowę, ale wie pani, są takie chwile, że niczego bym nie chciał.

13.25

Escribo nie przestawał na mnie patrzeć, ale stawał się coraz bardziej odległy, jakby nieobecny. Wydawało mi się nieważne, czy w mojej obecności był mniej czy bardziej sobą — jakie to tak naprawdę miało znaczenie... Lubiłam niedomówienia w zwierzeniach, niedopowiedziane życiorysy, przemilczane słowa. Wystarczyło, że sam Escribo wiedział, że wcale nie był tym, kim został okrzyknięty, po co miałby mi to jeszcze mówić. Nie imponował

sam sobie. A mówiąc szczerze — już chyba nikt mu nie imponował...

13.33

„Znajdź słaby punkt Escrigo” — fruwały mi po głowie rady Oli. Tylko że tego dnia on miał same słabe punkty. Był jednym wielkim kiepskim punktem. Brał mnie na współczucie, jego zniedołężnienie mnie obezwładniało. Nie miałam sumienia go męczyć. Mogłabym tylko powiedzieć: „A ja sądzę, że chciałby pan położyć głowę na moich piersiach i posłuchać, jak bije moje serce”. Zapytać go o to? W końcu nic tak dużo nie mówi o człowieku jak jego małe pragnienia. Nie odezwałam się jednak.

13.41

Pozwoliłam mu zniknąć, przepadać i udawać, że go wcale ze mną nie ma. Miałam wystarczająco dużo własnych kłopotów, nie zamierzałam jeszcze przejmować się humorami jakiegoś Escrigo. Martwiłam się o siebie. Myślałam coś w stylu: „I co ja teraz zrobię, o rany...!” Nie chciałam wracać do Warszawy, bo i do czego, nie miałam nawet swojego kąta. Sprzedałam mieszkanie, no, mieszkanko, nowe było w budowie, inne wynajęłam pochopnie, jak mogłam być tak lekkomyślna... Mówiąc bez ogródek — miałam prawo do narzekań... Patrzyłam, jak Escrigo wolno siada, a właściwie opada na fotel bokiem do mnie, patrzy na ogród. Zaraz zaśnie, myślałam z rozbawieniem, będę miała piękny wywiad z chrapiącym dziadkiem, chrrrr...

Ależ on był stary... Chyba pamiętał premierowe przedstawienie rewii Moulin Rouge. Może nawet chodził po Montmartrze z tym artystą, jak też on się nazywał..., który zabierał do knajpy walizkę, że niby wyjeżdża, i czekał, żeby ktoś mu postawił drinka na pożegnanie...

Niech ktoś mi poda drinka, błagam...

Albo przynajmniej lampkę wina...

Ale nawet gdybym wrzasnęła, Escrigo i tak by nie usłyszał. A mówiąc szczerze, on już jakiś czas temu zdezerterował z życia. Stworzył sobie tak piękne miejsce na przepadanie, odchodzenie, znikanie, że i ja coraz bardziej czułam się odległa od tego, co zostawiłam w Polsce.

Nie, to mnie zostawiono... Przecież przed wejściem tutaj znów dostałam SMS-a: „Żegnaj”.

Im więcej czytałam tych „żegnaj”, tym głośniej słyszałam — „zostań...”.

Słowo daję, to może się zdarzyć...

Tylko dlaczego właśnie mnie?

13.45

Myślałam tylko o tym, że Johna trzeba kochać bezwarunkowo, rozrzutnie i bezinteresownie, za wszystko i do cna. A on? On nie musiał. Przecież był kochany przez tłumy i kochał tłumy. Była to taka miłość iluzoryczna i lekceważąca, że ktoś wychodzi na scenę i woła do tłumu ludzi, których twarzy nawet nie widzi: „Kocham was!”.

A mnie brzydziły takie widowiska.

Dałam mu to. czego nie powinnam mu nigdy dać — siebie. Coś takiego nie powinno się w

moim życiu zdarzyć, a skoro już zaistniało, nie mogło wyjść na światło dzienne, powinno na zawsze być ukryte w głębi mnie, jeśli chciałam pozostać przy zdrowych zmysłach. „Mam nadzieję, że ten, kto pojawi się teraz, okaże się ciebie wart” — napisał mi jeszcze John, co przeczytałam, gdy wysiadałam z samolotu. I jeszcze próbował wzbudzić we mnie poczucie winy, że to niby ja byłam tą złą, okrutną, bo przecież zdjęcia gwiazdom robi się z różnymi osobami, a podpis... Ach, ten podpis. Byłam dziennikarką, dobrze wiedziałam, że za wyssanie bzdury z palca groził nawet proces sądowy. Czarnulka musiała więc z uśmiechem większym niż lolitka szepnąć swoje imię temu brzuchatemu panu z foto numer pięć z serwisu prasowego. I tak, hop-siup, została okrzyknięta nową partnerką Johna! Nie umiałam przestać myśleć o słowach, które do mnie mówił. I o tych, które przeczytałam przed chwilą: „Nikt mnie tak nie rozczarował w życiu jak ty, Julio. Nawet żona. Żegnaj”. Miałam wrażenie, jakbym wypadła na zakręcie z jego pędzącej z prędkością dwieście kilometrów na godzinę limuzyny, a on czekał, aż go szybcitko dogonię i spytam zziąjana: „Ko-ko-ko-chanie, czy nic ci się nie stało?”. Na co on by burknął: „Przesunęłaś mi boczne lusterko. Teraz nie będę mógł się przejrzeć”.

13.49

— Tak? Przepraszam? Zamyśliłam się na chwilę — powiedziałam lekko, choć przecież to on milczał. — To pewnie ta podróż — uśmiechnęłam się.

— Nie szkodzi. Pytałem tylko, czy lubi pani zapach liści czereśni — powtórzył Escrivo.

A skąd to pytanie? Sięgnął po niebieski zeszyt, który leżał na biurku. Był to jeden z licznych zeszytów, które miał w gabinecie w różnych miejscach — na stole, na półkach, na barku, na fotelu. Wszędzie widać było dziesiątki zeszytów. W różnych kolorach, niektóre wydawały się nietknięte. Jakby czekały na swój czas. Jego gabinet przypominał trochę sklep papirniczy na przedmieściu.

Escrivo przeglądał niebieski zeszyt dosyć uważnie, choć jego twarz wyrażała absolutną pustkę. Z oddali słyszałam szum drzew. Ale zrobiło się nastrojowo...

Milczał. Robił to już stanowczo za długo.

Przełożyłam wolno jedną nogę na drugą, mając pewność, że z miejsca, w którym on siedział, nie dostrzeże moich ud. Ale byłby numer, gdybym teraz wstała i wolno zsunęła spódnice... Zabawne, pomyślałam.

Tylko że mogłoby się to mało zabawnie skończyć, zwłaszcza dla niego — i już następnego dnia przeczytałabym w paryskiej prasie wielkie nagłówki i tekst sekretarza, Pana Hi-Hi: „Wybitny Escrivo, mój, nasz, wasz, ich, zdobywca licznych nagród, między innymi Złotych Kliszy, Brylantowego Ekranu, pucharu nieprzechodniego Trafnego The Endu, choć trafniej byłoby powiedzieć końcówki, hi, hi, zmarł nagle... Zabił go widok podudzia pewnej panny z Warszawy, która lubi ironizować, hi, hi, i której wydawało się, że przeprowadzi wywiad, ba, wywiad rzekę, napisze grubą książkę, księgę, baśnie tysiąca i jednej nocy, z naszym i o naszym, waszym, moim, ach, moim, nie moim, wybitnym Escrivo, guru, moralnym autorytetem, wyrocznia, drogowskazem, wskazówką, a tu jakieś podudzia, podroby, podroby, podbrzusza, hi, hi...”.

14.02

Escrivo odebrał telefon i ściszym głosem, jakby nie chciał mi przeszkadzać, zapytał:

— Kiedy przyleciałeś? Dzisiaj? I powiedz, jak sobie

poradziłeś?

Wstał, odwrócił się do mnie tyłem i mówił do kogoś.

— Pamiętaj, dzieci nie są najważniejsze, nawet własne. One mają więcej życia przed sobą niż my i zdecydowanie więcej szans, dlatego myśl przede wszystkim o sobie.

Ciekawa teoria... Przez chwilę Escribo mówił do słuchawki tylko monosylabami, a potem odwrócił się do mnie, zbliżył kilka kroków i powiedział:

— Jest właśnie u mnie dziennikarka z Polski. Tak, młoda kobieta, ale chyba z ciekawą przeszłością — dodał nie skrępowany moją obecnością.

A skąd on mógł to wiedzieć? Pozwalał sobie na niewybredne przypuszczenia. Podszedł jeszcze bliżej, żeby mieć pewność, że go usłyszę, i powiedział:

— Chyba czegoś w życiu szuka. I nie sądzę, żebym to był ja. Ani moje filmy.

14.07

Gdy skończył rozmowę, wyjaśnił, jakby mnie to cokolwiek obchodziło:

— Mój przyjaciel Michael miał być u mnie za pół godziny, ale odwołał spotkanie. Szkoda. Wie pani, co mam na myśli?

— Nie wiem.

— Nie szkodzi.

Usiadł przy biurku. Podparł się łokciami. Wbił we mnie swoje matowe oczy i przemówił:

— Naprawdę chce pani rozmawiać o mnie? Pani wygląda jak kobieta, która powinna mówić tylko o stylu, a mówiąc ściślej, o elegancji stylu. A ja jestem odrażający i zły.

— Mam zaprzeczyć? Odpowiedzieć szczerze czy uprzejmie? — spytałam.

Uśmiechnął się. Ale nie złagodniał. Wręcz przeciwnie...

— Proszę wybaczyć... Nie chce mi się już dzisiaj rozmawiać, dobierać słów, wyszukiwać interesującej puenty. Żeby pani wiedziała, jak czasami wszystko mnie nudzi. Przepraszam, ale nie mam ochoty na wywiad... Proszę się nie obrazić, to nie chodzi o panią. To chodzi o mnie. Rzeczywistość często wydaje się inna niż wyobrażenia o niej — dodał mętnie. — Lubię jedynie patrzeć.

— Tylko na siebie?

— Na siebie? Skądże! Pani też by nie lubiła. Proszę wybaczyć.

O nie, przecież muszę mieć ten wywiad, nie dam się tak łatwo zbyć. Równie dobrze mógłby teraz bezszelestnie uchylić szufladkę biurka, wyjąć pistolet i strzelić do mnie. Wyszłoby na to samo. Ale on tylko siedział nieruchomo i mnie obserwował. Milczeliśmy. Zamiast zdecydowanie wstać i grzecznie odprowadzić mnie do drzwi, on po prostu mi się przyglądał. Lubieżnik, który lubił podwijać dziewczynkom sukienki. Jak każdy facet. Choć teraz sama miałam ochotę to zrobić.

Znów założyłam nogę na nogę i dyskretnie podsunęłam wyżej spódnicę... Pojawiło się koronkowe zakończenie pończochy, nic takiego, tylko kawałek...

Po czym wstałam chyba zbyt ochoczo, a on podniósł się ociężale.

Przytrzymał moją dłoń.

Niech jeszcze coś powie!

Niech zaproponuje inne spotkanie, może za godzinę, dwie, po drzemce, wieczorem, przecież nie przyjechałam tu na wycieczkę krajoznawczą podziwiać strukturę jego zmarszczek, mam przeprowadzić wywiad. Z nim!

Przecież się zgodziłeś, pamiętasz, dziadku? Powiedziałeś Oui, voila, to po co teraz udawać kapryśną, podstarzałą primadonnę, którą trzeba błagać o jedno pas...

O nie, przecież nie będę go prosić, nie umiem...

Puścił moją dłoń.

No to koniec, zaraz będę musiała odwrócić się, zrobić sześć kroków...

Mam pozwolić mu się wyprosić?

— Byliśmy przecież umówieni — przypomniałam.

— Jest pani bardzo zawiedziona? Tak? Nie chciałem pani rozczarować. Jak pani ma na imię? Juliette? Czy może pani przyjść do mnie jutro, tak około dwunastej...

— Oczywiście, że mogę... — wpadłam mu w słowo z prędkością torpedy.

— Tak? Może pani? To świetnie.

Yes! Szłam do drzwi i czułam, jak patrzy na moje pośladki. Gdyby on wiedział, że jestem bez majtek, bo przecież trudno nazwać nimi stringi...

Dlaczego bez?

Otóż dlatego, żeby nie wiedział.

14.23

I właśnie wtedy, gdy zamykałam drzwi jego gabinetu i szłam wąskim jak tunel korytarzem, dostrzegłam swoje odbicie w wiszącym ciężkim, starym lustrze. Byłam wciąż tą samą dziewczyną, dlaczego więc wydawałam się sobie taka daleka? Przecież jeszcze kilka godzin temu nie pozwoliłabym, by tak mnie zlekceważył. A dzisiaj było mi wszystko jedno. Czyżby tych kilka dni w Polsce odmieniło i przewartościowało moje życie?

Kiedyś za ten wywiad i pracę dałabym się poćwiartować, a teraz po prostu otworzyłam drzwi i wyszłam. Czułam, jakby przelatywały przeze mnie wszystkie moje stare pragnienia. I nie zostawało nic.

14.35

Zadzwoiłam do Kaśki, bo zostawiła mi kolejną wiadomość na skrzynce głosowej. Od wczoraj prawie mi ją zablokowała.

— Co się z tobą wczoraj działo? Martwiłam się o ciebie. Dobrze, że żyjesz, wariatko! — wykrzyczała mi na dzień dobry. — Jesteś już w Paryżu? Myślałam, że ktoś cię uprowadził, zgwałcił.

A, tu prawie się nie myliła.

— Escribo odwołał dziś spotkanie. Jak tak dalej pójdzie, mogę stracić pracę.

— Jak to? Nie zrobiłaś wywiadu?! — usłyszałam w słuchawce jęknięcie.

— Maestro przesunął rozmowę na jutro.

— Szkoda, bo chciałam ci powiedzieć coś ważnego. Jak wrócisz może być już za późno.

No, właśnie to była cała Kasia, moja najlepsza przyjaciółka.

Nie przejęła się mną, bo cały czas myślała tylko o sobie.

— Tak pięknie jest na dworze, a tu nic. Samotne spaceruje przede mną.

— Kaśka, ale co do tego ma mój wywiad z Escrigo? Przecież i tak bym nie lądowała dziś w nocy.

Ona żyła w niewyobrażalnym tempie. Jej naprawdę się wydawało, że spędzam we Francji co najmniej miesiąc miodowy. I to nie mój. I nie jej, co gorsza.

— Właśnie wróciłam z roweru, bo wiesz, postanowiłam zdrowo żyć. Żadnych używek, alkoholu, papierosów. Ty też przestań palić te swoje lightowe członki! I weź się za siebie. A poza tym musiałam się trochę wyżyć, bo jestem wściekła jak nigdy! W zeszłym roku poznałam Christiana na sympozjum w Warszawie. Pamiętasz, mówiłam ci o tym. Co roku jest takie spotkanie. W tym odbywa się na Krecie i on tam będzie, a mój szef zaprosił wszystkich z naszej firmy. Wszystkich! Oprócz mnie. Pomijam też fakt, że to ja organizuję tę wyprawę. Wiesz, jaką dostałam od szefa odpowiedź? Że mam wcześniej spotkanie w Krakowie, nie mogę więc tak często wyjeżdżać, no i jedna osoba przyda się w firmie.

— Mści się za coś? Proponował ci romans albo seks na ksero? — zaśmiałam się. — Kaśka, daj spokój, odpoczniesz sobie.

— Ale tam będzie Christian...

— No i co z tego?!

— Jak to co? Wiesz, jaki jest z nim seks? Bajka!

No to mnie zaskoczyła. Musiałam pojechać tak daleko, by się o tym dowiedzieć?

— Ja i tak wiem, że źle wybiorę. Zawisnę na szyi pierwszego lepszego mężczyzny, który stanie na mojej drodze. Może w tym Krakowie się zakocham? A jak ty, Julia? Gdyby ona wiedziała jak ja...

— Świetnie — powiedziała. — Lubię być sama. Mogę robić to wszystko, czego inni mi zabraniają.

— To znaczy?

— Zasypiać z książką na policzku, jeść obiad na śniadanie, a przede wszystkim myśleć.

— Zazdroszczę ci. Ja się sama ze sobą nudzę. Do tego tak źle trafiałam.

— Kasiu, ty brałaś każdego, kto stanął na twojej drodze.

— No właśnie, nie może stanąć ktoś fajny? Pewnie niedługo będę jak Joanna z mojej pracy — zgorzkniała, zniszczona, ze zmarszczkami grawitującymi do ziemi, bo nie będę miała siły nawet się uśmiechać. Ta Joanna ma trzydzieści lat, marudzi, jest nieufna, zawiedziona i jedzie ze mną do Krakowa!

— Mam drugie połączenie, odezwę się później. Powodzenia w poszukiwaniu zaginionego szczęścia. Całusy, kochana.

14.42

To dzwonił John. A jednak się nie odezwał, gdy odebrałam. On tak dziwnie mnie zdobywał. Bo są mężczyźni, którzy w miłości bawią się albo w podchody, albo w ciuciubabkę, albo w berka. On grał we wszystko naraz. Co miałam mu napisać? Że nie powinien przegapiać w życiu ludzi, którzy chcą od niego tak mało, że rozmowa „potem” to już nie jest to samo co rozmowa „wtedy”, że wszystko musi mieć w życiu swój czas? Ale po co miałabym go pouczać, on był doskonały w tym, co robił. Potrafił mistrzowsko grać w życiu. Umiał uatrakcyjnić dobrą kwestią nawet banalne i złe chwile a co za tym idzie — wyrządził więcej szkód w moim życiu niż pożytku.

14.56

I to już mnie dobiło — dostałam SMS-a od MK, jakby wszyscy zjednoczyli się przeciwko mnie. Do końca życia zapamiętam dzień, w którym się z nim rozstałam. To był dzień moich urodzin, mieliśmy spędzić go razem. Ale chyba stanowczo za długo czekałam na ten jeden dzień...

Wysłałam wtedy od niego bez urodzinowych róż — zbyt pięknie wyglądały w jego domu. I bez prezentu. Bo go nie dostałam.

„Wiesz, nie było nic stosownego dla ciebie w Warszawie, jak pojedę do Madrytu, to kupię ci prezent” — powiedział. Po prostu nie pamiętał o mnie... I po co tu udawać? Przecież w prezencie nie liczyła się jego wartość, ale to, że ktoś o kimś pomyślał, poszedł, wybrał, pokazał ekspedientce, co chce, poprosił o zapakowanie, wyszedł z prezentem, trzymał go w dłoniach, cieszył się, a potem powiedział: „To dla ciebie, kochanie”. A ja powiedziałabym: „Jaki piękny..., będę go mieć przy sobie, będę go nosić...”, bo lubiłam takie prezenty, które można przy sobie stale mieć.

Nie zatrzymywał mnie wtedy, może był zbyt pewien, że nie wyjdę, przecież wiedział, jak bardzo chciałam go czuć przy sobie w swoje urodziny, był zbyt racjonalny, by sądzić, że tak po prostu zrezygnuję z tego, czego tak bardzo pragnęłam. Ja też tak myślałam... Łudziłam się, że on coś zrobi, zatrzyma mnie, powie: „Julio, zostań...”. Nie myślałam, że wyjadę, nawet wtedy, gdy patrzyłam, jak wolno otwiera się

brama... Powtarzałam: „Nie mogę, nie powinnam, nie chcę!”... i mocno nacisnęłam gaz.

A potem nastąpiła najbardziej kiczowata scena w moim życiu — jechałam odkrytym samochodem i tak strasznie płakałam, jak chyba ostatnio w dzieciństwie, wyglądałam jak smętna dziewczynka odrzucona z planu w Hollywood, a co tam, w Bollywood — włos w nieładzie, rozmazany makijaż, zasmarkany nos, do tego muzyka, najsmutniejsza piosenka George'a Michaela. No właśnie, muzyka jest najważniejsza, dopasowana do obrazu jak zapach do człowieka, dźwięki, które są dodatkiem do sytuacji i warkotu silnika, jaka szkoda, że tej chwili jeszcze raz nie można usłyszeć. Kompletnie nie obchodziło mnie to, że ludzie na światłach mi się przyglądali, i tak nikt mnie nie znał, nikt też nie ośmieliłby się spytać, czy w czymś mi pomóc, choć tak między nami, ktoś mógłby mi rzucić komplet chusteczek do nosa. Jakieś auto jechało przez chwilę przede mną i machało do mnie awaryjnymi światłami, jakby na pocieszenie... Przejechałam zapłakana całe miasto, tylko raz musiałam się zatrzymać na poboczu, bo łyzy tak zalewały mi oczy, że nic nie widziałam. Spojrzałam wtedy na zegarek, właśnie mijała dwudziesta pierwsza, o tej porze się urodziłam. Siedziałam sama w aucie, nikt nie powiedział do mnie: „Witaj, Julio, na świecie...”. Nikt. Sama sobie wtedy powiedziałam: „Witaj, życie”. W ten sposób zaczęłam swój dwudziesty piąty rok...

15.20

Dlaczego właśnie dziś MK sobie o mnie przypomniał i napisał: „Julio, kochałem cię”. Chyba tylko po to, żebym znów poczuła, jak lecą mi po policzkach łyzy.

15.44

Weszłam na wernisaż fotografii. Byłam zmęczona, ale pokusa zobaczenia kilku migawek ze świata była silniejsza. Czułam się zagubiona, zmieszana, jakby wykorzystana przez świat,

podobnie jak ci ludzie na zdjęciach.

Przystanąłam przed zdjęciem, na którym fotograf zatrzymał jedną sekundę z życia mężczyzny patrzącego w wymierzone w siebie lufy karabinów. Ogarnęło mnie przerażenie, że to ostatnia sekunda w jego życiu. Dlaczego ten, kto robił to zdjęcie, nie uratował go, pytałam samą siebie z przerażeniem i jednak łudziłam się, że po pstryknięciu migawki aparatu nie nastąpił strzał karabinu. Nie wiedziałam, co było dalej, a dopóki nie miałam tej pewności wierzyłam w dobre zakończenie.

Ale spojrzenie mężczyzny mówiło co innego...

Nie tylko te oczy mnie niepokoiły. Nie mogłam nie zauważyć chłopaka, który od dłuższej chwili wpatrywał się we mnie tak, jakbym była jedyną osobą na tej sali. Było w nim coś dziwnego i jednocześnie bliskiego. Ciekawość i nachalność połączona z delikatnością i nieśmiałością. Choć oboje nas to krępowało, nie przestawał mi się przyglądać. Gdy przechodziłam obok niego, uśmiechnęłam się nieśmiało. W końcu raz się żyje, przecież niedługo już nie będzie mnie w tym miejscu, w kraju, pomyślałam. Dostrzegł to, ale nie zrobił nic. Stał oparty o ścianę i po prostu patrzył. Nie na zdjęcia. Patrzył na mnie. Widziałam, jak podszedł do niego niewysoki mężczyzna w dziwnej marynarce w kratkę, jak wyszedł razem z nim.

Ale po chwili wrócił i zdecydowanym krokiem ruszył w moim kierunku.

Jednak się zatrzymał, oparł ciało o słupek, skrzyżował ręce i znów patrzył. Robił to w taki sposób, jakby wzrokiem mówił: „No, pospiesz się. Czekam na ciebie”. Przyglądałam mu się dyskretnie, bo wydawał mi się dziwnie znajomy, podobny do tego chłopaka z lotniska, z czerwonym swetrem na ramionach. Tamten też miał taką buńczuczność w sobie, niepokorność, pewność siebie. Zabawne jednak, że czerwony sweter tak zlał mi się z moim wspomnieniem o tamtym mężczyźnie, z jego karnacją, spojrzeniem, ciemnymi włosami ściągniętymi gumką w kucyk — że teraz, obserwując mężczyznę w białej koszuli, nie byłam w stanie odpowiedzieć, czy to na pewno ten sam człowiek.

Nie poszłam w jego kierunku, przeszłam do drugiej sali.

16.15

Gdy wróciłam, wciąż stał w tym samym miejscu. Czekał. Na mnie. Patrzył też tylko na mnie. Uśmiechał się. Nie miałam tego w planach, a jednak...

— Na kogo czekasz? — spytałam, zbliżając się do niego.

— Na ciebie — odpowiedział.

Czyżbym właśnie grała w harlequinie numer sto sześć?

— Ale nie interesuje mnie wzięcie od ciebie telefonu i spotkanie się z tobą raz — powiedział.

— A co cię interesuje? Czego chcesz? — spytałam.

— Chcę cię poznać. Ciekaw jestem, co czułaś, oglądając tamto zdjęcie.

Wskazał głową fotos mężczyzny patrzącego w lufy.

— Strach i niedopowiedzenie. Dokładnie to, co poczuję, gdy od ciebie odejdę.

— To nie rób tego.

Nie podrywał mnie. Nie, bo jemu się wydawało, że już mnie ma. Nie był mnie ciekawy, a jednak pytał. Patrzył tak, jakby chciał zobaczyć, w jakim rytmie płynie we mnie krew, bo to, jak wyglądam, zauważył już dawno.

Wtedy gdy jeszcze nie wiedziałam, że był tutaj.

Intrygował mnie. Taki zimny, lakoniczny, inny...

Mógł być piłkarzem, artystą, a może architektem. Wytarte dzinsy, biały T-shirt. W jego oczach nie płonęła namiętność. Nie. Był raczej zagubiony i odległy. Taki przystojny, zamknięty w sobie, oddalony od wszystkiego obserwator.

Ktoś, kto stoi na uboczu, na skraju, a jednak widzi więcej niż ci, którzy pozostają w centrum.

Po chwili przeprosił mnie, że już musi iść, bo na zewnątrz czekają na niego znajomi — wybierają się razem na przyjęcie.

Powiedział, że wrócił tylko na chwilę, ponieważ chciał mnie poznać.

Wyjął karteczkę, coś na niej napisał i spytał, czy mogłabym mu kiedyś napisać w e-mailu kilka słów. Powiedział, że komórki prawie nie używa, nie lubi.

Powtórzył, że będzie mu bardzo miło, jeśli dostanie ode mnie list.

Nie spytał nawet, z jakiego kraju przyjechałam, skąd wzięłam się w Paryżu, jak mam na imię. Nie chciał nic o mnie wiedzieć.

Dodał tylko, że jego prace też były na tej wystawie. Odszedł. Nie spytał o mój numer telefonu. A przecież mówił, że chce mnie poznać. I właśnie to wydało mi się ujmujące. Pozwolił, żebym sama zadecydowała, czy go jeszcze kiedykolwiek zobaczę.

19.34

Położyłam się na łóżku, przykryłam kawałkiem kołdry. Lubiłam zapach pościeli w hotelach, taką przypadkowość dotyku. Włączyłam Internet, by poznać najnowsze wiadomości z kraju, i przeczytałam: „Witamy w wielkiej rodzinie właścicieli penisów. Mamy nadzieję, że będziesz się cieszył wieloletnią, bezawaryjną eksploatacją swojego egzemplarza, patrz — FACET. Jednak przed użyciem przeczytaj uważnie przedstawiony poniżej opis wyposażenia, instrukcję obsługi i zalecenia eksploatacyjne u swojego mężczyzny”. Świat gnał w takim tempie, że nikt już nawet nie pomyślał, by na pierwszej stronie zamieścić wiadomość ze świata lub chociażby z kraju...

wtorek

12.23

Już przy drugim pytaniu Maestro spojrzął na mnie nieco znudzony i powiedział:

— Juliette, ja już dawno zrezygnowałem ze swojej legendarnej rozwiązalności, chyba nie chce pani ze mną o tym rozmawiać, na Boga! Przeszedłem metamorfozę. Antagonizm między czystością a rozpustą przestał zaprzęcać moją uwagę, misterne definicje mnie nie obchodzą. Moja żarliwość przepadła, Juliette. Jestem już prochem.

W ten sposób Maestro zaczął — a może i skończył? — rozmowę ze mną. Faktycznie, warto było zostać w Paryżu i znów wydać kasę na taksówkę, by tu dojechać...

— Ale wciąż pan docenia to, czego się pan wyrzekł — próbowałam ratować rozmowę.

— Skąd pani to wie, Juliette?

Nie wiedziałam. Mogłam się tylko powołać na Bruna z jego filmu...

Ale co się będę mądrzyć.

— Naprawdę chcesz to wiedzieć? — łaskawie zdziwił się Maestro. — Bo wszystko jest sferą chęci, Juliette.

Człowiek może nawet latać, jak mu się tylko zechce, i stosownie do woli nagle spadać komuś na

stół, zamiast drugiego dania. Uśmiechnęłam się.

— Czemu nie? Znasz powód, żeby tak nie mogło się stać? — spytał poważnie.

Mówiąc krótko, zaczął się Matrix... Ale przecież to nie jego film.

12.44

Nieoczekiwanie chyba dla samego siebie Escrito stwierdził, że już wie, jak robić filmy dla wszystkich. Gdy się zdziwiłam, powiedział:

— Tak? Nie ma aż takiego populizmu smaku, myśli pani? Aleja inaczej rozumiem „wszystkich” niż ty, Juliette. Dla mnie to może być tylko para, która siedzi teraz gdzieś na ławce na skwerku. On ma zbyt krótkie czarne spodnie, niefortunnie odsłaniają mu skarpetki, brakuje mu harmonii, każda jego część jest na inny temat, ale przecież ona tego nie widzi, bo patrzy na niego inaczej. Istnieje takie spojrzenie, które nic nie mówi, a wyraża wszystko — to właśnie jej. Takie w stylu — moja talia, jego ramię, moja vagina, jego prącie. Ona ma biustonosz starszej siostry, a może mamy, skupiona jest na swojej kobiecości. Ale zostawmy ich w spokoju. Wie pani, wiedziałem, że moje filmy będą zakazane, ale robiłem je, bo chciałem zobaczyć, jak wszyscy się dziwią, chciałem usłyszeć ich pytania — no i czemu jest pan taki zboczony? Czemu taki niepoważny? Kiedy pan wreszcie przestanie? A dlaczego nikt mnie nie spytał, kiedy zacząłem? Przecież to więcej powiedziałoby o mnie, prawda?

12.59

Zapalił papierosa. Wyszedł do ogrodu, stanął pod jabłonią, zadarł głowę do góry. Wydawał się jeszcze drobniejszy... Patrzyłam na niego przez otwarte przeszklone drzwi, sprawiał wrażenie, jakby o mnie zapomniał, ale nie czułam się opuszczona. Może nawet nie chciałam, żeby wracał. Wrócił jednak.

— Juliette, tak naprawdę strasznie mnie nudzi, mierzi i męczy ta poważna rzeczywistość, te rozmowy serio — głupie, mądralskie takie, a przecież o niczym. Gdyby pani wiedziała, gdyby zechciała być na chwilę mną... Tak, szybko zmierzam donikąd, Juliette. Ale w końcu w życiu nie chodzi o bieg, tylko o przebieg. O jakość. O sens. Zgubiłem go, Juliette. Bo i cóż to za sztuka robić filmy? — spytał z nieszczerą skromnością.

W jednym z jego filmów dziewczyna kopuluje, gada o seksie, kopuluje, je, kopuluje z jednym facetem, z drugim, jak to w filmach u Maestro, a potem szuka trzeciego, jedzie do innego miasta, jedzie w ciszy, siada na ławce w parkuje bułkę. Długo puka do drzwi, jego nie ma, siedzi nieruchomo na ławce, a gdy dostrzega, że facet wraca, wsiada do auta i odjeżdża. Szukanie kogoś dla samego szukania to temat tylko na nudę. Jednak nie uważałam za stosowne podzielić się z nim tą myślą.

— Jasne, też bym mogła robić filmy, gdybym nie musiała się martwić o czynsz i o karmę dla psa — żartowałam.

— No i co ja z panią zrobię? — uśmiechnął się.

Przecież to on był tu szefem, więc po co zadał mi takie pytanie? Zaraz mu powiem, że zgadzam się na wszystko, że możemy pójść na grzyby, ugotujemy pomidorową, zagramy w szachy, że adoptujemy dziecko i damy mu mnóstwo miłości. Jasne... Tylko najpierw wywiad, OK?

— Obojętne co, może pan mnie nawet zamordować. I tak wszyscy w tym mieście pana kochają.

— Tak ci wszystko jedno, Juliette?

— Bywają w życiu takie chwile... Pan chyba wie, o czym mówię...

— Lepiej, niż ci się zdaje. Poznałem, co to zwątpienie. Rezygnacja z walki, z każdego dnia. Poznałem, ale wtedy byłem zdrowy, silny, prężny. Kiedyś zrozumiesz, co mam na myśli. Nie lekceważ życia, Juliette.

13.07

Siedział nieruchomo, jakby znów zanurzał się w ciszy, a ja miałam w głowie już tylko *Zombie Cranberries* *hijohee, hijohee, hijoheeee, daaame... e, e, e...* Escribo wielokrotnie dziś powtarzał, że każda scena musi mieć swoją muzykę, tylko w ten sposób można określić nastrój i rodzaj sytuacji, a więc *e, e, e...* A co tam, już i tak mogłam się spodziewać tylko jednego... No i znów się nie myliłam, bo powiedział:

— Juliette, wybacz, ale zaraz mam bardzo poważną naradę. Wiesz, ostatnio częściej rozmawiam z tymi, którzy są już po drugiej stronie. Muszę się położyć spać. Wrócisz do mnie za cztery godziny? O siedemnastej? Tak? Wrócisz? Tylko się nie spóźnij, Juliette. Każda sekunda jest cenna. Obiecuję, że dam ci wtedy wszystko, tylko wróc, obiecujesz...? — żartował ze mnie.

A ty — obiecujesz...?

13.25

— Kiedy wracasz? — usłyszałam znajomy głos z Polski. — Siedzimy w tej redakcji i nie możemy odnaleźć się w twoich papierach, dokumentach, telefonach. Jaka znów taksówka? No chyba nie powiesz mi, że nie potrafisz namierzyć taksówkarza w Paryżu?

Marta nie pozwalała sobie przerwać, więc po co zadawała mi te pytania?

— I jeszcze jedno, kiedy dokładnie prześlesz ten tekst? Julia, przecież wiesz, co jest w śróde! Zamknięcie numeru!!! Zapomniałaś już?! Zadzwoń jeszcze do tego Johna. Jak to nie wiesz, co to za John? Baśka zaraz ci powie, o co chodzi. Pa. — Odłożyła słuchawkę.

Jak to dobrze, że mnie tam nie było.

Do Johna?

Niech zapomną, na pewno nie zadzwonię. Znów telefon, tym razem była to

Baśka!!!

— Wiesz, wcale nie było śmieszne to nabijanie się z mojej fryzury. Powiem ci szczerze, wyglądam beznadziejnie, jak w kasku, one mają rację, ale musiałam to zrobić, musiałam coś w sobie zmienić. Bo w piątek... Przechodziłam na drugą stronę ulicy i musiałam przeparadować przed samochodem Marka. Miałam wrażenie, że ta ulica jest szeroka jak rzeka, że za chwilę utonę. A on siedział za szybą i udawał, że mnie nie widzi. Chłystek, żeby nawet nie wyjść, nie powiedzieć mi „cześć” po tym, co razem przeżyliśmy. Jak w końcu na niego spojrzałam, odwrócił głowę w drugą stronę, udał, że mnie nie widzi, masz pojęcie? No więc kiedy dotarłam do tego drugiego brzegu i zobaczyłam salon fryzjerski, pomyślałam: to moja przystań, zostaję. Nie byłam u żadnego Jędrzeja, oszukałam te snobki, bo się ze mnie nabijały.

Julka, powiedz, czyja naprawdę jestem aż tak beznadziejna, żeby nawet mu się me chciało ze mną przywitać, nawet powiedzieć mi tego głupiego „cześć”?

13.41

Dlaczego zadzwoniła z tym pytaniem akurat do mnie?

Tylko dlatego, że byłam daleko?

Z dala od redakcyjnych korytarzy, plotek, newsów...?

— Baśka, dobrze, że cię nie przejechał... *Sorry*, ale przecież wiesz dobrze, że nie masz wpływu na czyjeś myśli, słowa, chamstwo, obrazę, lekceważenie. Ktoś, kto tak się zachowuje, przede wszystkim sam siebie obraża, po co się tak tym przejmujesz?

— Czy ty możesz sobie w ogóle wyobrazić, co ja czułam? Gdy już przeszłam, pomyślałam, że powinnam stanąć przed tym autem, odwrócić się, podwinąć spódnicę, a potem pokazać mu kciuk do dołu i przejść energicznie. A ja tylko chybotalam się przed nim niepewnie na obcasach, szłam, potykając się, i czułam, że tak się pocę, że aż mam wilgotne włosy... Co za koszmar. Nie wiem, dlaczego ci to wszystko mówię. Tak naprawdę zadzwoniłam dowiedzieć się, jak wywiad z Escrivo.

— Chyba dobrze, ale jeszcze trochę materiału mi brakuje.

Prawdę mówiąc, nie miałam nic oprócz dokładnego opisu jego sekretarza, Pana Hi-Hi.

— Oby był tak dobry jak z Johnem.

— To jest chyba niemożliwe — zadrwiłam.

— Kończę, Janka jeszcze pyta, czy Escrivo jest tak przystojny jak John.

14.29

Utknął! Mój obcas utknął między kafelkami chodnika. Gwałtownie kręciłam stopą, w końcu nie po to tu doszłam, by powrócić do Escrivo boso. Pantofel ocalał, ale przy okazji zdołałam wywołać niechciane wspomnienie — kiedy usiadł na murku, uśmiechnął się, zdjął buty, poszliśmy przez miasto boso... No dobrze, nie mogłam przestać o nim myśleć, miałam wrażenie, że wszystko mi się z nim kojarzyło. Z mężczyzną, którego numer telefonu był wbity w mojej

komórce pod hasłem MK. Próbowałam od tego uciec. Szukałam nieznanych zapachów, chwilowego zagubienia w zapyziałej uliczce miasta, która w żaden sposób nie odzwierciedlała jego cnót...

Spojrzałam na SMS-a ..Dobrze, Julio, już nie będę ci przeszkadzał. Będę cię kochał z oddali. Układaj sobie życie. Kiedyś mi o tym opowiesz” — napisał MK. A przecież tyle czasu się nie odzywał, co mu się nagle stało. Nie będzie już tego „kiedyś”. „Nie martw się, żona wróci” — odpisałam, choć nie sądzę, żeby to go pocieszyło. Takie żony zawsze wracają. Są jak bumerangi, łososie, Lassie, komornicy. Nigdy taką żoną nie będę. Nigdy nie będę niczyją kochanką. Tylko swojego męża, który jedynie mnie będzie chciał kochać. Taki albo żaden. Żadnego pseudożycia. Wszystko musi być w najlepszym gatunku. „Mam nadzieję, że on cię naprawdę doceni” — napisał jeszcze. A on docenił? No tak, zapomniałam, że wcześniej zdążył się ożenić, dopiero potem mnie spotkał. Dreptałam po tym krzywym chodniku w rytmie marsza i powtarzałam — nigdy!

16.55

Gdy taksówka jechała wzdłuż Sekwany, obok Pól Elizejskich, powiedziałam:

— Myślałam, że zapyta mnie pan, ile stali użyto do budowy wieży.

— A po co miałbym panią o to pytać? — zdziwił się my driver.

— Dwie godziny temu jechałam tam, skąd właśnie wracam, z taksówkarzem, który zadał mi trzy pytania dotyczące Paryża. Powiedział, że jak odpowiem, to nie zapłacę za kurs.

— Znała pani odpowiedzi?

— Nie, nie znałam. Nie pierwszy raz. Ja zwykle nie znam odpowiedzi, wie pan, mam taką ułomność. Niby wszystko wydaje mi się jednoznaczne, ale tak jakoś nie do końca prawdziwe.

Odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć. Miał dobrze po sześćdziesiątce, pochodził gdzieś z Azji...

Gdy po półgodzinie zamknęłam drzwi taksówki, w rękę trzymałam dyktafon, telefon komórkowy, skórzaną teczkę z książką i artykułami, torebkę, portfel z kartami kredytowymi... No właśnie, gdzie był mój portfel?! Miałam nadzieję, że spokojnie leżał w hotelu, w drugiej torebce.

17.03

— Czy nie sądzi pani, że ludzie zbyt pochopnie się rozmnażają?

Escribo zadał mi to pytanie, nim zdążyłam zamknąć za sobą drzwi jego gabinetu. Stał przy oknie, tyłem do mnie. Nawet się nie odwrócił.

— Nie chce pani o tym rozmawiać?

Kontynuował, jakby prowadził wewnętrzny monolog.

— Myślałem, że ten temat panią pociąga, bo jest pani kobietą. Biustem. Macicą. Biodrami. Te dzieci zapraszane na świat przez lekkomyślnych kochanków są takie wrzucone w świat jak w morze. Czy to nie jest dla pani problem? Nie przeraża panią brutalność egzystencji?

— Czy mnie przeraża?

Kocham życie, ale przecież nie będę go straszyć tezami nie z jego bajki. Wydawał się udęczonej. Chyba nie mną...

— Wie pani, wszyscy ode mnie żądają, żebym porwał ich jakimś tematem, ale przecież od tego mają Szekspira. Mógłbym też pomówić z panią, Juliette, o tak zwanym gorzkim smaku

nieszczęścia, odrzucenia, samotności, przytulania się do śmierci, ale co pani o tym wie? A może powinienem wyjść na ulicę i spytać kogoś: „Chcesz milion? To poproś, wystarczy tylko, że to zrobisz”. Proszę się nie uśmiechać, jestem naprawdę hojny i dobry. No tak, ma pani rację — jestem tylko tak dobry jak mój ostatni film. Wie pani, często mówiłem sobie: „Jak przetrwasz, to dziękuj za kolejną szansę, ale nie za te upodlenia”. Umiałem to, czego nie potrafili zrobić zdolniejsi ode mnie. Po prostu czasami sprawiałem, że wszystko stawało się możliwe. Ale po co ja znów o sobie... A słyszała pani, że właśnie wyświęcono we Francji kobietę, i to na pokładzie statku? To dopiero temat. Albo coś takiego — ona ma na imię Ina. On Jacob. Właśnie się poznali. Ich miłość potrwa rok. A wie pani, co ją zniszczy? On jej powie, że chciałby się z nią kochać w bramie, że to jego obsesja, kochać piękną kobietę swojego życia w brudnej, śmierdzącej bramie. Zgodziłaby się pani na to?

— Gdybym była kobietą jego życia — na pewno.

— Na pewno... O ile w ogóle jest takie słowo w życiu jak „na pewno”. Wie pani, coraz bardziej nie pasuję do pesymistycznej formuły myślicieli wiecznie zatroskanych stanem świadomości tak zwanej ludzkości. I tak wszyscy skończą marnie. Jednak teraz sam muszę zmierzyć się z tym dylematem. Ale przecież pani chce rozmawiać o filmach, prawda? Podobno ktoś zrobił film tak katastroficzny, że wybuchy z planu zdjęciowego było widać w kosmosie, słyszała pani coś o tym? Myśli pani, że o to chodzi w filmie? Strach tak łatwo jest pokazać. A samotność? Jak pokazać samotność? I ten lęk, który aż dusi. Chyba za mało się znamy, żebym się pani zwierzał, prawda, Juliette? Boi się pani czegoś? Coś panią hamuje w życiu? Jakiś lęk?

— Staram się być odważna.

— Dobrze, że przyjechałaś. Mam ci tyle do powiedzenia. T zamilkł

17.25

Patrzyłam, jak znów zapalił papierosa, wciąż stał w otwartych drzwiach do ogrodu, tyłem do mnie. A potem stwierdził, że zbliża się pora posiłku, której nigdy nie zaniedbuje, i zaproponował mi wspólne zjedzenie kolacji. Zamiast wywiadu poznawałam upodobania smakowe Escribo i przy okazji Napoleona. „Ten to dopiero niechlujnie się odżywia...” — zaczął szczegółowy wykład o cesarzu, po czym znów powrócił do tematu kobiet w ciąży, zadał kilka mętnych pytań ni to mnie, ni sobie i wymownie spojrzał na mnie w oczekiwaniu na odpowiedź na coś, co dotyczyło chyba lekkomyślności rozmnażania.

— Czy to jakaś niemoralna propozycja? — spytałam z uśmiechem.

— A cóż to za niemoralne pytanie? Podstępne kobiety żyją na każdej szerokości geograficznej, Juliette, kobiety, które podejmują za mężczyznę decyzję potajemnie, skrycie, wykorzystują tę swoją broń w postaci ukrytego wnętrza jajeczka przygotowanego do życia, robią to podstępnie wobec mężczyzny, którego rzekomo kochają, a jednak postępują z nim jak wróg, jak obcy wywiad, jak jakaś Nikita, no tak, co kobita, to Nikita. Dlaczego on miał przystać na tę zdradę? Czy sądzi pani, że to brzuch łączy ludzi? Nie serce? Albo żołądek? Smakuje pani jagnięcina?

Jagnięcina...

18.10

Przy deserze ośmieliłam się powiedzieć, że kolacja była wyśmienita, a rozmowa wyborna, ale przyjechałam tu po to, żeby zadać mu kilka własnych pytań i nie opuścić jego domu bez wywiadu.

Nie przejął się tym.

— Ależ proszę uprzejmie, może pani zostać, Juliette, dom jest duży. Zaraz poproszę Augusta o przygotowanie pokoju — zażartował.

18.17

I faktycznie zawołał Pana Hi-Hi. Poprosił o przyniesienie wina, wydał mu kilka szczegółowych dyspozycji dotyczących tego, do kogo ma napisać wieczorem listy.

Po czym powiedział zupełnie nie na temat:

— Pamiętaj, Juliette, mężczyzna powinien zabierać kobietę do miejsc, które jej obiecał. Szczególnie do tych, do których mieli dotrzeć nocą.

— A pan pamięta, co mi obiecał?

Umówiliśmy się na dziewiątą rano.

18.59

— Proszę się nie denerwować, zaraz przywieziemy pani portfel. — Dziewczyna w teletaxi mówiła tak wolno i cicho, takim dyskretnym szeptem, że z trudem ją słyszałam. Mogłaby pracować w tajnym wywiadzie, ciekawe, czy miała właśnie dni płodne...

— Muszę go mieć — powtórzyłam. — Jutro mam samolot. Jestem obok Opery — powiedziałam.

Mówiąc dokładniej, już od pół godziny siedziałam przed Operą i czekałam na znajomego taksówkarza, który odnalazł się wraz z moim portfelem. Na szczęście wpadł pod przednie siedzenie i tak sobie pojeździł przez nikogo niezauważony.

20.01

Wzięłam lampkę wina i wyszłam na taras z widokiem na ruchliwą ulicę. Paryż wydawał mi się miastem spieszących się ludzi... Wpatrywałam się w oświetloną ulicę, w przebiegającą przez pasy dziewczynę, podziwiałam jej piękny — z góry — biust w błękitnym swetrze. Potem patrzyłam na starszą parę, która chybotliwie przemierzała ulicę, jakby miała kłopot z oswojeniem grawitacji.

Nie powinnam tu przyjeżdżać, nie powinnam zabiegać o zaproszenie Escrivo, teraz już to wiedziałam. Nie dlatego, że nie potrafiłam sobie z nim poradzić. To miasto wzmagало mojego pecha, wydawało mi się obsceniczne i podstępne.

— To ty, Julio? — W słuchawce usłyszałam głos swojej siostry. — Dzwoniłam, ale chyba byłaś zajęta. Jak wywiad?

— Jutro mam.

— Jak to jutro? Przecież jutro miałaś go oddać.

— No tak, i mam nadzieję, że to zrobię. Nie mogłam tego przyspieszyć.

— Nie mogłaś go uwieść, poderwać, whatever?

— Monika, on ma osiemdziesiąt lat! Poza tym nie wiem, czy on w ogóle zauważył, że jestem kobietą. Patrzył tylko na moje stopy. A co u ciebie?

— Nie wychodzę za mąż — usłyszałam w słuchawce.

— Jak to?

Głupie pytanie. Niby nic w tym nadzwyczajnego, w końcu ja też nie wychodziłam. Ale jej ślub miał być już za kilka tygodni... Monika powiedziała to tak spokojnie i stanowczo, że od razu uwierzyłam. Przez chwilę pomyślałam o swojej sukience, której nie włożę, taka skromna, ale i nieskromna, z tyłu dekolt, z przodu grzecznie, wokół ciała, pod spodem te, za przeproszeniem... albo lepiej nic, i do tego buty za fortunę... Za całą moją pensję!

— W ogóle nie wychodzisz? Czy też wychodzisz za kogoś innego? — próbowałam żartować.

— Zerwałam dziś z Bułkarzem — usłyszałam spokojny głos Moniki.

I słusznie, bo co to w ogóle był za pomysł, żeby z nim być... Ale przecież...

— Przecież kilka miesięcy temu był taki sam. Nie widziałaś tego?

— Myślałam, że dorośnie. Julka, byłam naiwna. Ale teraz już wiem, że jego miejsce jest przy mamusi. A ja jeśli chcę wychować swojego syna, oczywiście o ile to będzie syn, na poważnego, odpowiedzialnego faceta, to nie mogę dać mu za tatusia takiego kolesia, który się go przestraszył. On boi się wszystkiego poza swoimi kłamstwami, poza brakiem uczciwości i odpowiedzialności! Mama miała rację, chyba naprawdę lepiej być z głupcem niż z tchórzem.

— Przecież ty chyba też to wiedziałaś...

— Julia, ufałam mu, kochałam go. Godziłam się na kolejne terminy ślubu. Chciałam założyć z nim rodzinę, wierzyłam, że on pragnie tego samego, przecież to była nasza wspólna decyzja, oboje chcieliśmy mieć dziecko, chciałam, żeby...

— Hola, ale czy ty nie za szybko żyjesz? — spytałam.

Naprawdę tak żyła. Jakby wykupiła bilet w pierwszej klasie inter city live i gnała w przedziale numer pięć bez trzymanki przez pola, lasy, góry, wsie, choć na pozór nie ruszała się z miejsca. A jednak była już w tyłu... Monika to blondynka z delikatnym, ale i konsekwentnym charakterem, z rosnącym jak słoneczniki brzuszkiem. Miałyśmy się umówić na zakupy i zaszaleć w sklepach dla kobiet przy nadziei. Tak mi się tylko wydawało. Teraz czekały na nas sklepy dla kobiet bez nadziei.

— Właśnie powiedział mi, że się boi, rozumiesz? Tak mnie kocha, że aż ze strachu nie może w to życie ze mną wejść... Gdyby on chociaż uczciwie powiedział: „Słuchaj, mała, nie kocham cię, a miłość jest dla mnie najważniejsza, więc nie mogę z niej zrezygnować, nie chcę, boję się, to nie moje życie, nie przy tobie ono powinno się toczyć, lecz przy

kimś, kto gdzieś pewnie na mnie czeka, może... to się zdarza, przecież rozumiesz, bądźmy dorośli...”. Nie, on nie miał odwagi mi tak powiedzieć. On boi się wszystkiego poza patrzeniem na siebie w lustro! Rozumiem, że odczuwa się lęki, nigdy też się nie jest do końca sobą, ale

przynajmniej chce się dowiedzieć, kim się jest! On nie chce. Mógłby dzisiaj siedzieć przede mną w kawiarni w samych majtkach, z pieluchą, w blond peruce, z pejsami, w turbanie, w krótkiej kiecce, wszystko jedno. W każdej z tych sytuacji byłby bardziej autentyczny niż niby będąc sobą. Ten facet to mistrzowski przykład patologii własnej... Julio, tylko nie przypominaj mi tych jego bajek. Nieważne, jakie historie przywiodły mnie do punktu, w którym teraz jestem. Ważne jest dla mnie tylko to, że doszłam do niego o własnych siłach i świadomie. Świadomie chciałam z nim być. Świadomie go kochałam. Świadomie słuchałam jego kłamstw. Świadomie odstawiłam tabletki. Świadomie dziś wysłuchałam go po raz ostatni. Świadomie patrzyłam na niego i myślałam tylko jedno: „Ale dupek”. Nie ma już o czym mówić, chciałam tylko, żebyś wiedziała. Już wystarczy, już cię nie zanudzam, taka banalna ta moja historia.

Słuchałam rozważań Moniki i przez głowę przelatywały mi zdania z redagowanego przed wyjazdem artykułu o bardzo wzniosłym tytule Wielka małżeństwomania: „Na pewno zauważyłaś, że dokoła szerzy się ślubna gorączka”.

No i gdzie ta mania? Z tego, co pamiętałam, Monika na lewym palcu miała tylko ostatnio palec swojej córki Bibi.

— Julia, wracasz jutro? Stęskniłam się za tobą. Przepraszam, poczekaj chwilę, bo chyba Bibi się obudziła. Możesz chwilę poczekać?

Pewnie, miałam dużo czasu. Spokojnie czekała na mnie praca, o której marzyło wiele dziewczyn, miałam świetnych znajomych, obracałam się w środowisku tak zwanej elity, spotykałam się z ludźmi, z którymi można pójść na bankiet, tylko po to, by się pokazali i uśmiechnęli przed panem foto numer dwadzieścia pięć, a rano z rozkoszą większą niż orgazm odnaleźli swoje zdjęcie w internetowym przeglądzie zbiorówek towarzyskich.

Czułam, jak moja kariera przez małe „k” rozmywa się wokół lewego serdecznego palca. Bo bardziej od tego, co posiadałam, pragnęłam być mocno kochana. Miałam dość tego gonienia, gubienia się we własnym życiu, wpadania na mężczyzn, dla których byłam fascynacją, a oni nie próbowali choćby poudawać stać się przez chwilę moją. Pragnęłam być tylko i aż kochana. Pragnęłam powiedzieć wreszcie to upragnione „tak” i nawet od czasu do czasu uprać przyszłemu mężowi skarpetki, to znaczy wrzucić je do pralki i zapomnieć, że tam są. Tylko gdzie on był?

20.22

— Kiedy wrócisz? — W słuchawce usłyszałam głos Bibi. — Tęsknię już za tobą. Bo wiesz, wczoraj na dziedzińcu znalazłyśmy biedronkę ze złamanym skrzydełkiem. Pobiegłyśmy z Anią do pana ochroniarza, on odkręcił nam wodę. Ten pan jest bardzo miły, wiesz który, prawda? Nigdy nam nie odmawia i jak mówię „dzień dobry”, to odpowiada. Julio, czy ona przeżyje?

— Pewnie. Nie martw się, bardzo dobrze postąpiłaś. Jeśli można jej było pomóc, to na pewno ty to zrobiłaś. Wiesz, że cię Kocham?

— Wiem. Chciałabym, żeby ta biedronka żyła. Żeby poleciała daleko. Przecież może ktoś na nią gdzieś czeka.

Bibi miała siedem lat.

21.06

— Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale muszę ci jeszcze coś powiedzieć. — W słuchawce usłyszałam głos Moniki. — Bo Bibi dopiero przed chwilą zasnęła. Jak wracałyśmy do domu, potknęłam się. Nic mi się nie stało, ale Bibi się przestraszyła. Po czym spojrzała na mnie i

powiedziała: „Uważaj, daj mi rękę. Musimy się przecież sobą opiekować”. Żebyś ty wiedziała, co ja wtedy poczułam... Zrobiłam jej krzywdę. Wybierając mężczyznę, powinnam zrobić to też z myślą o niej. Jak ja mogłam wybrać kogoś, kogo nie stać nawet na prawdę. Jak on mógł mnie okłamywać?

Chciałam przytulić Monikę, ale byłam za daleko. Chciałam pocałować Bibi, ale brakowało mi tysiąca kilometrów. Tak bardzo pragnęłam pogłodzić Monikę po brzuszku, a Bibi po głowie, i wtedy poczułam, że cokolwiek bym zrobiła, to moja siostra i tak sama będzie przeżywała swój ból.

— A może jeszcze coś się zmieni... — próbowałam bez sensu wciąż ratować sytuację.

— Julio, proszę, traktuj mnie poważnie! Nawet gdyby Bułkarz stanął teraz z różami i wyciągnął tablicę, kolorowe flamastry, rysował wykresy i tłumaczył mi swoją filozofię, nawet gdyby napisał esej ozdobiony esami-floresami — nie zrozumieję tego. A zastanawianie się nad jego przypadkiem i klasyfikacja mężczyzn mnie nie bawi, bo oni dzielą się tylko na dwie kategorie: a) fajnych i b) nefajnych. Bułkarza pod punktem a) nie ma. Jak więc mam gadać z kimś, kogo nie ma?

Rozumiałam to lepiej niż cokolwiek innego na świecie.

środa

9.45

— To z pani rocznika. Wypijemy dziś za panią. Escribo podał mi kieliszek.

— A skąd pan wie, z jakiego jestem rocznika? Ile mam lat?

— Wiem więcej, niż ci się wydaje, ślicznotko—uśmiechnął się. — Czy myślisz, że ja naprawdę umawiam się na wywiad, nie wiedząc nic o danej osobie? Musiałbym być głupcem. Może niektórym wydaje się, że taki właśnie jestem, bo wiele głupich rzeczy w życiu zrobiłem, kilka z nich bym powtórzył, inne nie. Ale nikt nie może powiedzieć, że jestem głupcem. Mądrość życiowa jest ze mną zawsze. Tak więc twoje zdrowie, panno Juliette. Twój rocznik to wyjątkowo dobre i słodkie winogrona... Mimo że nie masz dziś urodzin, życzę ci dużo szczęścia.

9.56

Onieśmielona tą odmianą Escribo, przechyliłam kieliszek, choć jak dla mnie było dość wcześnie na degustację nawet tak wyborczego wina.

— Pewnie zastanawiasz się, dlaczego jestem taki miły i ciepły dla ciebie — przerwał moje rozważania. — Obserwowałam cię, patrzyłem, ile wytrzymasz, by mieć ten materiał, sprawdzałem, jak bardzo jest on dla ciebie ważny, ile w nim będą znaczyły moje słowa. Zaskoczyłaś mnie, i to nie tylko raz... Wczoraj był u mnie mój przyjaciel, przyszedł kwadrans po tobie. Szkoda, że cię nie zatrzymałem dłużej.

— Dlaczego szkoda?

— To ciekawy człowiek, tylko życie go trochę oszukało. Okazało się szybsze od niego.

Zdolny, bardzo wrażliwy. Samotny. Wyrusza na nieznane lądy i nie wychodzi na brzeg.

— To miło, że wczoraj pana odwiedził, że dotarł na pana brzeg — powiedziałam bez sensu i zaraz dodałam: — Po co miałabym wam przeszkadzać? Wystarczy, że zachwycalam się panem.

— Może by się pani spodobał. Kocham go jak syna, choć jest moim absolutnym zaprzeczeniem. Gdybym umiał malować, wszystkie postaci miałyby jego twarz. Jego oczy. Chciałbym je widzieć, kiedy będę umierał. Chyba stałem się strasznie sentymentalny na stare lata, wie pani, może zawsze taki byłem, ale teraz tak miękko, tak seksualnie i namiętnie wchodzę w swoją duszę, jak kiedyś kochałem się z kobietami. Może to panią zdziwi, ale zawsze brzydziłem się swojej fizyczności. Za chwilę stanę nago przed lustrem, będę patrzył na swój brzuch i myślał, co mam tam w środku. Nie znoszę tych chwil, gdy jestem tylko sobą, nie znoszę fizjologii. Zawsze lubiłem niebezpieczne ścieżki, ale nie te, które biegły do wewnątrz mojego ciała. Umieję patrzeć na świat tylko prześmiewczo. Kobiety mnie wcale nie bawiły. Najwyżej onieśmiały.

— Mnie wciąż pan onieśmiela.

— Nie przesadzaj, Juliette. Trzeba było widzieć minę, z jaką na mnie spojrziałaś, mówiąc te słowa. Nie rozmawiaj

tak ze mną. Nie jestem starą primadonną, której trzeba dodawać komplementami urody. Jestem starym, słabym reżyserem, choć kiedyś okrzyknięto mnie wy-bit-nym talentem. Jestem zmęczonym, samotnym człowiekiem, który ma coraz mniej czasu. Dlaczego tego nie widzisz? Dlaczego nie rozmawiamy teraz o ważnych sprawach? Dlaczego nie mówisz mi, że umieram? Dlaczego wciąż nie przeczuwamy, że będą słowa, których nie zdążymy sobie powiedzieć?

10.11

Powiedział to specjalnie, zrobił to z premedytacją... Chciał mnie przyłapać na lęku, tak jak kiedyś przyłapywał swoją matkę, gdy malowała usta. Mówiła do niego: „Chodź, dam ci buzi” i chwilę później smarowała mu na czerwono policzki, a on miał wrażenie, że to jakaś obca kobieta. Z głową wyczesaną jak u ciotki Zuli, z dekoltem pani Gourrand szła na randkę z mężczyzną z członkiem wuja Pierre'a. Nawet nie chciało jej się udawać, że było inaczej. Zrobiła sobie z syna swojego małego mężczyznę, który powinien ją zrozumieć. Jak, mając taką matkę, mógł myśleć o kobietach inaczej niż „dziwki”? Dzięki niej został reżyserem.

— Szkoda, że nie mogła pani być u mnie wczoraj, ciekaw byłbym pani zdania na temat naszej dyskusji. Mój przyjaciel Michael będzie miał drugie dziecko. A teraz sam jest jak małe dziecko przestraszone tą całą sytuacją. Jest przystojnym facetem, nie stroni od kobiet. A one, te niby marne materie, nie wiedząc, jak go zatrzymać przy sobie, zachodzą w ciążę.

— Czuję się, jakby opowiadał mi pan swój ostatni film...

— Bo ten mężczyzna w pewnym momencie stał się moją inspiracją.

— Dlaczego? Dlatego, że będzie miał to dziecko z inną kobietą, niż ma pierwsze?

— Może... A co panią do tego zraża? Escribo wstał, by dopełnić kieliszki.

— Może lekkomyślność? — powiedziałam.

— Jego czy tych kobiet? Nie myślę, żeby on był lekkomyślny. Raczej zbyt odważny na to, by kogoś okłamywać całe życie i udawać, że wszystko gra. On jest bardzo poważny w wybieraniu ludzi. Mówiłem już pani o tym, że byłem kiedyś komikiem?

— I w jednym z numerów wcielał się pan w kobietę w ciąży?

— Nie, w łysogo faceta bez ciąży. Tak mnie śmieszył ten dowcip, tak się chichrałem na scenie, tak dławilem ze śmiechu, łapałem za brzuch, że nigdy nie zdołałem go ludziom opowiedzieć, nikt się nie dowiedział, kto jest bohaterem mojego żartu, tylko ja wiedziałem. Teraz jeszcze wie o tym pani. Ale cicho, nikomu nie mówimy, bo jak ci... no wiesz, Juliette, się dowiedzą, to wystrzelą rakiety prosto w nasze trzewia i wybuchnie kolejna wojna, wojna światów, wiesz. I znów będę musiał być wybawcą ludzkości, a ja czuję się już tak cholernie zmęczony, już nie chcę nikogo ratować, ulepszać, oświecać, zbawiać. Chyba że panią, ślicznotko... — uśmiechnął się jak mały chłopiec.

— Przepraszam, znów przemówił przeze mnie mój brat bliźniak, ten gorszy, ale sztucznie odmłodzony, po liftingu, podciąganiu powiek, poszerzaniu szczęki, po botoksie, ten, który podstępnie chciał mnie zjeść w łonie matczynym, o matko!, i mimo sędziwego już wieku w dalszym ciągu co jakiś czas mnie nachodzi. Co ja plotę! A pani mi nie przerywa. Juliette, tak mnie strasznie nudzi, mierzi i męczy ta poważna rzeczywistość, te rozmowy serio-głupie, mądralskie takie, a jednak o niczym. Gdyby pani wiedziała, gdyby zechciała być na chwilę mną... O czym to my rozmawialiśmy, tak sobie gawędziliśmy wesoło? O Michaelu. Pomówmy o nim, o wiele bardziej wart jest rozmowy i rzetelnej analizy niż ja, zapewniam panią. I proszę nie protestować, bo pomyślę, że podważa pani mój autorytet i za-gry-zę... A więc kocham go jak syna. Ale już chyba to mówiłem.

10.23

— A może chciałby być pan taki jak on? — próbowałam, nie zmieniając tematu rozmowy, przejść do tego, co mnie interesowało. Do niego. W końcu przyjechałam tu po to. by rozmawiać z Escribo na jego temat.

— Jestem jak on, dlatego tak świetnie go rozumiem. Przeżyłem podobne rzeczy, moje filmy w większości są autentyczne. Kochałem prawdziwie może raz, i to kobietę, która za mało razy na mnie spojrzała. Ale poczułem ją, zdobyłem, byłem w niej...

Typowy samiec, pomyślałam, tylko z innej kultury, bardziej paryskiej.

— A którą z tych kobiet on wybrał, ten pana przyjaciel? — spytałam.

— Żadnej.

— To chyba jednak dobrze, że go nie spotkałam, bo jeszcze by mnie niechcący zapłodnił... Ale dobrze, że ma pan takiego przyjaciela, dzięki niemu we Francji wzrośnie przyrost naturalny.

Chyba zirytowałam go tym stwierdzeniem, bo nagle wstał i po prostu wyszedł.

11.05

Z redakcyjnym materiałem byłam wciąż w lesie, i to razem z jakimś Michaeliem i jego niewyobraźalnie wielkim testosteronem.

— Wie pani, byłbym o wiele szczęśliwszy, o ile mogę użyć takiej kategorii, gdybym rósł tylko przy jednym z rodziców. Dzieci łączą tylko tych, którzy się mocno kochają, wiem coś o tym.

— To pana historia?

— Nie. Jestem tego samego zdania co Marquez — historia to wcale nie to, co się wydarzyło naprawdę, ale głównie to, co sobie ludzie przypominają i jak o tym opowiadają. Miałem szczęśliwe życie.

— Cieszę się. Widać to.

— Wie pani co, Juliette, jestem trochę zmęczony. Czy możemy dokończyć jutro?

Co? Jutro? Przecież dzisiaj miałam dostarczyć materiał.

— Ale ja dzisiaj wieczorem wylatuję.

— To trudno, nie dokończymy.

Znów mnie sprawdzał, testował, na ile zależało mi na tym materiale, na tym, bym go naprawdę poznała, co wymagało ode mnie podporządkowania. Nie byłam pewna, czy chcę mu udowodnić, jak wiele dla mnie znaczy ten wywiad. Wydawało mi się, że rozmowa to wymiana myśli, przynajmniej taka idea leżała przy moim założeniu, gdy weszłam do tego domu. Jednak on zrobił z tego wymianę siły.

— Mogę jutro dokończyć, przepraszam, ale dziś już się wyczerpałem. Muszę jeszcze na jutro przygotować kilka scen do filmu. Ale skoro nie możesz, to trudno... Cóż mogę jeszcze dla ciebie zrobić? Mogę jeszcze powiedzieć ci wiersz:

Kto jest w pokoju obok? Kto?

Zdało mi się, kogoś dojrzałem.

W przedświcie szedł, spowity mgłą,

Twarzy nie rozpoznałem.

„Nie. On szedł zupełnie tajemny. Niczego nie widziałeś „*.

Milczałam. Nasze spotkanie zaczynało przypominać konkurs recytatorski.

— Dobrze, Juliette, powiem ci więc jeszcze jeden kawałek:

Gdy włącząc się bez celu w upał godzinie,

Pod stopami mech mając i liście powiędłe,

Nagle dojrzysz dreszcz prędkości: coś jak strzała śmignie,

By się skryć — dobrze wpatrz się w liście, ja tam będę**.

11. 28

— Napisz, Juliette, że na starość stałem się bardzo sentymentalny, że lubię czytać wiersze, że bliski stał mi się Thomas Hardy. I pomyśleć, że został pisarzem, a nie architektem, bo gdy pochylał się nad deską z rysunkami, widział plamki przed oczami i bał się, że straci wzrok. Jakże to zabawne, że pisanie wydało mu się bezpieczniejszym sposobem zarabiania. Szkoda, Juliette, że chcesz wyjechać.

* fragment wiersza Thomasa Hardy'ego „Kto jest w pokoju obok”, przekład Zygmunt Kubiak

** fragment wiersza Thomasa Hardy'ego „Jaszczurka”, przekład Zygmunt Kubiak

I to jego „szkoda” jeszcze długo dźwięczało mi w głowie.

Wysłałam.

Nie miałam wyboru.

Musiałam przebukować bilet.

11.35

Mówiłam sobie, że jeśli grał, to OK, ale niech już przestanie. Liczyłam, że jednak zadzwoni, żebyśmy dokończyli wywiad. Zostało tak niewiele. Tak prawie nic. Ale nie. Postawił mnie nad przepaścią i odszedł, mówiąc: „Zobaczymy co zrobisz, maleńka”, jak stało się z jedną z bohaterek jego filmu. No i co miałam zrobić?

12.55

Weszłam do kawiarni wypić espresso. Naprawdę nie wiedziałam, co zrobić. Za cztery godziny miałam lot. Nie mogłam dłużej czekać. Zadzwoniłam do redakcji, nie chciałam zostawić rozgrzebanej, niedokończonej sprawy. Nie potrafiłam tak po prostu wejść do samolotu i beztrudno poszybować w stronę domu. Nie mogłam przecież zostawić pustych stron w gazecie. Brakowało już tak niewiele. Przecież miał to być mój ogromny sukces, wywiad wyrwany z gardła Escrivo, szczere wyznania ekscentryka. Nie potrafiłam zrezygnować z moich marzeń o karierze, w której Escrivo miał być moim współnikiem. Dlaczego on mi to robił? Dlaczego mścił się za wszystkie kobiety i połowę mężczyzn na mnie?

Nie mogłam wrócić do redakcji, a raczej nie chciałam, zanim dokończę to, co zaczęłam. Albo nie dokończę. Co

tam, najwyżej mnie zwolnią. A ja sobie wtedy powiem: „Widocznie tak miało być”.

Wzięłam łyk kawy i wykręciłam numer naczelniej.

— Witaj, Olu, nie wrócę dzisiaj do Polski i nie wyślę ci dzisiaj tekstu.

Zaczęłam z grubej rury. Nawet nie spytałam, co słychać, jaka pogoda. Nic. Było mi bardzo przykro, że nawaliłam, że nie skończyłam tego na czas. Ale przecież to nie zależało ode mnie.

— Jadę zaraz na lotnisko — kontynuowałam — przebukować bilet. Przykro mi. Ale to naprawdę trudny rozmówca.

— Julia? Co się stało?

— Escrivo przerwał dzisiaj spotkanie, powiedział, że jest zmęczony, że ma moją pracę gdzieś i tak po prostu skończył sobie rozmowę. Mogę wrócić dziś, ale nie będę miała zdjęć i części tekstu.

— To jak ty to zrobiłaś? Co ty sobie wyobrażasz? Przecież dzisiaj zamykamy numer. I co ja wyślę do produkcji? Co powiem prezesom?

— Prawdę — powiedziałam. — Ja nie zostaję tutaj na imprezę. Chociaż szczerze mówiąc, marzę teraz tylko o niej. Przecież wszyscy wiedzą, jak ciężko przekonać go do wywiadu.

— Julka, ale tobie się to udało! Dlaczego nie wykorzystałaś swojego wdzięku, tak jak wtedy do tej sesji z gołymi klatkami? Julka, tak w ciebie wierzyłam.

I całe szczęście, że nie wykorzystałam tak swojej kobiecości, pomyślałam.

— Nie zawiodłam cię. Przebukuję bilet ze swoich pieniędzy. Jutro prześlę ci e-mailem gotowy tekst, będziesz go mogła dać do gazety. Do produkcji ten materiał i tak idzie dopiero w poniedziałek. Wrócę, wszystko ci później wytłumaczę. I jeszcze raz przepraszam.

14.34

I tak straciłam sto czterdzieści euro na samolot i trzysta euro na hotel! I nawet nie kupiłam sobie

wacików... Zadzwoiłam do sekretarza Escrigo i zostawiłam wiadomość, że bardzo go proszę o wyznaczenie na jutro spotkania. Powiedziałam, że przebukowałam bilet i że wracam jutro wieczorem.

Prawda była jednak inna.

Wracałam w piątek, bo niby do czego miałam się tak spieszyć, by lecieć ostatnim samolotem w czwartek? Do redakcji i tak nie zamierzałam już iść. Czekał na mnie pusty dom z pustą lodówką i świat z pustym kontem. No dobrze, mogłam zostać do niedzieli. Ale tego nie przeżyłaby moja karta kredytowa. Bo choć debet był na niej duży, dzisiaj już został wyczerpany do cna.

Ale nie chciałam, by Escrigo o tym wiedział, by przypadkiem nie zechciał się spotkać jutro. Tak jak on grał ze mną, ja zagrałam z nim.

Położyłam się na łóżku, włączyłam komputer. Byłam wykończona, ale chciałam ułożyć w jedną całość to, co dzisiaj usłyszałam. Nie było tego dużo. Większość czasu zajęła opowieść o jakimś Michaelu, którego nawet nie widziałam na oczy.

Ale to nieważne.

14.56

„Nie przejmuj się. Dasz sobie radę” — Monika wysłała mi SMS-a. Tak bardzo chciałam, żeby była kochana. By wreszcie jakiś mężczyzna docenił w niej to wszystko, co w sobie miała najcenniejszego, a nie tylko wykorzystał jej słabość, delikatność i uległość. To zabawne, bo jej historia układała się zupełnie odwrotnie niż Michaela, o którym tak dużo opowiadał Escrigo.

19.23

Nie mogłam przestać myśleć o tym mężczyźnie ze zdjęcia, które oglądałam na wernisazu. Tak bardzo chciałam, żeby żył. Był na nim taki przestraszony i zrezygnowany, a jednak w oczach miał nadzieję... Nadzieję przeżycia. Wciąż widziałam jego spojrzenie, w którym odbijały się tak ostre kolory jak przed końcem świata.

Wyjęłam karteczkę, którą dostałam na wernisazu.

Imię i nazwisko tego chłopaka, którego poznałam na wystawie, nic mi nie mówiło, a jednak napisałam do niego e-maila...

Wciąż mam przed oczami spojrzenie tego mężczyzny. Jak nie napiszesz mi, czy to było jego ostatnie spojrzenie, zawsze je będę miała przed sobą...

PS Znasz tego, kto zrobił to zdjęcie?

Pozdrawiam, Julia.

Schowałam karteczkę do torebki.

20.00

— Pani Juliette? — usłyszałam głos asystenta Escrigo. — Reżyser proponuje spotkanie za godzinę.

— Za godzinę? Będzie już noc.

— To zależy od pani, czy pani przyjdzie, pani Juliette. Ja tylko przekazuję informację. To pozdrawiam, hi, hi.

I się wyłączył. Dziwny ten francuski świat. Dziwny ten Escrivo. Czulałam się jak jego cień, który na chwilę gdzieś mu się zgubił. Byłam grzeczna i posłuszna jak nigdy. Co powiedział, to robiłam.

Teraz też.

21.17

Nie zapalił lampki, choć było już prawie całkowicie ciemno.

— Wie pani, Juliette, ja umieram. W nocy tak bardzo się boję, tak strasznie, że proszę Augusta, mojego sekretarza, żeby mocno mnie przytulał, żeby trzymał mnie w ramionach, uspokajał mnie, kołysał i tulił jak dziecko. Chwilami jestem samotny...

— Pewnie jak każdy — powiedziałam taki banał, że aż się zaczerwieniłam, po czym dodałam:

— Może dlatego czasem skupiamy wokół siebie pełno ludzi. Może potrzebujemy tego po to, by jeszcze głębsza stała się nasza samotność. Niekiedy tak bardzo jesteśmy samotni, że nawet nas samych z nami nie ma. Miał to pan kiedyś?

Odnosiłam wrażenie, że tak właśnie z nim teraz było. Rozumiałam go. Coraz bardziej stawał się mi bliski. Zapragnęłam dotknąć jego dłoni, pogłodzić go po niej. Nie wiedziałam, czy miał rodzinę, kogokolwiek prócz tego starego asystenta, ale nie chciałam o to pytać. Nawet jeśli miał, to nie oni z nim teraz byli. Tylko ja. Przez chwilę nawet pomyślałam, że może to sukces, kariera sprawiła, że

w jednej części życia błyszczał w świetle reflektorów, był z tłumem i w tłumie, a teraz odchodził w samotności... Żegnał się tylko ze mną.

— Lubię tę samotność. Przywykłem do niej — przerwał moje rozmyślenia Escrivo.

Kłamał. Wiedzieliśmy o tym oboje.

— Augustcie, czy możesz nam przynieść kieliszki? — zadzwonił nieoczekiwanie do asystenta. — Musimy z panną Juliette wnieść toast za nasze spotkanie.

A potem, próbując zmienić temat, zwrócił się do mnie.

— Pewnie zastanawiasz się, czy August jest moim kochankiem?

Prawdę mówiąc, nie myślałam o tym wcale. Widziałam w nim silnego, a jednocześnie słabego człowieka, choć niepokornego, więc nic w nim nie mogło mnie zdziwić. Spoglądałam na jego fotografie wiszące na ścianach, przedstawiające, jak odbiera nagrody, na wszystkich był uśmiechnięty. Wydawał się taki wielki, niezniszczalny, nieśmiertelny.

— Nie, dlaczego?

— Nie krępuj się, pytaj, to w końcu twój zawód. Nie umiesz sobie wyobrazić, jak wygląda para takich brzydkich starców wczepionych w siebie, tak?

— Wystarczy, że widzę, jak on jest panu oddany. Chcę wierzyć, że on pana kocha.

— Kocha? Naprawdę wierzy pani w miłość?

— A warto wierzyć w coś innego?

— No właśnie! Właśnie tego się spodziewałem, takiej odpowiedzi! Gdy wczoraj powiedziałem te same zdania mojemu przyjacielowi Michaelowi, którego już pewnie nie

poznasz, odpowiedział dokładnie to co ty i zadał mi takie samo pytanie. Tylko że jemu nie musiałem mówić tego, co dodam teraz: August nie jest moim kochankiem, Juliette.

A więc nie rób mi na odchodne karczemnej sceny zazdrości. Żegnaj...

— Ależ ma pan aktorski talent.

— Prawda? No dobrze, powiem ci prawdę, Juliette, bo i tak już mnie przejrzałaś. Jestem bliźniaczą siostrą Marilyn Monroe, tą brzydszą połóweczką, ale nie mów nikomu, chyba że zrobisz o mnie film, ale co to byłby za banalny scenariusz, co to za życie, może i nie jest to złe życie, ale filmu się z tego nie nakręci. Idź już, Juliette, no idź. Chcę wrócić do swojej nudy...

On naprawdę mnie wypraszał. Naprawdę to robił!

— Pan nie umiera. To nie śmierć, to strach — powiedziałam. — Widziałam dwa dni temu oczy człowieka, którego od śmierci dzieliła może minuta, sekunda, może tylko jeden ruch palca. Pan nie ma takiego spojrzenia. Proszę więc być spokojnym.

— O czym ty mówisz, Juliette?

— O życiu. O tym, co pan.

— Lubię cię. Naprawdę.

— Przecież pan mnie prawie wcale nie zna.

— Znam cię lepiej niż własne dzieci.

— To jednak pan ma dzieci...

— Tak, ale one nie mają mnie. Matki zdecydowały za nie. Nie są mnie w jednej ósmej tak ciekawe jak ty, Juliette. Jaki ten świat zrobił się głupiutki, jaki stał się oszukańczy, tak upstrzony, upiękuszony, że aż przepoczwarzony, czy ty też to czasem widzisz?

— Widzę znacznie więcej. Często to, czego nie chcę w ogóle zobaczyć. Cieszę się, że dzięki panu zostałam dłużej w Paryżu. Miałam piękne dni. Dziękuję.

— No, dobrze, idź już, poczułem się zmęczony... Pozwolisz, że August cię odprowadzi do furtki? Chodź, uściskam cię tylko na pożegnanie, no chodź, Juliette, nie bój się, chcę tylko poczuć, jak pachną twoje włosy, w końcu to ja jestem tym wielkim lubieżnikiem kina, nie ty, minipod-róbkko Marilyn Monroe... Żegnaj.

— Jutro już nie przyjdę. Choć będę jeszcze w Paryżu. Chcę zdążyć pospacerować po mieście. Chyba mi się należy? — spytałam naiwnie z uśmiechem pierwszoklasistki.

Odpowiedział mi toastem.

— Życzę panu, żeby pan długo żył. Będę żyła razem z panem. I dziękuję, że poświęcił mi pan tyle swojego czasu.

A jednak nie potrafiłam go oszukać. Powiedziałam prawdę, kiedy wracam, choć przecież nie musiałam.

— Coraz bardziej mi imponujesz, Juliette. Zostaw mi nazwę hotelu, coś ci przekażę, byś miała więcej materiału, skoro tak bardzo się poświęciłaś. Mało ludzi to dla mnie robiło. Tylko nie zapomnij odebrać przesyłkę, to ważne, co ci chcę dać. I odpocznij jutro od starego, zrzędzącego reżysera. Miło było cię poznać.

— Mnie pana też. Będę tęskniła za tymi spotkaniami.

Wyjęłam z torebki kartkę, jedną, jedyną, którą miałam w torebce, i napisałam na niej adres swojego hotelu, po czym przytuliłam czule Escribo na pożegnanie i odeszłam.

22.32

Idąc do taksówki, spojrzałam na zatrzymujący się samochód i wychodzących z niego rozbawionych ludzi. Jeden mężczyzna wydał mi się znajomy, choć widziałam go tylko z tyłu. Ten ruch ręki, dobiegający do mnie głos, czerwony sweter niechlujnie zarzucony na biały T-shirt, te poprzecierane dżinsy. Ten ktoś był mi jakoś dziwnie bliski, jego gest podniesionej ręki coś mi mówił...

Ciepły, lekko, zachrypnięty głos... Czułam, że go znam, że to on, a jednak nie zatrzymałam się, by sprawdzić, nie obejrzałam się za siebie.

Chyba mnie to jednak interesowało.

Obraz, który widziałam, wystarczył mi. Kilku roześmianych, rozbawionych mężczyzn i jakieś lalunie wysypujące się z taksówki. On wychodził sam, krzyczał coś do nich, przesyłał ręką buziaki. Wyglądał jak playboy z kiepskich filmów, jakich znałam dużo. Przypominało to scenę kończącą film *Escrito* — u niego często ludzie wysiadali z taksówek, podjeżdżali pod nie swoje domy, gubili się.

Miałam dosyć mężczyzn w takim stylu. Miałam dosyć tego dnia, wieczoru.

23.05

Gdy dotarłam do hotelu, włączyłam komputer, by zobaczyć, czy mężczyzna z wernisażu odpisał. Nie było nic. Żadnego słowa, ani jednej linijki. Pusto. Widniało tylko migoczące zdanie: „Brak nowych wiadomości”. Nie wiedząc czemu, poczułam się zawiedziona, zupełnie jakbym czekała na ten list, tak jakby mi się to należało. Zaczęłam szukać jego wizytówki. Przegrzebałam łóżko, wyrzuciłam wszystko z torebki i dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że zostawiłam ją u *Escrito*.

To na niej zapisałam mu adres mojego hotelu.

czwartek

10.30

W hotelowej recepcji czekała na mnie czerwona torba z przypiętą kartką z moim nazwiskiem, a w środku była butelka wina, tak, tak, z mojego rocznika i... wizytówka mężczyzny z wernisażu z doczepioną karteczką:

Ten mężczyzna z fotografii żyje. Ma na imię Chris. Cieszę się, że zostałam dłużej we Francji. Pozwól mi dzisiaj pokazać ci Paryż. Przyjadę o osiemnastej. Będę czekać przed hotelem. Przyjadę z bardzo daleka, więc mam nadzieję, że będziesz.

Bez podpisu. Zaraz, zaraz, ten mężczyzna z wernisażu i Michael, o którym opowiadał mi *Escrito* — to ta sama osoba? Odwróciłam wizytówkę, by zobaczyć imię. Inne, Pierre. Próbowałam wyzwolić w sobie zdolność do myślenia strategicznego — co tu właściwie było celem czego. Nie wierzyłam, że ten nieznajomy mężczyzna mógł tak niefrasobliwie

zadysponować moim popołudniem i po prostu wyznaczyć mi spotkanie, nie pytając mnie o zgodę!

11.13

— Kaśka! — Wykreśliłam numer przyjaciółki. — Kaśka, ja wciąż jestem w Paryżu. To, co się tutaj dzieje, jest tak dziwne, że nie do opisanía.

— Kochana, jesteś przecież w Paryżu! A miałaś być już w Polsce. Przez ciebie musiałam się spotkać z tym stomatologiem, który tak chętnie chce mnie zapisywać co tydzień na przegląd zębów, jakbym była co najmniej koniem.

— Kaśka, no nie da się ukryć, masz duże zęby — zaśmiałam się. — Tylko nie daj się karmić cukrem!

— On mnie prześladowa. O czwartej rano z Olką, tą wiesz, postanowiłyśmy pojechać do Gdańska, żeby poszaleć sobie troszeczkę. Taka wyprawa dwóch samotnych kobiet, które już dawno straciły wiarę w romantyzm brzuchaczy po golonce i piwie. I wyobraź sobie, wyjeżdżamy o czwartej rano i na ulicy pod moim blokiem mijamy stomatologa! O czwartej rano! Rozumiesz, z jakąś lalunią jechał. Choć jeszcze dzień wcześniej, gdy zapisywał mnie na ten przegląd, to mi proponował wyjazd. Ale nieważne. I słuchaj, potem zrobiliśmy sobie przystanek pod Elblągiem, a on, ten od zębów, kilka kroków za mną w kolejce. W pierwszej chwili nie zaskoczyłam, on chyba tak, bo szybko się zmył z kawą w jednej ręce i lalunią w drugiej. Ale wiesz, nie omieszkałam około piątej rano i o siódmej napisać SMS-a do tego zębacza, co by troszeczkę tę panienkę podenerwować.

— Spytałaś, czy ten zębolog zna się na wypełnieniach?

— Julka, oj, ty tylko o jednym. Mam nadzieję, że rozmawiasz po francusku, a nie...faire l'amour!

— No nie, dobra, zostawmy te zęby precz, niech idą sobie, gdzie chcą. Przecież i tak nie interesują cię jego plomby! Kaśka, posłuchaj mnie, to, co tu się dzieje, jest dziwne. Czuję się, jakbym grała w jakimś filmie.

— No co ty! Z tego, co wiem, to rozmawiasz tylko z reżyserem. Chyba cię tak nie urzekł, że postanowiłaś zostać aktorką!

— Kaśka! Mam iść na to spotkanie?

— Jakie spotkanie? Z kim?

— Nie wiem z kim.

— To gdzie chcesz iść?

— No, zobaczyć Paryż nocą z... nim.

— Z kim? Co ty ukrywasz?

— Nic, no właśnie nie wiem z kim.

— To jak chcesz iść?

— Normalnie.

— Idź. Nie wiem z kim, ale idź.

— A jak mnie zgwałci?

— Od razu, chciałabyś. Oj, Julia, nie poznaję cię. Całuję cię, kochana, miłego rendez-vous. I odłożyła słuchawkę.

11.56

Szklanka wody na stoliku, butelka pod, ostatni papieros, trzy marsy.
Odpaliłam laptopa.
Pora napisać wywiad z Escrigo.
No, trzymaj się, mój przyjacielu, jedziemy z tym zadaniem.

16.07

Wreszcie wstałam od komputera. Tekst gotowy. Mogłam wysłać go do redakcji. Dla mnie wywiad z Escrigo był naprawdę super. Liryczny i jednocześnie brutalny. Mądry.

17.05

Nie byłabym sobą, gdybym się nie dowiedziała, kim jest ten mężczyzna. Wbiłam się w swoje szpileczki, dzinsy — najnowszy, paryski zakup, oczywiście na kredyt! — włożyłam czapkę z daszkiem, by w razie czego spuścić ją na oczy, odwrócić się na pięcie i pójść w inną stronę. Lepszą stronę. Jeszcze tylko kilka głębokich oddechów i byłam gotowa.

18.05

Zesłam przed hotel. Nikogo nie było. Czekałam pięć minut, dziesięć, piętnaście...
Cisza. Schowałam się za róg, by nie wyglądać jak nowoczesne wcielenie pretty woman.
Obeszłam hotel wzdłuż i wszerz.
Cisza. Nic, nikogo nie ma. Nikogo, kto by na kogoś czekał. Prócz mnie.
— Kaśka — znów potrzebowałam pomocy.
— Nie teraz, Julka, właśnie uwodzę wzrokiem przystojniaczka z naprzeciwka. Co chcesz?
— Nie ma go.
— Kogo? Jak to? Poszukaj.
— Ale ja nie wiem, kogo szukać.
— To z kim ty się umówiłaś? Z duchem?
— Nie, nie napisał na karteczce, jak wygląda, jak ma na imię, tylko że jedzie z daleka.
— Z Niemiec?
— Nie wiem skąd.
— To zadzwoń do niego. A jak coś mu się stało?
— Nie znam numeru.
— To czekaj.
— Tutaj, tak?
— A gdzie, na granicy? W sumie jak to Niemiec, to bliżej by miał.
— Kaśka!
— *Sorry*, naprawdę muszę już kończyć.
— Kaśka!

18.12

I gdy tak stałam, tupałam nogą i krzyczałam w słuchawkę imię mojej przyjaciółki, ktoś dotknął

delikatnie mojego ramienia.

— Witaj — usłyszałam znajomy głos, zanim zdążyłam się odwrócić.

To był on! Mężczyzna z wernisażu. W jednej sekundzie zapomniałam, że przed chwilą był dla mnie dupkiem, każącym na siebie czekać.

Nie próbował zagaić — przepraszam za spóźnienie. Nie zdążyłem, bo w Paryżu są takie korki, do tego roboty drogowe, wypadek, bo wiesz, słoń uciekł z zoo i zablokował drogę. Rozumiesz?

Nic. On po prostu powiedział „Witaj”.

— Miło, że zdecydowałaś się przyjść — dodał po chwili.

— Zesłałam tylko na dół — uśmiechnęłam się.

Znów tak samo mi się przyglądał, mogłabym nawet posunąć się do stwierdzenia, że prześwietlał mnie wzrokiem.

— Mam coś dla ciebie — powiedział i wręczył mi niebieski zeszyt, który widziałam na biurku Escribo.

O co w tym wszystkim chodziło?

— Mam na imię Michael — dodał.

— Na wizytówce było inne imię.

— Tak, do pracy używam drugiego. Naprawdę na imię mam Michael.

18.22

No tak! To był len od dwójki dzieci, o którym opowiadał mi Escribo. Ten od kobiet, które go chciały usidlić swoimi brzuchami — przynajmniej w opinii reżysera. Gdybym wiedziała... Ciekawe, po co on mi o nim tak dużo opowiadał, pozbawiając mnie tym samym przywileju ciekawości i ekscytacji, które towarzyszą poznawaniu kogoś nowego. Escribo już mi go przedstawił. I to od tej nie najlepszej strony. Choć przecież kochał tego Michaela jak syna i gdy o nim mówił, dodawał: „nie zdradzam się chętnie z melancholijnymi myślami, ale pani chcę to powiedzieć”.

Wyglądał jak kaskader. Jak oni wyglądają? Zupełnie tak jak on. Tak jakby dopiero co uniknęli zderzenia ze ścianą albo trudnego zakrętu, jakby czuli, że za chwilę skończy się świat. Jakby po raz kolejny udało im się wyprzedzić o dwie sekundy niebezpieczeństwo. Widać w ich oczach triumf z czegoś, o czym nie

można nawet opowiedzieć, a co dopiero ocenić.

— Julia — powiedziałam i podałam mu rękę.

Nie należał do osób, które wprowadziłyby w moje życie tylko i wyłączne spokój. Wiedziałam o tym od pierwszego momentu, od chwili gdyjechałam z nim po ulicach Paryża. Nie była to przyjazna, ciepła noc, która zbliża dwoje ludzi. Tak naprawdę całkowicie rozdzielała. „Długo mieszkasz we Francji?” — pytałam. „Co robisz na co dzień? Spacerujesz uliczkami z knajpki do knajpki, zajmujesz się fotografią, literaturą, sportem? To cudowne. Ja jeżdżę na rolkach” — głądziłam bez sensu. „I pewnie masz fajną rodzinę, przyjaciół, plany, marzenia — tak jak ja, a może fajniejsze? Naprawdę masz trzydzieści dwa lata i jesteś sam? Nie, niemożliwe, że chciałeś być księdzem, ale to wspaniale tak znać od razu swoją misję, miłość, i wiedzieć, za kim się tęskni. Tak, tak, to absolutnie wspaniale” — prowadziłam rozmowę sama ze sobą.

On milczał.

Do chwili, kiedy zmęczona własnym monologiem, nagle spytałam:
— Dlaczego mnie chciałeś poznać? Jeśli wcale nie jesteś mnie ciekawy?
— Nie chciałem — odpowiedział bez zastanowienia.
— To po co przyjechałeś?
— Żeby tylko na ciebie spojrzeć, poczuć twój zapach.
— Zabrzmiało to groźnie, jakbym miała stać się nieszczęsną bohaterką Pachnidła. Tylko po to jechałeś kilkaset kilometrów?
— Tak.

Zero romantyzmu. Jednak powinnam była dziś wylecieć do Polski. Dlaczego wzięłam lot dopiero na jutro? Tylko dlatego, że okazał się tańszy? A pał sześć tych sześćdziesiąt dodatkowych euro! I tak już miałam duży debet, co to za różnica sto czterdzieści czy dwieście?! Czy ta drobna oszczędność była warta tej chwili, tego wieczoru?

18.51

Nie był to ktoś, na kogo wystarczyło spojrzeć, żeby zobaczyć siebie w jego spojrzeniu, kto podawał rękę i już ją zostawiał. Kogo łatwo byłoby zdobyć i jeszcze łatwiej przy sobie zatrzymać. Nosił w sobie samotność i oddalenie.

Z jednej strony był malowniczy, jakby swoją osobą wypełniał całe pomieszczenie, z drugiej — wydawał się nieobecny, jakby go wcale nie było.

Gdy zaczął wymieniać swoje porażki i opowiadać mi o sobie takie rzeczy, które nie stawiały go w najlepszym świetle, pomyślałam, że tak może mówić tylko ktoś, kto dobrze zna swoją wartość, albo ktoś, kogo już nigdy więcej się nie zobaczy. Nie krył się ze słabościami, nie wysiłał się, by być inny, lepszy, doskonalszy. Akceptował siebie i tego oczekiwał od innych. Nie znałam go, ale tego byłam bardziej pewna, niż powinnam.

Dużo sobą obiecywał. Już od pierwszej chwili, kiedy dostrzegłam go przed hotelem, wiedziałam, że jest dobrym i wrażliwym człowiekiem.

Tylko dlaczego grał przede mną takiego twardziela?
Stał w życiu niepewnie, a jednak patrzył zbyt twardo.

19.17

Na szyi na cieniutkim rzemyku zaczepiony nosił bur-sztynek, który pewnie znalazł nad brzegiem morza, schylił się, zamyślił przez chwilę, wtarł w niego swoje marzenia i zawiesił na szyi, by towarzyszył mu każdego dnia.

Był wtedy sam, jak teraz.

Bo choć razem spoglądaliśmy na wygasłe witryny sklepów, na ludzi mijających nas na światłach, czułam, jakby wcale mnie przy nim nie było. Przecież mi powiedział, po co się spotkaliśmy. Chciał poznać tylko zapach. Zapach kobiety. Dzisiaj ja go zaciekawiałam. Nie wierzyłam w przypadki, w przeznaczenie, raczej w szczęśliwy splot zdarzeń, choć czułam, że on taki dla mnie nie był.

Nie mogłam zrozumieć, dlaczego na wernisażu tak mi się przyglądał, dlaczego los chciał, byśmy zobaczyli się w tej sali pełnej fotografii. Dlaczego tam weszłam, chociaż tak naprawdę nie

miałam na to ochoty.

Zupełnie nie wiedziałam, po co mam go poznawać, z jakiego powodu siedzę w jego samochodzie. Przecież nie potrafiłam powiedzieć o nim ani słowa. Nie umiałam sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego zdecydowałam się z nim spędzić ostatni wieczór we Francji.

Przecież już po kilku minutach rozmowy zrozumiałam, że jest to ktoś, kogo o nic nie można pytać, chyba że o rodzaj transportu, który dojeżdża do centrum miasta. Powoli traciłam zapał i chęć dowiedzenia się prawdy o nim.

20.01

Nagle skręcił w prawo, wjechał w ciemną uliczkę na wzgórzu, spojrzał na mnie jak seryjny morderca po dwudziestu latach wyroku i powiedział:

— Tu, po prawej stronie jest więzienie. Siedzą tu osoby z najcięższymi wyrokami — dodał.

— Twoi kumple?

Czułam, jak powoli wtapiam się w fotel. Przez głowę przebiegało mi tysiąc ponurych myśli. A może jednak zaraz wyjmie nóż, powie: „chcę cię tu mieć, maleńka”, i nim zastanowię się, co zrobić, już będę czuła go w sobie.

Nachylił się delikatnie nade mną.

— Mam dla ciebie szampana. Chciałbym go wypić z tobą za nasze pierwsze spotkanie.

Pierwsze? To będą kolejne? Staliśmy pod więzieniem, w oddali widniała jedna latarnia pod budką strażnika i las, musiałam więc przez chwilę udąć grzeczną dziewczynkę z francuskiego klasztoru. Czułam, jak powoli moje ubranie zamienia się w asekualny uniform, makijaż blednie, a myśli wypełnia tylko tępa cisza.

— Tutaj, pod aresztem? A mamy co uczcić? Nie wiem o jakimś napadzie? Morderstwie? Gwałcie...?

Uśmiechnął się. Objął ręką mój fotel.

— Nie bój się — powiedział.

Miał przyjazny głos, ale na te zapewnienia było już za późno. Czułam, jak strach wypełnia każdą część mojego ciała. Jak z kolejnym jego słowem zapominam własnych.

— Wypijemy za nasze spotkanie, które wyzwala we mnie podobnie silne i głębokie emocje jak to miejsce, pod którym teraz stoimy — powiedział.

Nic nie rozumiałam, ale nie chciałam pytać. Nie wiedziałam, z kim mam do czynienia, czego mogę się spodziewać i dokąd zająć. Zastanawiałam się, czy jednak nie powinnam chwycić za komórkę, zadzwonić po taksówkę, ale nawet nie znałam adresu, pod którym się znajdowałam. Owszem, mogłam powiedzieć: „Proszę podjechać pod areszt”, ale przecież nie wiedziałam pod który. Bo w Paryżu, sądząc po osobach, które poznałam przez tych kilka dni, takich miejsc musiało być znacznie więcej. Mogłam go też walnąć butelką i sama znaleźć się w areszcie, jednak wolałam poczekać na kolejny krok z jego strony.

20.25

— Nie chciałem cię poznać, ale przez cały czas, od momentu gdy weszłaś na ten wernisaż,

obserwowałem cię i pragnąłem tego bardziej, niż możesz sobie wyobrazić. Potem, tuż po twoim wyjściu, odwiedziłem Escrivo i zobaczyłem swoją wizytówkę z nazwą hotelu. Spytałem o ciebie. I wtedy dowiedziałem się, że robisz z nim wywiad. Los tak chciał, pomyślałem, i postanowiłem nie zmarnować tej szansy. Jestem ciebie tak bardzo ciekawy — powiedział nagle. — Chciałem odpisać na twojego e-maila, że często myślę o tym mężczyźnie — dodał. — Pochodzi z Afryki. Uratowałem mu życie i dzięki niemu dostałem nagrodę, bo robienie zdjęć to nie tylko utrwalanie dramatów.

— Dlaczego więc nie zrobiłeś mu jeszcze jednego zdjęcia, na którym ten mężczyzna się cieszy? — spytałam.

Ta uwaga miała zabrzmieć lekko, ale byłam zbyt poruszona bajeczką, którą chciał mi sprzedać.

Nie wierzyłam mu.

Nie był to facet, który posługiwał się tanimi chwytami zjednującymi mu sympatię i uwagę innych. Na tym wernisazu patrzył tylko na mnie, ale udawał, że myśli o kimś innym. Gdy wyszedł, pomyślałam, no tak, niedopowiedziane sytuacje, niepoznane osoby, ciekawy splot zdarzeń — może każdy powinien to przeżyć. Właśnie dziś padło na mnie. Być może za dziesięć lat przypomnę sobie tę chwilę i zastanowię się, co ją odróżniało od innych, co martwiło, a co bawiło. Miał ku temu okazję. Ale nie chciał wykorzystać szansy. Nie próbował mnie do siebie przekonać, niczym nie chciał mi zaimponować, niczego nie obiecywał. Prawie w ogóle się nie odzywał. Ta cisza między nami wydawała mi się nie do zniesienia.

20.51

Wiedziałam, że muszę się z tego wypłatać i powinnam zrobić to z klasą. Wiedziałam, że już jutro będę w innym świecie. Nie byłam pewna, czy w lepszym, ale na pewno w innym.

Zastanawiałam się, czy lepiej milczeć, czy próbować się czegoś o nim dowiedzieć. Do głowy przyszło mi tylko jedno głupie pytanie.

— Masz psa?

Czułam, że to jedyna szansa, żeby dowiedzieć się, jakim jest człowiekiem, bo źli ludzie nie mogą opiekować się zwierzętami. Spojrzałam na niego jeszcze raz i już w wyobraźni widziałam go z wielkim bernardynem, któremu po południu podczas spaceru rzucał kość, a rano przed pracą przebiegał z nim kilka kilometrów.

— Psa? — zdziwił się. — Miałem, ale najpierw mi się zgubił, a gdy go odnalazłem, byłem tak zły, że go przejechałem. No i już nie mam. Rozumiesz? Taka męska złość.

Nic nie rozumiałam. Zaraz będzie świt, spakuję się, pojadę na lotnisko i z największą ulgą opuszczę to miasto pełne świrusów. Zatrzymaliśmy się przed ogrodami. Były zamknięte. Usiedliśmy na ławce, otworzyliśmy szampana i zaczęliśmy rozmawiać. A raczej ja. Miałam dość tej gry.

Szczerze opowiadałam o sobie, o swojej pracy, o strachu, który odczuwałam, o swoich marzeniach i o zimnie, które tego wieczoru wyraźnie mi przeszkadzało.

— Usiądź mi na kolanach, przytulę cię — powiedział nagle. — Będzie ci ciepłej.

Nie był facetem, który podrywał tanimi chwytami, a jednak to zrobił.

— Wiesz, lepiej będzie, jak wrócę. Chciałabym się chwilę przespać, a rano mam lot.

— OK, odwiozę cię — powiedział.

21.28

W ciszy weszliśmy do samochodu. Włożył kluczyki do stacyjki, ale nie włączył silnika. Odwrócił się do mnie. Przyjrzał jeszcze raz uważnie i nagle powiedział:

— Nie chciałem cię poznać. Wiem, pewnie jeszcze przez kilka dni zastanawiałbym się, kim jesteś, jaka jesteś. A teraz, kiedy jesteś tak blisko... Teraz już wiem. To nie ten czas, to nie to miejsce, nie ta chwila...

Tu zawiesił głos.

— Poznałem cię za późno lub za wcześnie. Wiem to.

Wiele razy się spóźniałam w życiu, wiele szans przez to straciłam.

Ale że za wcześnie?

Gwałtownie ruszył. Rozpedził się do stu czterdziestu kilometrów na godzinę, ściszył muzykę, spojrzał jeszcze raz na mnie i powiedział:

— Zapnij pasy, powiem ci całą prawdę.

21.52

Jak na taką porę, to były naprawdę mocne słowa.

Nie chciałam już znać jego prawdy. Ale nie miałam wyboru. Ścisnęłam z całych sił pasy, tak mocno jak trzyma się kogoś, żeby nie upadł, i czułam, że właśnie powoli spadam.

— Mam dwóch braci... — zaczął. — Nie mam trzydziestu dwóch lat, nie mam żony ani kochanki, ale nie jestem sam. Nie mam też psa, bo nigdy nie był mój...

Tu zawiesił głos.

— Wiem, że po tym, co teraz usłyszysz, odejdziesz, ale i tak byś odeszła. Dlatego chcę ci powiedzieć. Nie wiem dlaczego, nie pytaj. Po prostu chcę... Pewnie też pomyślisz, że jestem zimnym draniem, gdy to usłyszysz. Może, choć wolałbym, żebyś wiedziała, że jestem dobrym człowiekiem, który przez chwilę stracił panowanie nad własnym życiem. Mam trzydzieści osiem lat. Jestem sam, mieszkam sam i często tak się czuję. Zraniłem wiele kobiet w życiu, niektóre zraniły mnie. Poczulem też, co to znaczy być ojcem.

Wiedziałałam o tym.

Escribo mi mówił, a jednak wtedy wydawało mi się, że jest to zupełnie inna historia.

— Mam dziesięciomiesięcznego syna. I to jeszcze nie koniec, za trzy miesiące będę miał drugie dziecko. Mam je z dwiema kobietami. Jedna mieszka w Stanach, druga we Francji. Nie jestem i nie będę z żadną. Po prostu tak się stało. Chciałem ci to powiedzieć, a co z tym zrobisz, zależy od ciebie. Najlepsze jest to, że nigdy nie lubiłem pakować się w kłopotliwe sytuacje, które by mnie ograniczały, a jednak. Nie myślisz chyba, że nad sobą płaczę. Jeżeli przyznałbym, że moja przeszłość mnie upokarza, nie umiałbym dalej żyć.

22.28

— Mam tak dużo, a umieram z pragnienia — dodał.

22.35

— Sam już nie wiem, o czym jeszcze chciałbym ci opowiedzieć. Na ogół jestem twardy dla samego siebie, a nawet bezwzględny, nie wiem, czy ci się to spodoba, gdy w dalszym ciągu będę o sobie mówił.

Jego szczerość mnie rozczuliła.

To wszystko, co usłyszałam, tak bardzo do niego nie pasowało jak lato do Bożego Narodzenia.

22.38

— Jedna jest jeszcze w ciąży? — zdziwiłam się.

— Tak

— Dlaczego z nią nie jesteś?

— Byłem już z nią wystarczająco długo, by wiedzieć, że tego nie chcę. Nie kocham jej już od dawna. Rozstaliśmy się, to była wspólna decyzja. Ale gdy przyszła do mnie po swoje rzeczy, zaczęliśmy się kochać. Nie wiedziałem tylko, że odstawiła tabletki. Kiedy tej nocy przy niej zasypiałem, zapytałem sam siebie, co będzie, jeśli zajdzie w ciążę. A druga? Znam ją dziesięć lat. Wrażliwa, warta miłości piękniejszej, niż kiedykolwiek mógłbym jej dać. Jednak uczyniła ze mnie kogoś ze swoich marzeń. Od wielu lat starała się być ze mną, czego chyba do końca nie byłem świadomy, bo nie pasuję na taki obiekt życiowego pożądania. Być może myślała, że jeżeli zajdzie ze mną w ciążę, to z nią zostanę. Dla mnie to był tylko seks, dla niej pomysł na życie. Wróciłem do Francji po dwóch dniach, a potem ona zadzwoniła z informacją, że będziemy mieli dziecko.

22.44

Myślałam nie o nim, ale o Monice i jej jeszcze nienarodzonym dziecku. I o małej Bibi. No i o Bułkarzu... O tym całym grajdołku, o tak podobnych, choć odwróconych sytuacjach.

— I co, myślisz, że zobaczę w tobie prawdziwego mężczyznę? Nie wiem, jak one się czują, bo nie mam dziecka, mogę sobie tylko wyobrazić. Ale miałeś rok... — Uśmiechnęłam się przyjacielsko.

A co, miałam na niego krzyżeć?

Pobić go?

Miał rację.

Znowu się spóźniłam — myślałam, patrząc w jego oczy.

Nie wiem czemu, ale wydawały mi się zażawione.

23.15

— Paryż jest bardzo ładny, gdy śpi. Jak ty.

— Nie wiesz, jaka jestem, kiedy śpię.

— Nie wiem, ale chciałbym to wiedzieć.

23.33

- Jakiego słowa najbardziej nie lubisz? — spytał mnie.
 - „Żegnaj” — powiedziałam. — Nigdy z nikim nie chcę się żegnać.
 - Ale zrobisz to teraz ze mną?
 - Nie, po prostu wyjdę bez słowa. Nie wiem, co mogę ci powiedzieć. Dbaj o to, co masz. Nie każ mi tego zrozumieć, bo nie chcę.
- Czułam, jak łzy napływają mi do oczu.

23.44

- Dlaczego mi to wszystko opowiedziałeś?
- Chciałem cię oswoić, Julio. Pamiętasz to? *Co to znaczy „oswoić?” — zapytał Mały Książę. A Lis odpowiedział: „Oswoić znaczy „stworzyć więzy”.*

23.58

- Mimo wszystko — dobranoć — powiedział.

piątek

00.04

Usiadłam na tarasie hotelu, z minibarku wyjęłam małą buteleczkę wina i z kolejnymi łykami czułam, jak rozwalam się na kawałki. Nie rozumiałam, dlaczego Michael czy też Pierre tak mnie wzruszył. Przecież nie byłam cikliwą dziewczynką.

A jednak poczułam, że właśnie coś straciłam.
Coś być może najważniejszego w moim życiu.
Miłość.

00.06

Kiedy o nim myślałam, widziałam Monikę.
Pamiętałam jej uśmiech, gdy dotykała swojego coraz większego brzuszka. Była taka promienna, szczęśliwa, taka przy nadziei. A przecież już wtedy Bułkarza przy niej zabrakło. Pomimo tego, że razem planowali stworzyć rodzinę.

Może przez chwilę, ale jednak. A on?

00.07

Wykręciłam numer Moniki, musiałam ją o coś spytać, nieważne, że spała, nieważne, że było późno. Nieważne...

- Przepraszam, że cię budzę, ale powiedz, jak się czujesz?

- Julka, co ty? Jest noc! Jeszcze nie rodzę. Za cztery miesiące!
O rany! To wtedy, kiedy dziewczyna tego M.-Pierre'a.
- Nie, nie o to chodzi. Jak się czujesz z tym, że jesteś sama w ciąży, że nie ma przy tobie mężczyzny, który by cię przytulił, dotknął, pogładził...
- Julka, upiłaś się?! Kocham cię, idź spać. O której jutro jesteś? Wyjadę po ciebie. To znaczy, wyjedziemy...

00.11

- Zadzwoił P.-Michael, podziękował za spotkanie.
- Tak bardzo nie chciałem odjeżdżać. Chcę, żebyś to wiedziała. Powiedz mi, dlaczego?
- Dlaczego? Może dlatego, że nie czekałeś na mnie. Przecież już ułożyłeś sobie życie. Nie ma w nim miejsca dla mnie. Nie chcę w życiu czegoś płytkiego, czegoś na niby, na chwilę. Szukam czegoś mocnego, silniejszego niż życie.
- Dlaczego mu to mówiłam? Ale już było za późno, wpadłam w trans i prowadziłam tę grę dalej. Przecież już nigdy go nie zobaczę. Niech myśli o mnie przez całe życie, niech zastanawia się nad moim zapachem, dotykiem, nad całą mną...
- Ciągnęłam:
- Bo wszystko poza uczuciem można szybko zdobyć i stracić. Spójrz na swojego przyjaciela, na tego wielkiego Escrivo... Może dlatego z taką ulgą wyszłam z twojego samochodu.
- Nie odchodź. Zaczekaj...
- Muszę kończyć, pa.

00.17

Znów popiłam łyk wina i otworzyłam stary zeszyt, który dzisiaj dostałam, ten, który przez wszystkie nasze spotkania leżał blisko Escrivo, na jego biurku.

Zaczęłam czytać...

Anno, znów zakwitły drzewa, które razem sadziliśmy. Obiecaliśmy sobie zawsze mówić prawdę, dlatego muszę ci coś teraz wyznać. Wiesz, jak bardzo ci ufałem, pozwalałem, żebyś upiększała moje życie, taki byłem przy tobie skromny, nieśmiały i jednocześnie wyuzdany. Wierzyłem ci bezgranicznie, pozwalałem ci się nawet prowadzić przez ruchliwe ulice. Nie umiem teraz żyć. Już mi się nie chce. Czy ty powiesz mi kiedyś, gdzie jesteś?

Anno, po co oni do mnie przychodzą? Co miałbym innym do powiedzenia? Tylko ty wiesz, jaki potrafię być nijaki i mętny. Wciąż nie jestem zdolny do szczerości. A więc gram sobie, błaznuję, kłamię. Udaję na przykład, że moim kochankiem jest August, i wszyscy w to wierzą. Ja i August? Ja, rozwiążyły starzec, z podległym mi brzydkim Augustem? Z obrzydzeniem patrzę na jego usta, nie tylko wtedy, gdy mówi bzdury. Pamiętasz, jak śmiałyśmy się, kiedy przyszedł starać się u mnie o pracę i powiedział, że mnie tak uwielbia jak wieżę Eiffla?

Ludzie wierzą w najgorsze moje bzdury i deformacje, w każde wynaturzenie i grymas, zrobiją wszystko, żebym tylko nie wyszedł z ram, w które mnie wstawili, żebym nie stał się samym sobą. Łażę więc z tym uśmiechem Mony Lizy, z królewskim szalem geniusza, który coraz mocniej okręca mi się wokół szyi. Wiesz przecież, Anno, co myślę o tak zwanych geniuszach ludzkości, autorytetach moralnych w gronostajach, nieomylnych politykach i drogowskazach ideowych, wiesz, jak nie szanuję tych górnołotnych głupstw. Same głupstwa wokół. Czego oni wszyscy ode mnie chcą? Przychodzą tu do mnie mądrale recenzenci, jakieś ciotki literatki, ciotki oburzone, ciotki zachwycone, ciotki z wąsami, ciotki mądrotki, ciotki głupotki, ciotki klekotki, poważni i składni młodzieńcy bez ironii, młodziaki i starszaki bez poczucia humoru, zadają mi te swoje głupowate pytania w stylu „jak być tak wielkim, o, taaaak wielkim, niech pan zdradzi szybciotko naszym czytelnikom przepis na geniuszostwo wszelakie, a o co panu chodziło w tym dziele tak wielkim, że aż nie śmiem wymienić jego nazwy, a o co chodziło panu z tym przydługim opisem znikomego członka Marcela, oj brzydki, po łapach, po łapach, za te odrażające erotyczne popędy po ludzkich duszyczkach, a fe... Anno, tylko przy tobie bywałem piękny. Żle mi bez ciebie. Bardzo ile. Kiedy ciebie zabrakło, straciłem wewnętrzną równowagę, została mi tylko pogarda. Śmieszność. Jakbym wraz z utratą ciebie zgubił siebie. Chyba dopiero teraz, po sześciu latach, wybaczyłem ci, że zostawiłaś mnie samego. Ale już nie będę więcej do ciebie pisał, wystarczy, że zapisałem pięćdziesiąt siedem zeszytów, zalegają moje półki, biurko, fotel, wszędzie są moje słowa do ciebie. Niedługo wszystko sam ci opowiem. Do zobaczenia niebawem. Odpoczywaj w spokoju, moja, moja, moja Anno.

Popłakałam się.

Na początku zeszytu Escribo napisał jeszcze zdanie do mnie:

Gdy będziesz o mnie pisać, mówić i myśleć, pamiętaj, że potrzebuję twojej miłości, Julio. Zrób coś, żebym ją miał.

00.28

Zanim zasnąłam z zeszytem w ręku, wysłałam Michaelowi SMS-a:

„Czy wierzysz w przeznaczenie?”

Czułam, że to nie było nasze ostatnie spotkanie.

Tylko czy ktoś widział takiego księcia z bajki, który miał dwoje nieślubnych dzieci?

Zaczynało mi się zdawać, że mój księżę może okazać się Shrekiem!

7.05

Patrzyłam na ludzi w hotelowej restauracji, jedzących, pijących kawę. W jaki zachłanny sposób to robili, tak jakby ktoś miał im wszystko za chwilę zabrać.

A przecież nikogo prócz nas nie było.

Nie chciało mi się pić ani jeść.

Nalałam sobie wodę.

Co za historia z tym Escribo, co za miłość.

Chciałam jeszcze raz do niego pojechać, uściskać go przed być może najdłuższą drogą jego życia, ale nie, nie mieliśmy już na to czasu.

7.13

Poszłam się pakować.

W walizce zepsuł się zamek.

Zeszłam na dół, z recepcji wzięłam grubą taśmę, którą oplotłam walizkę, i zamówiłam taksówkę.

Byłam już gotowa, stałam w drzwiach.

„Czuję, jakbym zablądziła. Nie lubię tego miasta, ale czuję, że powinnam w nim zostać” — wysłałam wiadomość do Pierre'a.

7.35

Wsiadłam do taksówki i wykręciłam numer Kaśki.

— No co ty, Julka, zwariowałaś? Jest rano! Co ci się stało?

— Kaśka, musisz mnie wysłuchać. Musisz!

— Nie mogę — szepnęła. — Zadzwoń później. O której wracasz? OK, muszę kończyć. Pa.

Musiałam przejechać całe miasto. Czułam się inaczej niż wtedy, gdy wracałam z Rzymu czy z Mediolanu. Inaczej niż wtedy, kiedy wracałam po raz pierwszy z Paryża. Ulice niby te same, a jednak inne. Założyłam okulary przeciwsłoneczne, co z tego, że nie było słońca. Co z tego, że zanosilo się na deszcz. I co z tego...? Poczułam, jak łza spływa mi po policzku. Nie wiedziałam, dlaczego płaczę. Przecież wracałam do domu. Do pracy, do tego co moje... Jechałam, jakby żegnając się z tym miejscem, z tymi niedopowiedzianymi słowami. Dlaczego nie cieszyłam się, że wracam, że na lotnisku uściskam Monikę, Bibi, dlaczego...?

8.25

Podjechaliśmy pod wejście.

Taksówkarz wpakował na wózek lotniskowy moją walizkę wyglądającą jak bagaż deportowanego. Po ziemi ciągnęła się szara, gruba taśma.

Równym, ale niepewnym krokiem weszłam do środka.

8.41

Stał z boku, oparty o słupek.

Wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy.

Miał lekko opuszczoną głowę, skrzyżowane ręce.

Stał taki daleki.

Po prostu stał i się przyglądał.

Nie podbiegł do mnie, nie chwycił za rękę, nie przyciągnął do siebie.

Spojrzał na mnie, po czym schylił głowę.

8.43

Odstawiłam na bok wózek z walizką deportowanego i wolnym krokiem poszłam w jego stronę.
— Na kogo czekasz? — uśmiechnęłam się.

Popatrzył na mnie. Miał piękne oczy, takie wyraziste, nasycone spojrzenie. Już wiedziałam, dlaczego tak zapatrzył się w nie Escrivo. Ależ ten cynik, ten największy buntownik kina okazał się liryczny i romantyczny... I jaki przewidujący.

8.52

— Przytul mnie — powiedział.

— Mocno... — dodał po chwili.

Dobrze wiedziałam, że można go było tylko tak dotykać. Nie należał do tych, którzy zadawali się okruszkami, do mdłych i nijakich, takich tylko „wystarczy być”. Lubił ostre kolory, piękne kobiety i silne uściski. Nie był ideałem, a jednak na takiego się stylizował. Był zbyt przystojny, za odważnie patrzył na świat, zbyt dzielnie przez niego przechodził, za ufnie przystawał przy kobietach, które po nic nieznaczącej chwili widziały w nim obietnicę wspólnej przyszłości. I to nie tylko dlatego, że czasem wydawał się zbyt roześmiany, jak chłopiec, który strzelił pierwszego gola w swojej sportowej karierze. Jednak momentami był, jakby go wcale nie było. Zbyt zamyślony, oddalony, unoszący się nad całym blichtrzem otaczającego go świata. Dobrze wiedziałam, czego chciał. I nie wszystko dostawał. Kusił tym, że nie odrzucił swoich marzeń. Miał ich mnóstwo. Stracił wiele szans w życiu. Nie zamierzał tracić kolejnej.

— Przytul mnie, proszę — powtórzył.

Dobrze wiedział, czego chce, jakich pragnie kobiet, choć często zatrzymywał się przy tych, które dawały tylko gwarancję ulotności i wcale go nie interesowały. Zapępiały jedynie jego pustkę, przez chwilę porzucały bieliznę u progu jego sypialni, zatapiały się nocą w jego ciało i sprawiały, że jego życie stawało się bardziej banalne. Już dawno odrzucił ten model. Jednak wciąż pragnął i pozostawał pragnieniem wielu kobiet, które po jego niechlujnym, ale wyrazistym dotyku widziały siebie w jego życiu na zawsze. Nie składał obietnic o zamkach kruchych jak z piasku. Był naturalny.

Chciał podarować tylko — albo aż — siebie. Tak naprawdę był niedostępny i wcale nic miły. A jednak wystarczyło, że spojrział, dotknął...

— Zostań ze mną — powiedział.

Chciało mi się płakać. Przez całą podróż na lotnisko zastanawiałam się, co ja robię. Znałam go zaledwie chwilę, a już pragnęłam go mieć, choć nie potrafiłam powiedzieć dlaczego. Dobrze wiedziałam, że wraz z „dzień dobry” mógł stawiać przed kobietą fundamenty.

Nie był mężczyzną, który odpowiadał na każde zadane mu pytanie.

Najpierw spoglądał uważnie w oczy, po czym pytał: „Fikcyjnie czy normalnie?”. I właśnie wtedy, gdy usłyszałam to po raz pierwszy, uświadomiłam sobie, z kim mam do czynienia.

Z prawdą nierozzerwalnie połączoną z fikcją.

Nie chciałam takiej znać.

A mimo to stałam przed nim pełna obaw, lęku, ale i niewyobrażalnej nadziei.

Od dziecka to mam... Wszyscy chcą mnie kochać, ale nikt nie wie, jak to zrobić, co było widać już na filmie z mojego pierwszego balu w przedszkolu. W tle brzęczy muzyczka Isn't She Lovely, wokół same królowny, tylko ja w ambitnym przebraniu — jako Baba Jaga. Jestem okutana w bure stroje, mam namalowany pieprzyk na policzku, różgą za pazuchą. Lovely, jak mama mogła mnie tak przebrać... Wiadomo, nie chciała,

żebym wyrosła na królową. No więc siedzą w tym przedszkolu w przebraniu wiedźmy, mam buzią jak aniołek... Skrada się do mnie bocian z za długim dziobem, na siłę chce mnie pocałować, tak namolnie, zachłannie i nieudolnie,

że z tej namiętności tylko pakuje mi dziób w oko... Daję mu pięścią w nos i idę do kącika, żeby nikt nie widział, że płaczę. No cóż, przeciwnik ma przewagę, a ja się boję...

A potem widać na filmie, jak wyciągają się do mnie czyjeś dłonie. Patrzę ufnie w tamtą stronę, w końcu podaję swoją rękę. Wychodzę z kąta. Razem przechodzimy na drugą, tę niedostrzegalną dla widza, stronę.